Colour Chart #13

3/Color

Blue | Cyan | Green | Yellow | Red | Magenta | White | Black

Inches

Centimetres

R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES PICTA .COM

POLAK W LEGII CUDZOZIEMSKIEJ.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Władysław Jagniątkowski.

Kapitan wojsk francuskich w służbie czynnej,
Kawaler Legii Honorowej.

POLAK
w Legii Cudzoziemskiej

CZĘŚĆ I.

WARSZAWA
Druk Ed. Nicz i S-ka Nowy-Świat 70.
Tel. Nr 27-73.

884-4

5544

B. W.
KRAKÓW

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
13701
im. F. Dzierżyńskiego

PRZEDMOWA.

Od roku mieszkam na Riwierze, gdzie rząd francuski powierzył mi dowództwo kilku fortów nadmorskich. Mam za sąsiada rodaka, niejakiego pana Krajkowskiego z Warszawy, byłego kapitana Legii Cudzoziemskiej.

Pan Krajkowski, podczas pobytu w Legii, napisał pamiętnik, w którym przedstawił dosyć szczegółowo najpierw szereg ciężkich chwil, przeżytych w Paryżu, a następnie początek swojej karyery wojskowej.

Od pewnego czasu, czując się osłabionym przez chroniczną dysenteryę kolonialną, pan Krajkowski wręczył mi swój pamiętnik, z prośbą, ażebym go dopełnił i wydrukował.

W nadziei, że to „curriculum vitae" naszego rodaka na obczyźnie może okazać się użytecznem dla polskiej młodzieży, czynię zadość życzeniu pana Krajkowskiego i pamiętnik jego w całości niżej przytaczam.

Le Pradet, dnia 1 września 1909 roku.

Kapitan Jagniątkowski.

I.

W Paryżu.

Skończyłem lat 25. Będąc zmuszony, z przyczyn odemnie niezależnych, porzucić stanowisko, jakie zajmowałem nad brzegami Newy i wyjechać zagranicę, postanowiłem przenieść się do Paryża, ażeby tam rozpocząć nowe życie i nową karyerę. Po uregulowaniu wszystkich interesów i zapłaceniu długów, ocknąłem się na bruku warszawskim z trzema rublami w kieszeni! Dzięki jednak mej rodzinie, mianowicie bratu Ludwikowi i wujowi Walentemu, majątek ten, gdy wsiadałem do wagonu na dworcu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, podniósł się do 20 rs. i 80 kopiejek!... Oprócz tego, w małej ręcznej walizce dźwigałem z sobą parę koszul, metodę Olendorfa, harmonijkę, książkę „Charakter Smilesa", którą niegdyś dostałem od ojca na imieniny, patent ze szkoły realnej Łowickiej i, z braku środków na paszport, małą książeczkę wojskową legitymacyjną.

Nadto, w sercu unosiłem ostatnie rady wuja Walentego, brzmiące mniej więcej w ten sposób:

— Dobrze robisz, kochanie, że jedziesz do Francyi. Kraj piękny, naród wesoły, inteligentny, umiejący ocenić pracę i oszczędność. Nam, Polakom, posiadającym wojownicze usposobienie, tylko we francuskiem wojsku służyć wolno. A jak będziesz już w Paryżu, to, w razie głodu, pamiętaj, że na Batignolach istnieje szkoła polska; tam zawsze kawałek chleba ci dadzą. No, jedź z Bogiem— dodał:—*Wszędzie i zawsze pracuj uczciwie, a nigdy nie zginiesz!*

Oto wszystko. W ręku nie miałem żadnej specyalności; znałem doskonale język rosyjski, jakotako niemiecki, ale po francusku umiałem akurat trzy słowa: „Bonjour, pardon et merci"! Puściłem się więc w świat szeroki na oślep, z wielką ufnością w przyszłość. Byłem młody, zdrów, silny, pełen wiary w zwycięstwo. Mądrzy ludzie powiadają, że powodzeniem rządzą tylko dwa czynniki: silna wola i inteligencya; czułem w sobie jedno i drugie, w dodatku, nie mając nic do stracenia, nikogo też i niczego się nie bałem, brnąłem śmiało naprzód!

W głębi duszy postanowiłem nie unikać żadnej pracy, szczególnie na początek; przeciwnie, przyjąć bez wahania pierwszą lepszą, nawet najgorszą robotę uczciwą, jaką los w przyszłości mi przeznaczy. Jechałem chętnie, bo miałem cel w życiu.

Na kolej odprowadzili mnie brat Ludwik i wuj Walenty.

Jeszcze jeden dzwonek, ostatni świst lokomotywy i dalej, w drogę nieznaną... Wzruszenie rozsadzało mi piersi, łzy kręciły się w oczach, coś dusiło mnie w gardle: opuszczałem ojczyznę, rodzinę, wszystko, com ukochał, na długie, długie lata!...

Fortuna sprzyja odważnym: po wielu nadzwyczajnych przygodach, podróżując to piechotą, to koleją, dotarłem wreszcie przez Austryę i Szwajcaryę do Francyi, do tej wolnej Rzeczypospolitej francuskiej, która dała światu Napoleona I-go i Wiktora Hugo.

Wyjechałem z Warszawy 10 Maja, do Paryża przybyłem 13 lipca o 9-ej rano!...

Stanąłem przed dworcem, gare de l'Est, patrzę w dal, odurzony szalonym ruchem długiego bez końca bulwaru. Moje senne marzenia zamieniły się w jasną rzeczywistość! Paryż, ten maleńki czarny punkcik, oznaczony na mapie Francyi, którą pieściłem tak długo, punkcik, na który, patrząc codziennie, czerpałem siły i odwagę do przezwyciężania wszelkich przeszkód, spotykanych podczas mojej dwumiesięcznej podróży, nagle zabłysnął przedemną, jak potężne słońce o tęczowych barwach! Nareszcie widzę przed sobą tę wielką stolicę świata; ognisko życia, światła, sławy, majątku, elegancyi; źródło mych nadziei i całej przyszłości!... Głębokie wzruszenie paraliżuje moją wolę: patrzę wciąż w dal, zahypnotyzowany i lękam się ruszyć z miejsca...

A wreszcie, dokąd mam iść? Do kogo? Nie znając języka, nie śmiem nawet bardzo pytać. Z je-

dnej strony, serce bije mi z rozkoszy, żem dopiął celu swoich marzeń, a z drugiej — czuję się tak dziwnie samotny i opuszczony, jak nigdy jeszcze w życiu.

Pomimo olbrzymiego tłumu, który drży wokoło, niby żywe srebro, zda mi się, że stoję jak kołek na pustyni bez granic. Jakiś nieznany dotąd strach ogarnia moją duszę! Więc ściskam prawą ręką pormonetkę, zawierającą 8 franków pozostałej mi fortuny, a lewą—przytulam walizkę z „Charakterem Smilesa". W końcu oswajam się, nabieram odwagi. Trzeba jednak na coś się zdecydować! Właśnie przechodzi obok jakiś żołnierz w czerwonych spodniach. Zwracam się więc ku niemu i pytam:

— *Pardon, école polonaise?*

Żołnierz coś odpowiada, ale, niestety, nic go nie rozumiem.

Widząc moje zmieszanie, żołnierz kłania się i odchodzi.

Smutek owiał moje serce. Po chwili, zbliża się znowu jakiś gruby pan. Podchodzę, kłaniam się grzecznie i podobnież pytam:

— *École polonaise, Monsieur?*

Gruby pan staje, zastanawia się, uśmiecha, nie rozumie, nie może nawet odgadnąć o co mi chodzi?

Poczem, nagle, zaczyna coś bardzo długo opowiadać, gestykulować, w końcu pokazuje na policyanta i śpiesznie się oddala.

— Do pioruna! co tu robić?. — Rozmyślam, przypominam sobie, że wuj Walenty, przed pożegnaniem, wspominał coś o Batignollach.

— Tak, zapytam się o Batignolle—pomyślałem.

Lecz w tejże chwili zbliża się ku mnie jakiś obdartus, który, wskazując na moją walizkę, kłania się nisko z uśmiechem, coś tłomaczy, prawdopodobnie chce ją odnieść, lecz, spostrzegłszy, że go nie rozumiem, próbuje przemawiać do mnie po angielsku, potem po niemiecku... Na głos zrozumiałej mi niemczyzny ucieszyłem się nad wyraz! O mało żem go nie uściskał!...

Obdartus, zdziwiony nieco moim wybuchem radości, proponuje mi hotel alzacki, zaraz obok, bardzo tani, gospodarz i gospodyni mówią po niemiecku.

— Zacni ludziska—dodaje—będzie pan u nich, jak u własnych rodziców!

Propozycyę natychmiast przyjmuję i razem wesoło puszczamy się w drogę. Biegnąc, przerzynamy plac tramwajowy; obdartus trzyma mnie silnie za rękę z obawy, ażebym nie zginął. Koło kościoła skręcamy na lewo. Na kościele czytam zdala, wypisane wielkiemi literami, następujące wyrazy: „*Liberté, Egalité, Fraternité*“.

— Czy to nazwa kościoła?—pytam.

— Nie!—dpowiada obdartus.—Słowa te oznaczają: „Wolność, Równość, Braterstwo“, dewiza Rzeczypospolitej francuskiej, wydrukowana na wszystkich gmachach rządowych.

Poczem, z dumą dorzucił:

— Wspomnienie z pierwszej naszej rewolucyi, hasło sztandaru, pod którym pracujemy dla dobra ojczyzny i ludzkości!

Odpowiedź obdartusa zaimponowała mi bardzo. Spojrzałem na niego z pewnym szacunkiem.

Wychodzimy na obszerny bulwar, rue Faubourg St. Martin.

— Widzę, że dzisiaj robią wielkie porządki w magazynach—rzekłem.

— Z czego pan wnosi?

— Bo wszystkie towary wyłożyli na zewnątrz.

— O nie! To są poprostu tutejsze wystawy dla zachęcenia przechodniów—odpowiedział, uśmiechając się i spoglądając na mnie z politowaniem.

Skręcamy znów na prawo; wchodzimy na wąską uliczkę, zwaną rue Terrage. O parę kroków dalej spostrzegam napis: „Hôtel du Grand St. Michel“.

— *C'est ici!* — powiada obdartus, zatrzymując się przed niepozornym hotelikiem.

Ulokowano mnie w małej, brudnej, ciemnej, cuchnącej komórce za 2 franki na tydzień. Zajazd „pod Gęsią“ u Fedegringa, w Krakowie, na Kleparzu, gdzie nocowałem cztery dni, był, w porównaniu z tym, wspaniałym salonem.

Za mieszkanie zapłaciłem z góry. W głębi duszy czułem się szczęśliwy, że mam już dach nad głową, oraz stały adres w Paryżu.

Oczyściwszy się trochę i oddawszy bieliznę do prania, udaliśmy się z obdartusem do „marchand de vin“ na obiad. Obdartus, szelma, miał pyszny apetyt. Za dwa obiady z czerwonem winem musiałem zapłacić 2 franki 40 centimów. W Paryżu spożywają dwa obiady na dzień: „le déjeuner“ w południe i „le diner“ o 7 ej godzinie wieczorem. Po czarnej kawie, za którą musiałem wyłożyć 60 centimów, obdartus dowiedział się i wypisał na karteczce dokładny adres szkoły polskiej: rue Lamandé Nr. 15—Batignolles.

Następnie, przez wdzięczność za spożyty obiad, usadowił mnie na górze pewnego omnibusu, który, jak dowodził, zatrzymuje się niedaleko szkoły; pożegnał się zemną, jak ze starym przyjacielem i zniknął w tłumie przechodniów. Jadę różnymi bulwarami, wytrzeszczam oczy, otwieram usta, podziwiam: Paryż, to prawdziwe piekło! Jadę przeszło godzinę! W końcu, omnibus zatrzymuje się, nie idzie dalej, wszyscy wysiadają.

Staję przed okazałym pałacem. Czyżby to miała być szkoła polska? pytam sam siebie. Podchodzę bliżej oczarowany: Pałac, rozłożony w półokrąg, podtrzymany wspaniałą kolumnadą, przypomina jeden z gmachów, zbudowanych przez Rzymian. Z pałacu rozwija się cudowna panorama: u stóp pięknie urządzony ogród, do którego prowadzą stopniami sztuczne wodospady, baseny, fontanny, ozdobione w marmury i bronzy; w dali widać most, rzucony na jakimś kanale i dalszy ciąg Paryża. Jestem

w zachwyceniu! Z uszanowaniem zdejmuję kapelusz, chodzę na palcach. Nieśmiało, po szerokich schodach, wstępuję na pierwsze piętro. Jeszcze wspanialej! W głębi spostrzegam jakiegoś pana we fraku z ogromnym łańcuchem na piersiach, prawdopodobnie pan dyrektor. Zbliżam się, kłaniam i pytam:

— *Pardon Monsieur, école polonaise?*

Spogląda na mnie, kręci głową i odpowiada, że nie rozumie.

Zaambarasowany, znowuż pytam:

— *Pardon Monsieur, comment cela s'appelle?...* (Jak się to nazywa?).

— *Trocadéro*—odpowiada dumny pan. Poczem, widząc moją nieśmiałość, robi znak zapraszający ręką i mówi:

— *Entrez, s'il vous plait!*

Waham się chwilę, z obawy, ażeby cena wejścia nie przewyższyła moich funduszów. Wyciągam więc portmonetkę i zapytuję:

— *Combien?* (ile?).

— *Rien!* (nic)—odpowiada z uśmiechem.

Wchodzę, badam, spostrzegam, że znajduję się w bardzo bogatem muzeum. Zaciekawiony, zapominam zupełnie o szkole polskiej. Wewnątrz, w samem centrum, gmach zawiera olbrzymią salę koncertową, rodzaj teatru, mogącą pomieścić około 5,000 słuchaczy! W głębi sceny mieszczą się kolosalne organy, których miechy wprowadza w ruch maszyna parowa. Na dole muzeum rzeźby z cza-

sów gallo-rzymskich i epoki Merowingów; na pierwszem piętrze — szczegółowe muzeum etnograficzne wszystkich części świata. Chodzę wszędzie, oglądam cały pałac skrupulatnie; czas mile i szybko upływa aż do chwili dzwonka. 5-ta godzina, wszyscy zwiedzający opuszczają pałac. Znowu ocknąłem się sam jeden na ulicy z dawnemi myślami.

— Gdzie jednak może znajdować się szkoła polska?—pomyślałem.—Wszak obdartus upewniał, że w blizkości stacyi omnibusów... Czyżby mnie oszukał?

Zaczynam się niepokoić. Na placu przy fontannie stoi jakaś pani z dzieckiem. Podchodzę, pokazuję jej napisany przez obdartusa adres szkoły polskiej, nie mówiąc ani słowa. Pani czyta, namyśla się, spogląda na mnie, objaśnia coś na migi, wskazując na tramwaj, prawdopodobnie bierze mnie za głuchoniemego. Zbliżam się do tramwaju, naokoło którego stoi mnóstwo pasażerów. Chcę wsiadać, nie pozwalają, odpychają brutalnie, ze złością. Konduktor również krzyczy na mnie, powtarzając kilkakrotnie: „le numéro, le numéro"! Usuwam się na bok zażenowany; obserwuję, spostrzegam, że jestem pośmiewiskiem całego towarzystwa. Po niejakimś czasie próbuję zbliżyć się powtórnie; widzę, że każdy z wsiadających pasażerów wręcza konduktorowi bilet.

— A, rozumiem—pomyślałem — bardzo jasne! Chcąc mieć prawo wejścia do tramwaju, trzeba najprzód kupić bilet; co kraj, to obyczaj!

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

Szukam więc kasy. Zaglądam do jednego kiosku — sprzedają dzienniki; zaglądam do drugiego—wstrętny odór!—uciekam. Chodzę za nowoprzybyłymi, patrzę...

Jest kasa, chwała Bogu! Kładę z pośpiechem na biurku przed kasyerem 15 centimów, lecz kasyer pieniędzy przyjąć nie chce; wydaje mi bilet, mówiąc: „gare de l'Est“! Myśląc, że powiada „gardez-les”, chowam bilet i pieniądze do kieszeni. Mam Nr. biletu 368-y. Tym razem, mając bilet, śmiało staję przed tramwajem. Konduktor wywołuje numera, których nie mogę zrozumieć. Patrzę więc na bilet wsiadającego, ma dopiero numer 24-y. Czekam przeszło trzy kwadranse, śledząc pilnie za numerami wsiadających. Noc zapada, zaczynam się coraz więcej niepokoić. W końcu, około wpół do 7 ej wieczorem, do tramwaju wsiada numer 365-y. Przychodzi nareszcie i kolej na mnie. Przysuwam się, rozpychając innych; pokazuję mój numer — nie pozwalają wsiadać... Do pioruna! Okazuje się, że jest nas dwóch pasażerów, posiadających Nr. 368 y! Konduktor krzyczy, publiczność odpycha mnie na bok. Spostrzegam wówczas, że bilet mój jest koloru żółtego, a wszystkich innych — białego. Wydali mi bilet do omnibusu „gare de l'Est“, a nie do tramwaju „la Villette”... Biegnę co tchu do omnibusu, zapóźno! Nie pozwalają znowuż mi tam wsiadać, tłomacząc, że mój numer już dawno przeszedł!... Jestem tak zmęczony, znużony fizycznie i moralnie, zrozpaczony, że wpadam w nieopisaną złość na cały boży świat! Porzucam nieprzychylny tłum pasażo-

rów, którzy wciąż jeszcze krzyczą, śmiejąc się ze mnie i przechodzę na drugą stronę ulicy. Rozglądam się, szukając natchnienia lub pomocy. Nagle, naprzeciwko spostrzegam małą cukiernię, na której oknie stoi wyraźny napis: „man spricht deutsch".

— Nareszcie, jestem zbawiony! — zawołałem z radością.

Wchodzę śmiało wewnątrz, kupuję dwa rogaliki, opowiadam ze wzruszeniem moją awanturę jakiejś młodej, grzecznej panience i zarazem pokazuję jej adres mojego hotelu. Panienka, wysłuchawszy całej historyi z boską cierpliwością, radzi, przez wzgląd na późną godzinę, wziąść po prostu fiakra (dorożkę), wrócić do hotelu i odłożyć poszukiwanie szkoły polskiej do jutra rana. Ogromny wydatek, ale cóż robić? Nieznając ani języka, ani miasta, usłuchałem rady. Około 8-ej wieczorem zajechałem z szykiem przed hotel du Grand S-t Michel, zapłaciwszy dorożkarzowi franka 50 centimów!

W hotelu zastałem już praczkę z wypraną bielizną. Dziwnie się pospieszyła! A więc znowuż wyłożyłem na stół franka 20 centimów... Z przerażeniem obrachowałem moją kasę pod latarnią: pozostało mi tylko 80 centimów na przyszłe wydatki!... Co dalej będzie? Bóg raczy wiedzieć. Rozgoryczony rozebrałem się pociemku i rzuciłem na łóżko, tuląc głowę do wałka (traversin), który tu często zastępuje naszą poduszkę. Tak się zakończył dzień pierwszy mojego pobytu w Paryżu!...

Upojony wrażeniami dnia i całodziennem łażeniem, spałem 12 godzin z rzędu, jak zabity!

Nazajutrz, 14-go lipca, *Fête nationale*, największe święto narodowe francuskie, rocznica wzięcia Bastylii przez obywateli Paryża w 1789-ym roku. Cały Paryż, ubrany chorągwiami o trzech kolorach (niebieski, biały, czerwony), dnia tego formalnie szaleje!...

Około 10-ej rano, ktoś puka do drzwi.

— *Entrez!*

Zjawia się obdartus; zaprasza na obiad *tak jak wczoraj*... W odpowiedzi wręczam mu moją portmonetkę. Zagląda, krzywi się rozczarowany. Proponuje, ażeby z okazyi dzisiejszej uroczystości sprzedać walizkę i harmonijkę, obiecuje przytem spieniężyć je za bajeczne pieniądze! Zachęcony, decyduję się. Układam pozostałe rzeczy na dzienniku, rozłożonym pod łóżkiem i z rezygnacyą wręczam obdartusowi moją chudobę. Podczas nieobecności obdartusa ubieram się jak można najporządniej, nakładam biały krawat! pragnę godnie powitać pierwsze święto na ziemi Rzeczypospolitej. Po pewnym czasie, wpada obdartus rozpromieniony i rzuca zwycięsko na łóżko franka 50 centimów!..

Stanowczo ukradł najmniej połowę! Dobry przyjaciel!

Co prawda, mógłby był ukraść wszystko co do grosza...

Idziemy do „marchand de vin" na obiad pod warunkiem, że każdy płaci za siebie. Tym razem,

obiad niedrogi, „ordinaire“: rosół z grochem szablastym, sztuka mięsa i kawałek chleba za 35 centimów na osobę. Po obiedzie i kawie obdartus wyłudził jeszcze odemnie 50 centimów, za co odprowadził mnie do bulwarów zewnętrznych (Boulevards extérieurs), prowadzących prosto do szkoły polskiej. Nadto radził mi, ażebym dla uniknięcia pomyłki często zwracał się do policyantów *(sergent de ville)*, gdyż oni najlepiej znają Paryż.

Bulwary „exterieurs” przedstawiają 14-go lipca wygląd jedyny w swoim rodzaju! Niema narodu na całej kuli ziemskiej, który potrafiłby bawić się z taką wesołością, werwą, ogniem, taktem i prostotą, jak Paryżanie! Powietrze, którem oddycha tłum, tchnie swobodą i wolnością; nie czuć w niem ani przygnębiającej dyscypliny rosyjskiej, ani ciężkości i wymuszoności hierarchicznej Niemców; widać, że każdy rwie się do życia, że żyje bez obawy, bez trosk, bez brutalności, pełen poczucia osobistej godności, pełen zaufania i wiary w wielkość swego kraju! Na mocy „Déclaration des droits de l'homme”, Francuz, pracując ciężko, ma prawo śmiać się do rozpuku! Naród lekki, żywy, rozmowny, ciekawy, posiadający dużo dobrego serca i patryotyzmu, łatwo daje się prowadzić przez bohaterów: dla sprawiedliwości gilotynuje *Robespierre'a*, ale z Bonapartem idzie aż do Moskwy! Nie posiada wprawdzie wytrwałości niemieckiej, ani praktyczności angielskiej, ani sentymentalności słowiańskiej, ale odznacza się bystrą inteligencyą, entuzyazmem i energią, którym dzięki zdolny jest

do wytwarzania cudów. Paryż, serce Francyi, jest zarazem niewyczerpanem źródłem najpiękniejszych idei. Jestem przekonany, że gdyby Francya kiedyś zniknęła z horyzontu, to Europa napewno umarłaby z nudów.

Bulwary „exterieurs“, długości wielu kilometrów, są usłane podczas święta narodowego mnóstwem czasowych, składanych budynków, zawierających: cyrki, menażerje, teatry, panoramy, strzelnice, *loterje, różne gry, restauracye* ze smażonymi kartoflami, „pommes de terre frites”, cukiernie, muzea, przedstawienia atletów, gimnastyków, magików, fenomenów, muzykantów ulicznych, śpiewaków, szarlatanów, sprzedających lekarstwa na wszystkie dolegliwości, czarownic i lunatyczek, przepowiadających przyszłość i rozmaitych handlarzy. Oprócz tego urządzone są wspaniałe karuzele z ogłuszającą muzyką, ozdobione w drewniane konie, woły, lwy, świnie i inne zwierzęta, karuzele z rowerami, czółnami, balonami, z koleją żelazną, góry rosyjskie z sankami etc. etc. Na placach publicznych przechodnie wesoło tańczą przy odgłosie rządowej muzyki, śpiewają chórem, skaczą, szaleją! Przed południem Prezydent Rzeczypospolitej, okrążony ministrami, senatem, parlamentem i kołem dyplomatycznem robi wielki przegląd wojsk, zajmujących departament Sekwany, w lasku Bulońskim, na polu Longchamps. Wieczorem zdobi miasto bogata iluminacya, zakończona zwykle przez okazałe fajerwerki, puszczane z mostów Sekwany. Wreszcie u Prezydenta, w pałacach Elizejskich odbywa się

wielki bal, a w operze — przedstawienie bezpłatne.

Nic dziwnego, że, idąc bulwarami i podziwiając co krok taką masę rozrywek, przybyłem, po rozmaitych trudnościach i przeszkodach, do szkoły polskiej dopiero koło 5-ej wieczorem.

Przy wejściu do szkoły spostrzega się duży napis: „Ecole polonaise“, ponad którym błyszczy biały orzeł polski!

Dyrektor szkoły, pan Malinowski, poczciwy staruszek, przyjął mnie uprzejmie i zaprosił na podwieczorek, złożony z chleba, sera i czerwonego wina. Dowiedziawszy się, w jakim celu przybyłem do Francyi, irytował się najwpierw, żem opuścił kraj, następnie nie radził wstępować do Legii Cudzoziemskiej natychmiast.

— Kochany Panie — mówił—naucz się przedewszystkiem języka, w przeciwnym bowiem razie, zmarniejesz tam, jak wielu innych, stracisz zdrowie i niczego się nie dobijesz. Obecnie w Legii jest naszych spora garstka, nawet kilku byłych uczniów szkoły. Od czasu do czasu otrzymuję od nich listy i zapewniam cię, że tylko ci, którzy władają wprawnie językiem francuskim, trzymają się jako tako, reszta zaś, albo odbiera sobie życie, albo umiera w kolonjach, kończy w więzieniach, lub w domu obłąkanych. Nadto, oprócz języka, potrzeba mieć niezmierny zapas żelaznej woli i cierpliwości, ażeby módz tam czegoś się dobić. Radzę ci przeto pozostać w Paryżu przynajmniej na rok jeden. Upewniam

cię, że nie pożałujesz, że rok ten nie będzie stracony. Pracując czy to w biurze, czy w jakimkolwiek zakładzie handlowym, poznasz zwyczaje narodu i przygotowany rozpoczniesz karyerę wojskową w warunkach o wiele korzystniejszych. Szkoła polska dostarczy ci książek i ułatwi naukę języka.

— Serdecznie dziękuję Szanownemu panu Dyrektorowi za Jego dobrą i prawdziwie ojcowską radę—odpowiedziałem—ale, nie mając żadnych stosunków w Paryżu, wątpię, ażebym, bez Jego pomocy, mógł jakąkolwiek pracę otrzymać.

— O, zapewne, nie łatwo. Trzeba czekać sposobności. W szkole, *malheureusement*, obecnie wszystkie miejsca są zajęte, przepełnione. Ale mogę napisać słów kilka do współrodaków. Mamy tu profesora Gasztowta, doktora Lewenharda, doktora Landowskiego, panią Duchińską, pana Korytko, doktora Gałęzowskiego, pana Krzyżanowskiego, Dygata i wielu innych zacnych Polaków, którzy przybyli do Paryża zaraz po 63-im roku. Pracują jak mogą, znają wiele osób; być może, że znajdą okazyę zużytkowania twoich sił i dobrych chęci. Ja, co prawda, od dwóch lat ze szkoły nie wychodzę zupełnie, zaniedbałem nieco znajomości... W każdym razie, proszę, przychodź do mnie co niedzielę na kolacyę i, „en attendant", trzymaj mnie „au courant" twoich projektów i zawodów. Zostaw swój adres. Weź na początek ten słownik polsko-francuski, a inne książki dostaniesz później.

Po tych słowach pożegnałem staruszka. Wsty-

dziłem się przyznać, że wszelkie moje środki materyalne są już wyczerpane. Przy wyjściu, obawiając się, żebym nie zabłądził, dał mi za towarzysza niejakiego pana Lasockiego, który odprowadził mnie aż do tramwaju na „place Clichy". Z powodu wyjątkowego tłumu, musiałem wsiąść do środka tramwaju i, na moją biedę, zapłacić za podróż 30 centimów, zamiast 15 na górze. Przyszedłszy do domu, znalazłem w portmonetce jeszcze 3 sous'y, t. j., 15 centimów, za które kupiwszy 6 papierosów, kropnąłem się spać, powierzając całą moją przyszłość losowi i szczęśliwej gwieździe... Tak się zakończył dzień drugi!

Na trzeci dzień, wstawszy wcześnie, wyszedłem na czczo z hotelu pełen nadziei wyszukania pracy. Chodziłem całutki dzień. Próbowałem tu i owdzie dać do zrozumienia, że pragnę pracować za bezcen, lub chociaż za życie, ale wszędzie odmawiano mi brutalnie i zamykano drzwi przed nosem. W jednem tylko miejscu, na rue d'Enghien, jakaś dzieczyna, biorąc mię za żebraka, wyniosła kawałek chleba. Wróciłem do domu z niczem. Pod wieczór czułem się tak głodny, żem sprzedał wszystko, co miałem u „marchand d'habits" za 2 franki. Obdartus nie pojawił się wcale.

Nazajutrz wyruszyłem w inną stronę miasta, na lewy brzeg Sekwany. W tej wycieczce poznałem tak zwane „duże bulwary" (les grands boulevards), które ożywieniem, wspaniałością gmachów i okazałością magazynów przewyższają wszystko,

co dotąd w życiu spotykałem. W końcu mój podziw zamienił się w zachwyt bez granic, gdym się znalazł na „place de la Concorde“, najpiękniejszym placu w Europie!

Niegdyś ten plac nosił nazwę placu Rewolucyi; na nim właśnie został ścięty 21 stycznia 1793 roku król francuski, Ludwik XVI. Z placu odkrywa się cudowna perspektywa z jednej strony na Pola Elizejskie i na ogród Tuilleries — a z drugiej, na kościół św. Magdaleny i na Parlament (palais Bourbons). Na środku placu wznosi się granitowy obelisk, przywieziony z Egiptu (z Luksor'u) w 1836 roku, oraz dwie pełne elegancyi fontanny, przedstawiające żeglugę rzeczną i morską. Oprócz tego plac jest ozdobiony przez 8 pawilonów kamiennych, wyobrażających 8 następujących miast Francyi: Lyon, Marsylję, Bordeaux, Nantes, Rouen, Brest, Lille i Strasburg. To ostatnie miasto, oddane przez Francuzów po nieszczęśliwej wojnie w 1870 roku Prusakom, zawsze jest owinięte czarną krepą na znak żałoby; patryoci francuzcy, rok rocznie składają na tym pawilonie wieńce pogrzebowe i kwiaty...

Maszerując dalej, spotkałem na quai d'Orsay ciężki wóz, naładowany kamieniami i zaprzęgnięty w pięć koni jeden za drugim. Pójdę za tym wozem aż do micjsca roboty, pomyślałem; być może, że tam znajdę zajęcie przy materyałach budowlanych... Wóz skręca na prawo. Podchodzę do kamieniarza, kłaniam się i wypowiadam zdanie, które wyciągnąłem z metody Olendorfa:

— *Pardon Monsieur, je voudrais bien travailler.* (Przepraszam Pana, pragnąłbym bardzo pracować). Kamieniarz spojrzał na mnie z pogardą— coś mruknął, poszedł dalej. Nie zrażając się, kroczę wciąż za kamieniarzem. Lecz ten, spostrzegłszy moją natarczywość, nagle zatrzymuje się, zaczyna mi wymyślać—złości się i w końcu, wygrażając batem, dodaje: „sale Prussien!“ (paskudny Prusak). Ten wykrzyknik elektryzuje przechodniów; zatrzymują się przez ciekawość; potem liczba ich się zwiększa; obserwują mnie z pewnem podejrzeniem; sytuacya moja staje się krytyczną. Zaczerwieniony po uszy, z obawy awantury—cofam się śpiesznie w stronę Sekwany i w końcu znikam z oczów obecnych.

Z jednej strony ucieszyłem się bardzo, że Francuzi nie lubią Prusaków, bo i ja ich nienawidzę, ale z drugiej począłem przewidywać z przerażeniem, że z moim cudzoziemskim akcentem mogę śmiało umrzeć z głodu.

Przechodzę jakiś most i staję przed kościołem Notre Dame. Katedra, zbudowana w 1163 roku, posiada dwie potężne wieże; w jednej z nich mieści się olbrzymi dzwon, ważący 13,000 kilogramów, oraz drugi „Sebastopolski“, sprowadzony przez Francuzów w 1856 roku, po wojnie Krymskiej. Wewnątrz kościoła znajduje się bardzo wiele pamiątek historycznych i dzieł sztuki, których opis wymagałby całych tomów. Obok kościoła kilku robotników naprawia ulicę. Zbliżam się nieśmiało, uchylam kapelusza, powtarzając znowu mój wyuczony

frazes: „pragnąłbym chętnie pracować“. Robotnicy spoglądają po sobie, śmieją się, oznajmiając, że mają dosyć ludzi do pracy. Jeden z nich, widocznie w złym humorze, powiada do kolegi tak, ażebym go usłyszał: „to napewno znowu jaki Włoch albo Niemiec, co zdycha z głodu w swoim kraju”... Uwaga robotnika głęboko mnie dotknęła. Chciałem zaraz mu oznajmić, że jestem Polakiem i że opuściłem kraj dla innych powodów—ale, nie znając dosyć języka, nie śmiałem. Zacisnąwszy wargi z przykrości, oddaliłem się wolno ku domowi. Do hotelu powróciłem późno wieczorem mocno przygnębiony; czułem, że mnie trawi gorączka.

Dnia następnego nie mogłem wcale ruszyć się z łóżka. Silne kłócie w piersiach i w krzyżach, ból głowy, szum w uszach i ogólny brak sił nie pozwoliły mi się podnieść.

Koło południa próbowałem ubrać się, ale nogi tak mi drżały z osłabienia, że znowu musiałem się położyć. Znudzony, wziąłem w rękę metodę Olendorfa, lecz przy powtarzaniu tak dziwacznych zdań, jak naprzykład: „Czy pan zjadł materac naszego dobrego sąsiada? Nie panie, ja nie zjadłem materaca naszego dobrego sąsiada, ale widziałem psa pańskiego bogatego kupca” i t. p., poczęło mi się w głowie kręcić i książkę odłożyłem na bok. Leżałem cierpliwie, patrząc w pułap i czekając; czekałem, nie wiedząc na co! Chwilami zdawało mi się, że słyszę kroki mego obdartusa i wówczas serce biło mi z radości. Niestety, dobry przyjaciel

wiedział, że już nic więcej nie mam do sprzedania— znikł jak kamfora. Pod wieczór uczułem po raz pierwszy w życiu kurcze głodowe... Pragnienie paliło mi język, wysuszało gardło i usta; w pokoiku nie miałem ani kropelki wody—a wodociąg znajdował się na podwórzu, za daleko! Całą noc męczyłem się nad wyraz, w końcu nad ranem zasnąłem. Przebudziwszy się około 9, spocony jak mysz, uczułem ogólne polepszenie. Postanowiłem więc wstać, dowlec się, pomimo wszystko, aż do szkoły polskiej i tam na jej progu umrzeć.

Przy wyjściu z domu, spotkałem w biurze hotelowem gospodarza i gospodynią, pijących kawę. Opowiedziałem im mój stan, sądząc, że się nademną zlitują, lecz gospodarz, porozumiawszy się z żoną, oznajmił mi z całą dobrocią, że ponieważ pojutrze kończy się mój termin, przeto wynajęli już pokoik naprzód jakiemuś robotnikowi z kolei żelaznej, czyli, że powinienem się wynieść. Zacni ludziska, pomyślałem, przelękli się mojej nędzy i poprostu wyrzucają mnie za drzwi! Pożegnałem ich z uśmiechem, spodziewając się do ostatniej chwili, że ofiarują mi trochę kawy i kawałek chleba, ale nic nie dali!... Miałem jeszcze 2 sous'y (10 centimów) i 4 papierosy! Zaraz przy wyjściu kupiłem sobie za sous'a chleba, który pożarłem z niewypowiedzianą chciwością. Kroczyłem zwolna w kierunku szkoły polskiej, chwiejąc się na nogach. Moje zniszczone ubranie i powykrzywiane buty zwracały uwagę przechodniów, miałem minę włóczęgi — zbrodniarza!... policyanci patrzyli na mnie z podejrzeniem.

Kroczyłem wciąż naprzód z obojętnością i dumą człowieka, który nie dba o nic. Upity powietrzem— odpoczywałem co chwila na ławkach publicznych, a potem znów kroczyłem dalej, jak wielbląd na pustyni.

Na bulwarze Magenta zatrzymałem się dłużej. Patrzę, na rogu stoi chłopak, wynędzniały, jak ja, stoi i rozdaje przechodniom afisze.

— Oto zajęcie w sam raz dla mnie!—pomyślałem. Stojąc na miejscu, nie zniszczyłbym ani butów, ani ubrania, a co główne, ten rodzaj pracy nie wymaga żadnej znajomości języka, idealne! Jak tu jednak zrobić, ażeby chłopaka sobie ująć i dowiedzieć się adresu właściciela afiszy?—Jeżeli chłopak nienawidzi cudzoziemców tak, jak kamieniarz, to z pierwszego słowa cały mój plan upadnie! A gdybym tak udawał, naprzykład, niemowę?

Przechodząc, biorę jeden afisz, czytam—ogłoszenie o sprzedaży wina. Wracam, zatrzymuję się przed chłopakiem, spoglądam na niego z uśmiechem i częstuję go papierosem. Chłopak zadowolony dziękuje, a ja, korzystając z chwili, daję mu poznać na migi, że jestem niemową, poczem proszę o kilka afiszy, staję obok i zaczynam także rozdawać. Robota idzie prędko; chłopak bardzo się cieszy; wręcza mi nową paczkę, znowuż rozdaję; w godzinę wszystko skończone! Chłopak ściska mi rękę na pożegnanie, ja zaś wszelkimi sposobami daję mu do zrozumienia, że pragnąłbym jeszcze rozdawać, żem głodny i t. d. Zrozumiał!... kiwnął na mnie gło-

wą i razem puszczamy się w drogę. Idziemy nadzwyczaj długo, prawie godzinę—ledwo lizę! Nareszcie, w okolicy „Palais Royal“ na ulicy Montesquieu, zatrzymujemy się przed kilkopiętrową kamienicą, na której wisi ogromna tablica z napisem: „Bonnard - Bidault“. Chłopak wprowadza mnie do biura, wskazuje palcem na jakiegoś pana, prawdopodobnie właściciela, a sam znika. Stanąwszy przed panem domu, wypowiadam gładko zdanie, które obmyśliłem w drodze: „Jestem Polakiem, człowiekiem uczciwym, pragnę chętnie pracować“. Na to pan właściciel uśmiecha się ironicznie—coś pyta, tłomaczy, gestykuluje, ale, widząc, że się ze mną nie dogada, zniecierpliwiony prowadzi mnie po dobrze brudnych schodach na pierwsze piętro. Wchodzimy do olbrzymiej sali—rodzaj audytoryum uniwersyteckiego. Na ławach szkolnych siedzi przeszło 300 osób, pisząc z zajadłością. Cisza grobowa, nic nie słychać, tylko szelest piszących piór. Naprzeciw drzwi mieści się zakratowane biuro, w którem na wysokim fotelu siedzi stary z długą, siwą brodą mężczyzna. Mój przewodnik przedstawia mnie, daje lakoniczne objaśnienie, poczem zostawia nas samych. Stary pan bez żadnych ceremonii zwraca się do mnie od razu po niemiecku. Pyta, czy umiem pisać? Umiem!

— W jakim języku?

— Po polsku, po rosyjsku, po niemiecku, mogę także kopjować po francusku—odpowiadam śmiało.

— Bardzo dobrze. Jak się pan nazywa?

Wypowiadam moje polskie nazwisko. Stary pan śmieje się—krztusi, nie może powtórzyć; zapisuje mój adres, zadawalniając się pierwszemi dwoma sylabami. W końcu przemawia w ten sposób:

— Przyjdź pan jutro rano o 7. Będzie pan przepisywał z książki na kopertach rozmaite adresa po rosyjsku i po niemiecku. Za 1000 przepisanych adresów w cudzoziemskim języku płacimy 75 centimów. Pracując pilnie, może pan zarobić franka 50 centimów dziennie. Obrachunek i wypłatę robimy co wieczór. Pod każdym innym względem—zupełna swoboda: może pan pracować co dzień, co drugi dzień, dwa razy na tydzień, rano albo popołudniu, jak pan sobie życzy. Zwykle po miesiącu nieobecności—wykreślamy z książek, co nie przeszkadza, że po miesiącu znowuż może pan się zapisać i pracować na tych samych warunkach. Po sześciu miesiącach stałej pracy, dom może pana przyjąć jako urzędnika do rozmaitych zajęć z miesięczną pensyą 60 franków. Moglibyśmy pana ulokować natychmiast, ale książki adresowe cudzoziemskie są złożone w archiwach, zanim je przyniosą! Lepiej, ażeby pan zaczął pracę od jutra rana; do widzenia, do jutra do 7!

Podziękowałem, wyszedłem na ulicę rozpromieniony! Czułem się niezmiernie szczęśliwy z tej kropli powodzenia. Pomimo głodu i pragnienia, nieopisany błogi spokój opanował moją duszę: byłem teraz pewny, że w Paryżu nie umrę z nędzy!... Z radości kupiłem sobie natychmiast za ostatniego sous'a „pommes de terre frites“ (smażonych kar-

tofli). Poczem, odpoczywając tu i owdzie, około 8, przywędrowałem do domu, gdzie, wyciągnąwszy się na łóżku, zapaliłem ostatniego papierosa i, marząc o wielkiej przyszłości, powoli zasnąłem!

Od tej chwili, pracując regularnie dziesięć godzin, otrzymywałem co wieczór franka 15 centimów na moje utrzymanie, czyli, jak mówią w Paryżu, 23 sous'y dziennie. Gospodarz, dowiedziawszy się o mojem powodzeniu, pozwolił mi pozostać w hotelu na dawnych warunkach. Wydatki moje ograniczyłem do minimum: rano—czarna kawa i chleb—3 sous'y; o 12—smażone kartofle, ryba i chleb—5 sous'ów; wieczorem—„ordinaire"—7 sousów; na hotel—6 sous'ów dziennie i na papierosy—2 sous'y. Pomimo tych oszczędności, po dwóch tygodniach spostrzegłem z przerażeniem, że palce zaczynają mi wyłazić z butów! Nadto ubranie moje było tak zniszczone, że wstyd mnie ogarniał przy każdem spotkaniu, nie śmiałbym się pokazać w żadnym przyzwoitym domu. Widziałem jasno ruinę, zbliżającą się ku mnie, jak lawa wulkanu. Z przestrachem przewidywałem dzień, w którym będę zmuszony udać się do biura na bosaka! Trzeba było jaknajśpieszniej radzić. Przestałem więc najwpierw palić papierosy, przez co mogłem odkładać 2 sous'y dziennie na czarną godzinę. Następnie, pragnąc zapobiedz katastrofie, postanowiłem szukać innego miejsca. W tym celu zawarłem serdeczniejszy stosunek z gospodarzem hotelu; prosiłem go, ażeby mi pozwolił wieczorami, po powrocie z biura, czytywać, ze słownikiem, dziennik paryski „Le petit

Journal", który regularnie otrzymywał i w którym na ostatniej stronicy zamieszczają małe ogłoszenia, proponujące rozmaite zajęcia.

Po dwóch tygodniach, mając do rozporządzenia zaoszczędzonych 30 sous'ów, pojechałem do Szkoły Polskiej. Pan Dyrektor przyjął mnie z równą uprzejmością jak pierwszym razem. Zachęcony, opowiedziałem mu moje przygody—oraz szczerze i otwarcie przedstawiłem całą sytuacyę. Na to dyrektor zawołał niejakiego pana Rubacha, pogadał z nim półgłosem, poczem zaprosił mnie na kolacyę. Przy stole gawędziliśmy o kraju—o wuju Walentym, o mojej dalekiej przyszłości. Po pewnym czasie zjawił się znowuż pan Rubach, przynosząc z sobą kompletną garderobę. Pan Dyrektor, uśmiechając się dobrotliwie, kazał mi ubranie przymierzyć.

Rzeczy, prawie nowe, leżały wcale nie źle: surdut trochę za luźny, spodnie nieco za krótkie, kapelusz za mały, buty za długie, ale nie zbyt rażąco, mogłem chodzić bez wstydu, wyglądałem tysiąc, miljon razy lepiej, jak w rzeczach własnych.

— Zatrzymaj je na sobie—rzekł pan dyrektor — noś ten kostyum od święta, a stare rzeczy używaj do zajęć biurowych.

Ucałowałem poczciwego starowinę z wdzięcznością w ramię.

Powracając do domu miałem minę senatora; gospodarz hotelu wcale mnie nie poznał, ukłonił mi się całą czapką.

Pewnego dnia, czytając jak zwykle małe ogłoszenia, odkryłem następujący anons: „Dom Marillet i Robelet“, patentowanie wynalazków — potrzebuje natychmiast chłopaka do biura (garçon de bureau). Zgłosić się pod adresem: (boulevard de Strasbourg № 23, od 8 godziny rano).

Po przeczytaniu ogłoszenia czułem się zupełnie zelektryzowany, nie mogłem zasnąć, rozmyślając bezprzestannie o nowem zajęciu.

Nazajutrz, skoro świt zerwałem się na równe nogi! Poraz drugi od miesiąca opuściłem moje biuro. Już o 7-ej rano znajdowałem się się na *boulevard de Strasbourg* na wskazanem miejscu! Stróż domu nie chciał mnie wpuścić; obiecałem dać na piwo, skoro tylko otrzymam obiecane miejsce. W krótce przybyli inni kandydaci; w chwili, kiedy pan Marillet otworzył biuro, było nas wszystkich 17-tu! Ja wszedłem pierwszy. Na pytanie pana Marillet, czy posiadam jakie świadectwa, wypowiedziałem jednym tchem długie zdanie, które ułożyłem w domu ze słownikiem: „Jestem cudzoziemcem, człowiekiem uczciwym i pracowitym; nikogo nie znam w Paryżu, umieram z głodu, chętnie będę pracował za 60 franków miesięcznie“.

Pan Marillet spojrzał na mnie podejrzliwie, zapisał mój adres i zadał mi mnóstwo pytań, które obok stojący urzędnik tłomaczył mi na język niemiecki. Pan Marillet dziwił się, że, posiadając wyższe wykształcenie i znajomość rysunków, decyduję się na przyjęcie tak marnego miejsca. Odpowiedziałem mu, że narazie pragnę przedewszystkiem

zapewnić sobie egzystencyę, ażeby módz spokojnie studyować język francuski, bez którego znajomości ryzykuję, pomimo ogólnego wykształcenia, umrzeć z głodu. Zrozumiał nareszcie moją sytuacyę i kazał przyjść nazajutrz.

Na drugi dzień zostałem przyjęty! Oprócz 70 franków, pan Marillet ofiarował mi we własnym domu pokoik na 6 piętrze *quai de Jemmapes, Nr 16*, wraz z pierwszem śniadaniem, światłem i praniem. Tegoż dnia przeprowadzałem się na nowe mieszkanie! Po raz pierwszy odetchnąłem swobodnie. Prawdę mówi Smiles, że, chcąc się wydobyć na wierzch, trzeba walczyć w życiu długo i cierpliwie, nie tracić nigdy nadzici, bo jasna chwila zawsze nadejść musi!

W biurze, oprócz mnie, pracowało jeszcze trzech panów: pan Holtz, z pochodzenia Szwajcar, tłomaczył z francuskiego na język niemiecki i angielski opisy rozmaitych wynalazków, przeznaczonych do patentowania. Gdy pan Marillet nie mógł się ze mną dogadać, zwykle zwracał się do pana Holtza, który tłomaczył mi jego rozkazy na język niemiecki. Pan Holtz otrzymywał 250 franków miesięcznie!!!... Następnie, pan Garnier, inżynier, wykonywał rysunki przedstawianych do patentu przyrządów i otrzymywał 200 franków na miesiąc. W końcu, pan Voine, który robił kopie z rysunków pana Garnier, pobierając 150 franków miesięcznie.

Co do mnie, zajęcia moje nie wymagały szczególniejszych zdolności: przychodziłem do biura o 7-ej rano, sprzątnąłem trzy sale, a potem, siedząc w przed-

pokoju, studyowałem metodę Olendorfa; od czasu do czasu tylko wychodziłem z listami do rozmaitych interesantów. Za to po obiedzie regularnie co dzień odnosiłem papiery i pieniądze, należne za wzięcie patentów do kasy rządowej na place Vendôme; czasami miałem przy sobie do 1000 franków; ściskałem wówczas z całej siły banknoty, z obawy, żeby mi ich kto nie wydarł, przytem czułem się nadzwyczaj zadowolony z tak wielkiego zaufania. W późniejszym jednak czasie dowiedziałem się, że pierwszego miesiąca w takich ważnych razach pan Robelet śledził za mną krok za krokiem.

Przy 60-ciu frankach pensyi i mieszkaniu, egzystencya moja nietylko, że została zupełnie zapewnioną, ale nawet, przez wzgląd na przeżyty głód i biedę, stałem się tak oszczędnym, że odkładałem na czarną godzinę przecięciowo 15 franków miesięcznie; obiady spożywałem u *marchand de vin*, a kolacye przyrządzałem u siebie nad lampą moich pryncypałów.

Naturalnie zaraz w pierwszą wolną niedzielę pobiegłem do szkoły polskiej, ażeby się podzielić mojem szczęściem z ukochanym dyrektorem. Radość była wspólna! Odtąd życie płynęło mi błogo, spokojnie, bez trosk, bez kłopotów; robiłem znaczne postępy we francuskim, rozwijając zarazem ogólne wykształcenie, czy to przez zwiedzanie różnych muzeów, jako to: Louvru, Luxembourg'u, Inwalidów, Carnavalet, Cluny, Galliera, Guimet, Sztuk pięknych, Historyi naturalnej i t. d., czy to przez uczęszczanie na koncerta Lamoureux, lub wycieczki

za Paryż z panem Holtzem, z którym zaprzyjaźniłem się po bratersku.

Po kilku miesiącach tej spokojnej egzystencyi, mianowicie w końcu grudnia, otrzymałem od Szkoły polskiej zaproszenie na Wigilję.

Z pierwszą na niebie gwiazdą, 32-wóch uczniów szkoły w mundurkach z oznakami polskiemi zasiadło wraz z profesorami do stołu, pokrytego sianem pod białym obrusem. Ja siedziałem obok pana Rubacha w świątecznym kostyumie, który sprawiłem sobie z własnych oszczędności. Przed zaczęciem wieczerzy doktór Ksawery Gałęzowski, sławny okulista europejski, przyjąwszy od księdza Tańskiego pobłogosławioną paczkę opłatków, począł się niemi dzielić z dyrektorem, profesorami, uczniami i ze mną, wyrażając życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności. Następnie, profesor Gasztowt wygłosił piękną, patryotyczną mowę, która wycisnęła łzy z oczu wszystkich obecnych. Pan Gasztowt, pomimo że nigdy w Polsce nie był, włada znakomicie językiem ojczystym i czuje głęboką tęsknotę za krajem. Podczas wieczerzy gawędziliśmy z panem Rubachem o kraju, o kolonii polskiej w Paryżu, o nowoprzybyłych, w końcu o mojem stanowisku i zajęciach.

— A dlaczego pan nie postara się o miejsce tłomacza?—zagadnął nareszcie pan Rubach. — Znając doskonale język rosyjski, sądzę, że tego rodzaju posada byłaby dla pana o wiele korzystniejsza.

— Zapewne— odpowiedziałem — ale gdzie jej szukać? Myślałem już o tem; chciałem nawet,

dać ogłoszenie w gazetach, lecz pan dyrektor mi odradził, mówiąc, że w ostatnich czasach przyjechała taka masa Rosyan na wykłady do Sorbony, że dziś język rosyjski wcale nie popłaca.

— *Tiens, tiens*... A czy pan zna doktora Landowskiego?—nagle zapytał.

— Nie, nie znam.

— Radziłbym panu do niego się zgłosić. Właśnie kilka dni temu spotkałem go w kościele polskim, rue St. Honoré; mówił mi, że niedawno przyjechał tu do Paryża niejaki pan Haberbusz z Warszawy, który ma zamiar otworzyć jakieś potężne biuro próbek, czy coś w tym guście. Otóż ten pan Haberbusz poszukuje młodych rodaków, znających cudzoziemskie języki. Jeżeli jeszcze nikogo nie znalazł do rosyjskiego, to miejsce byłoby w sam raz dla pana. Doktór Landowski mieszka rue Blanche Nr. 36, niedaleko od nas. Wreszcie jutro Boże Narodzenie, wielkie święto, przyjdź pan na mszę o 10-ej do naszego kościoła; bardzo być może, że go tam spotkamy, to pana przedstawię.

Na tem urwała się rozmowa. Po skończonej wieczerzy przeszliśmy do innej sali, gdzie błyszczała od osób i prezentów wspaniała, rzęsisto oświetlona choinka. Młodzież zaśpiewała kilka wesołych kolend, poczem zaczęto rozdawać podarki. Bawiono się serdecznie, jak w wielkiej, kochającej rodzinie. Pod koniec całą gromadą zaśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła“ i, uściskawszy się po bratersku, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

Nazajutrz, 25-go grudnia, udałem się, zgodnie z radą pana Rubacha, do kościołka polskiego, do „l'Assomption", na ulicy St. Honoré; w kościele znajduje się obraz naszej Matki Boskiej Częstochowskiej, a księża nauczają z ambony po polsku! Przy wyjściu z kościoła zrobiłem znajomość z doktorem Landowskim i z panem Haberbuszem.

Pan Haberbusz rzeczywiście otworzył „un grand établissement d'échantillons", którego idea i cel są genialne: Zakład żyje z abonentów. Każdy abonent, płacąc 20 franków na rok, otrzymuje wyjątki z pism całego świata o wszystkiem, co może interesować jego specyalność. Oprócz tego, odbiera próbki rozmaitych wyrobów, a, na żądanie, wiadomości detaliczne budowy lub fabrykacyi. Tak np. fabrykant papieru, płacąc 10 franków na rok, otrzymuje co miesiąc wszelkie wiadomości z całego świata, tyczące udoskonalenia fabrykacyi papieru, próbki tego papieru, a, na żądanie, opis szczegółowy udoskonalonej fabrykacyi.

Dom Haberbusza, dzięki wspaniałym prospektom, rozesłanym po całym świecie, zgromadził już przeszło 5,000 prenumeratorów. Obecnie chodzi o to, ażeby zadość uczynić ich życzeniom i, przez głośne reklamy rozwinąć jeszcze więcej zakład. Moja znajomość języka rosyjskiego i rysunków przypadły mu bardzo do gustu. To też pan Haberbusz, bez wahania, ofiarował mi miejsce od 1-go stycznia za 180 franków miesięcznie, oraz wolne mieszkanie przy biurze, znajdującem się w pasażu Saulnier pod Nr. 13.

Na trzeci dzień oznajmiłem panu Marillet, że muszę go opuścić.

Pan Marillet, zaskoczony, irytował się bardzo, ale w końcu musiał przyznać, że mnie zanadto eksploatował i musiał być przygotowany na moje nagłe wyjście przy pierwszej korzystnej dla mnie sposobności. Pan Holtz cieszył się nadzwyczaj, zacierał ręce, powtarzając: „Dobrze im tak, gałgany! Kto to słyszał płacić uczciwemu pracownikowi 60 franków na miesiąc! Wstyd dla Francyi! Złodzieje“!...

Zakład pana Haberbusza z początku rozwijał się w zadziwiający sposób: Abonenci przypływali z rozmaitych krańców świata, fortuna wzrastała z piorunującą szybkością! Ideja była pyszna, ale zakład posiadał zbyt mało ludzi fachowych, ażeby módz zadość uczynić przyobiecanym przez prospekty zobowiązaniom. Po kilku miesiącach zaczęły się pojawiać listy z reklamacyami, pełne niezadowolenia, a nawet groźby!... Pan Haberbusz pracował po całych dniach, my podobnież, ale wszystko to było za mało! Liczba niezadowolonych i grożących wzrastała z każdym dniem. Tak, że wreszcie około 1-go kwietnia, zakład ostatecznie zamknięto; pan Haberbusz wyjechał do Warszawy, a ja zostałem na bruku!

Na szczęście, że mieszkanie było zapłacone do 1-go lipca!...

Podczas mego pobytu w zakładzie, miałem sposobność zbliżyć się z pewnym inżynierem francuskim, Janem Thiollier, człowiekiem zamożnym i wiel-

kiej zacności charakteru. Poznawszy mnie bliżej, dał mi on wiele dowodów sympatyi, bezinteresownej przyjaźni i w końcu stał się prawdziwym moim opiekunem. Często też wychodziliśmy razem, dzieląc wzajem nasze wrażenia, czy to na przedstawieniach teatralnych, na które przynosił zawsze bilety, czy to na konferencyach naukowych w Sorbonie, gdzie mnie wprowadzał, kilka razy na tydzień i t. p. Otóż Jan Thiollier nie wierzył w powodzenie zakładu i zaraz w początkach przepowiadał jego bliski upadek. Dowiedziawszy się więc o katastrofie, natychmiast przybiegł mnie odwiedzić.

Radził nie tracić czasu, lecz zaraz wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, t. j. zacząć jaknajprędzej karyerę wojskową, cel, dla którego właściwie przybyłem do Francyi; znajdował, że władam już dosyć dobrze francuskim i że dalsze udoskonalenie przyjdzie samo z czasem. Naturalnie, miał racyę, ale mnie było przykro opuszczać Paryż, tembardziej teraz, kiedy, znając lepiej język, poczynałem na dobre korzystać z jego światła i piękności. Wykręcałem się też jak mogłem, dając za powód, że ponieważ mieszkanie jest zapłacone do 1-go lipca, mogę przeto pozostać do tej daty, żyjąc z własnych oszczędności. Widząc mój upór, ustąpił, ale twierdził, że, we Francyi zjadanie bezpotrzebne ciężko zdobytych oszczędności uważa się za samobójstwo materyalne, że oszczędności winny być przeznaczone wyłącznie na wypadek nieszczęścia lub choroby, że, dzięki zastosowaniu tej maksymy Francya stoi tak wysoko pod względem ogólnego dobroby-

tu, proponował więc, ażebym wstąpił na tymczasem do pracowni inżyniera Eiffla, który, śpiesząc się z budową swej wieży na wystawę powszechną, chętnie przyjmuje techników nadetatowych. Propozycyę przyjąłem. W pracowni Eiffla było nas przeszło 80 rysowników. Jedni obrachowywali roboty, drudzy komponowali bruliony, trzeci rysowali na czysto, inni powiększali, zmniejszali lub kopiowali wykończone plany i rysunki. Za 8 godzin dziennej pracy, z wyjątkiem niedzieli, otrzymywałem 200 franków miesięcznie.

Przez siedem tygodni, pracując u Eiffla, używałem Paryża całą duszą, jak człowiek, skazany na bliską, niechybną utratę wolności. Po siedmiu tygodniach, gdy wstępne roboty były wykończone, pan Eiffel uwolnił wszystkich nadetatowych pracowników.

Od tygodnia więc siedzę w domu. Jan Thiollier wyjechał na kilka tygodni do Londynu za interesami.

Wczoraj pożegnałem ostatecznie Szkołę polską wraz z jej kochanym dyrektorem. *Jutro wstępuję do Legii Cudzoziemskiej.* Od jutra przestanę być cudzoziemcem - włóczęgą, wolnym obywatelem świata! Wejdę pod opiekę bezpośrednią rządu Rzeczypospolitej francuskiej, jako żołnierz, jako członek sił zbrojnych Francyi! Odwagi!...

II.

Początek nowej drogi.

Zanim przystąpię do opisu wrażeń i przygód osobistych w Legii Cudzoziemskiej, postaram się przedstawić czytelnikom w głównych zarysach ten korpus wojskowy francuski, którego system rekrutowania jest jedynym w swoim rodzaju w Europie.

Legia Cudzoziemska była zorganizowana za króla Ludwika Filipa, na mocy rozkazu królewskiego z dnia 10 marca 1831 roku. Zgodnie z tym dekretem, nowo sformowany, wyłącznie z cudzoziemców, korpus nie miał prawa brania udziału w wojnach, mogących mieć miejsce na terytoryum francuskiem.

Z okazyi ostatnich wypadków pod murami Kazablanki (Casablanca), generał francuski Zurlinden, były gubernator miasta Paryża, poświęca Le-

gii Cudzoziemskiej w dzienniku *Gaulois* długi, bardzo chwalebny artykuł, z którego pewną część poniżej przytaczam:

„Legia, zaraz po sformowaniu, oddała wybitne usługi Francyi w nowo zdobytej kolonii Algeryi, odznaczając się nietylko walecznością w rozmaitych miejscowych wyprawach, ale także pracowitością przy budowie nowych fortów oraz dróg i komunikacyi; silny duch współzawodnictwa panował wówczas w Legii między batalionami, które były złożone każdy z oddzielnej narodowości. W 1835 r. dwa bataliony Legii, polski i włoski wzięły udział w nieszczęśliwej wyprawie w okolicach Makta, podczas której oddział generała Trezel'a został zaskoczony przez głównego wodza Arabów, Abd-el-Kadera i tylko, dzięki wielkiej energii Polaków, uniknął zupełnego zniszczenia; na 2,500 ludzi, 1,000 zostało na placu bitwy, a między rannymi znajdował się także podpułkownik Bazaine.

W tymże niemal czasie w Hiszpanii wybuchły wewnętrzne rozruchy, spowodowane walką don Carlistów z partyzantami regentki. Francya chętnie pragnęła podtrzymać rząd hiszpański; obawiając się jednak, przez wprowadzenie armii francuskiej na terytoryum Hiszpanii, różnych komplikacyi politycznych, postanowiła ustąpić poprostu rządowi hiszpańskiemu Legię Cudzoziemską. W owym czasie Legia posiadała, oprócz licznej i wytrawnej piechoty cudzoziemców, dwa piękne szwadrony ułanów polskich, znajdujące się pod dowództwem dzielnego pułkownika Krajewskiego. Legjoniści pozostawili

w Hiszpanii bardzo miłe wspomnienia: wszędzie i zawsze sprawiali wrażenie ludzi walecznych i niezrównanie wytrwałych. Jeden z generałów hiszpańskich określił stan duszy legionistów w następujący lakoniczny sposób:

„Ich serca napełnia jedna tylko radość, jedna nadzieja: będziemy się bili!"

Kapitan Azan w ostatniem swem dziele: „Legia Cudzoziemska w Hiszpanii", bardzo trafnie także ocenia legionistów, mówiąc: „W monotonnem, szarem życiu koszarowem, legjonista poddaje się szybko melancholii, staje się rozpustnym i niesfornym, ale za to podczas wyprawy wojennej natychmiast przekształca się w żołnierza nadzwyczaj czynnego, karnego, walecznego, zdolnego do największych wysiłków i poświęceń. Opuściwszy ojczyznę, rodzinę, przyjaciół, legjonista często ukrywa pod płaszczem żołnierskim dramat tajemniczy ze swojej przeszłości. Porzuciwszy środowisko i społeczeństwo, w których niegdyś przebywał, najczęściej wstępuje do Legii, ażeby zagłuszyć ból moralny, wyjednać przed własnem sumieniem przebaczenie za popełnione w przeszłości błędy; potrzebuje więc oddychać powietrzem wolnem na bezgranicznej przestrzeni, gardząc śmiercią i cierpieniem, poszukuje wciąż walki fizycznej i niebezpieczeństwa. Z tych to przyczyn i powodów Legia Cudzoziemska pozostanie zawsze wyborną, zadziwiającą siłą zbrojną dla naszej ojczyzny".

Legia Cudzoziemska wraz z Turkosami, Strzelcami senegalskimi i Piechotą marynarki, jest uwa-

żana we Francyi jako wojsko, odznaczające się największą wytrwałością. Dała wreszcie tego dowody we wszystkich wyprawach Algeryi, pod Dżidżelą, pod Milianah'ą, na południu prowincyi Oranu, pod Zanteką, w prowincyi Konstantynu, w Meksyku, w wojnie Krymskiej, w Tonkinie, Dahomey'u, na Madagaskarze, w Maroko etc. Obecnie Legia, licząc przeszło 15,000 ludzi, Francuzów i cudzoziemców, składa się z dwóch pułków, stojących: 1-szy pułk w Sidi Bel-Abes, a 2-gi w Saïdzie (w prowincyi Oranu). Oprócz stałej służby w północnej Afryce, legjoniści są wysyłani peryodycznie do Indo-Chiny i do Madagaskaru.

Służba w Legii Cudzoziemskiej dla oficerów francuskiej armii czynnej uważaną jest jako chwalebne świadectwo, nadające prawo do szybkiego awansu.

Do Legii (Légion Etrangère) rząd przyjmuje wszystkich bez wyjątku od 18 do 35-ciu lat wieku, nie pytając przytem o żadne świadectwa, ani papiery. Najlepiej jednak jest wstępować, mając lat 25 skończonych, t. j. w epoce, kiedy organizm zupełnie sformowany może dać odpór chorobom kolonialnym: anemii, febrze, dysenteryi etc.

Pragnąc wstąpić do Legii, wystarcza przedstawić się w biurze mera (burmistrza) pierwszego lepszego miasta francuskiego i wyrazić życzenie służenia w Legii. Maire zawiadamia natychmiast doktora wojskowego, który, przekonawszy się, że kandydat nie posiada żadnych szczególnych wad fizycznych, wydaje mu świadectwo i odsyła go na

koszt rządu do najbliższego biura rekrutowego. Tam kandydat oświadcza, że nazywa się naprzykład „Stół“, że ma lat 26 i że jest takiej a takiej narodowości; naturalnie, że wszystkie te dane są najczęściej fantastyczne, ponieważ biuro nie pyta o żadne oficyalne dowody. Zaraz po tem zeznaniu, które służy do zredagowania książeczki wojskowej, kandydatowi wręczają do podpisania, przy dwóch świadkach, kontrakt, na którego mocy zobowiązuje się służyć wiernie rządowi francuskiemu przez lat pięć; od tej chwili, rząd uważa go za swego żołnierza, czyli że, w razie ucieczki, oddaje go pod sąd wojskowy i karze podług praw wojskowych francuskich. Po podpisaniu kontraktu, biuro rekrutowe zapewnia dalszą egzystencyę kandydatowi; najczęściej tegoż dnia odsyła go do Marsylii, skąd zebrani ze wszystkich stron ochotnicy, regularnie co sobotę, wyjeżdżają okrętem do Afryki, do miasta Oranu, punktu zbornego Legii Cudzoziemskiej.

Przybyły do Legii ochotnik może po paru latach, jeżeli pracuje i dobrze się prowadzi, zostać podoficerem i wówczas jego sytuacya staje się zupełnie znośną. Po ukończeniu 15 lat służby, ochotnik (jeżeli podczas tych 15-tu lat zostanie podoficerem) otrzymuje przy wyjściu z wojska dwa tysiące franków gotówką, oraz stałą dożywotnią pensyę 100 franków na miesiąc, nawet gdyby resztę swego życia pragnął przepędzić w ojczystym kraju. Nareszcie ci, którzy posiadają prawdziwą metrykę, mogą po trzech latach dobrej służby otrzymać na żądanie naturalizacyę francuską i wstąpić do szkoły

oficerów, do St. Maixent. Zostawszy oficerem, legionista zdobywa też same prawa, co wszyscy inni oficerowie armii francuskiej, czyli, że może przechodzić do innych pułków, stojących we Francyi, a po 25-ciu latach służby, mając, naprzykład rangę kapitana, otrzymuje dożywotnią pensyę, około 300 franków na miesiąc.

Od pewnego czasu rząd francuski, dla ułatwienia cudzoziemcom oswojenia się z językiem, dopuszcza do Legii także starych wiarusów Francuzów, którzy ukończyli obowiązkową służbę wojskową w armii czynnej; są to przeważnie ludzie, którzy, nie posiadając ani rodziny, ani środków do życia, wstępują do Legii, ażeby módz wyjechać na koszt rządu do Indo-Chin i tam osiedlić się na stałe, albo jako koloniści, albo jako urzędnicy dobrze płatni w prywatnych przedsiębiorstwach. Wogóle jednak element cudzoziemski przewyższa w Legii element francuski; podług statystyki d'Esparbès'a, 1-szy pułk cudzoziemski zawierał dnia 1 stycznia 1898 roku: 1,612 Francuzów, 1,551 Alzatczyków, 1,441 Prusaków, 1,007 Belgijczyków, 573 Szwajcarów, 268 Włochów, 214 Austro-Węgrów, 106 Luksemburczyków, 65 Holendrów, 51 Hiszpanów, 41 Rosyan i Polaków, 29 Amerykanów, 29 Turków i Egipcyanów, 21 Anglików i Irlandczyków, 13 Arabów, 13 Serbów, 10 Rumunów, 10 Szwedów i Norwegczyków, 9 Greków, 1 Portugalczyk, 1 Murzyn i 1 Indyanin.

Naturalnie, wyżej wymienione liczby przedstawiają tylko przypuszczalne dane, gdyż biuro puł-

kowe nie posiada żadnych oficyalnych papierów, pozwalających sprawdzić je, z wyjątkiem osób narodowości francuskiej.

Na zakończenie, w celu dopełnienia tego ogólnego zarysu Legii, przytoczę tu jeszcze kilka ustępów z „*Revue des Deux Mondes*“, z artykułu „*La Légion étrangère*“ pułkownika wojsk francuskich de Villebois-Mareuil:

„Wyprawa na Madagaskar znowuż zwróciła oczy wszystkich na Legię Cudzoziemską. W Tonkinie, na wyspie Formozie i w Dahomeyu podziwialiśmy w niej owego wcielonego ducha walki, który na placu boju pcha ją bezprzestannie naprzód, ową stoiczną obojętność wobec śmierci, która hartuje duszę prawdziwego żołnierza! Nadzwyczajne zalety wojownicze tego korpusu uwydatniły się bardzo znacząco w ostatniej ekspedycyi do Tananariwy, gdzie energia walczących zastąpiła sztukę wojenną, która nie mogła być zastosowaną podczas marszu na tej długiej, przeklętej, usłanej mogiłami naszych synów, drodze! Jestto najlepszym dowodem, że organizmy młode i niedostatecznie rozwinięte nie są zdolne do życia w klimacie kolonialnym. Dlatego *nasz* pułk, chociaż był uformowany z młodzieży, pełnej ognia i zapału, prawie że natychmiast zmarniał, że tak powiem, stopił się w słońcu podzwrotnikowem, gdy tymczasem, Legia, przeciwnie, będąc złożona przeważnie z ludzi dojrzałych, utrzymała swe siły do końca wyprawy, wzbudzając ogólną admiracyę i podziw naszych wodzów.

Legia składa się z ludzi dojrzałych, z żołnierzy z powołania, dla których karyera wojskowa służy jako przytułek, jako zapewniony kawałek chleba, często jako cel otrzymania naturalizacyi i opieki francuskiego rządu, a czasami, jako rehabilitacya niewyraźnej lub haúbiącej przeszłości. W tem dziwnem środowisku, do którego człowiek wstępuje zupełnie zamaskowany, bez żadnych papierów, świadczących o tożsamości wymienionego nazwiska, wieku, pochodzenia, zajęcia, narodowości, *bez żadnej* rekomendacyi, bez żadnych świadectw, mówiących cośkolwiek o przeszłości — spotyka się oryginalną mieszaninę złych i dobrych, mieszaninę ukrytego heroizmu i dusz na zawsze zgubionych! Pomimo to, można jednakże zapewnić, że z tej nieokreślonej całości tryska zawsze wielka energia, żelazna siła woli, wrodzony popęd do życia awanturniczego, zadziwiająca płodność inicyatywy, nadzwyczajna pogarda śmierci, najwyższe zalety i cnoty istot wojowniczych! To wrażenie całości odbija się nawet na jednostkach, gdy się obserwuje legionistę, maszerującego dumnie i swobodnie na ulicy ze swą wciętą figurą, podpasaną kokieteryjnie szerokim, błękitnym, afrykańskim pasem, lub gdy, stojąc pod bronią, salutuje przechodzącej starszyznie, zawsze i wszędzie widać ten wyraz twarzy zdecydowany, ten krok, tchnący pewnością siebie, który wykazuje człowieka czynu, męzkości i wyższości; żaden inny żołnierz nie posiada tego zachowania się i umundurowania bez zarzutu, tego pełnego dumy ukłonu, tej zewnętrznej beznagannej dyscypliny! Widać, że są to ludzie, któ-

rzy przestali oddychać naszą towarzyską małostkowością. Każdy legionista żyje jakiemś osobistem marzeniem. Na czem polega to marzenie? Nikt tego nie wie, a nawet często on sam nie potrafi go określić, ale wszystkie nieszczęścia w karjerze wojskowej do niego odnosi, niem tłomaczy, we wszystkiem je obwinia; marzenie to nazywa się „*le cafard*". I jeżeli kto go zapyta, dlaczego to lub owo zbroił— niezmiennie odpowiada: to wina cafardu! Odpowiedź ta wystarcza; jest ona zrozumiała dla wszystkich, żyjących w Legii, pomimo, że nikt nie umie jej wytłomaczyć. „*Le cafard*" jest wspomnieniem przeszłości, które, od czasu do czasu oburzając się na teraźniejszość, przechodzi, jak mglista chmura, przez mózg legionisty, zaciemnia jego inteligencyę i jest główną przyczyną jego dziwactw i postępowania. Zkąd przychodzą legioniści? Z całego świata. Jedni, czując w sobie powołanie wojskowe, nie mogą służyć u siebie, bo nie posiadają własnej armii, tak naprzykład: Polacy, Irlandczycy, Alzatczycy, Korsykańczycy, i t. p. Inni, posiadając armie nieliczne, nie mając nadziei wzięcia udziału w wojnach europejskich, przychodzą do Legii, ażeby szukać szerszego pola działalności, tak naprzykład: Belgowie, Szwajcarzy, Duńczycy i t. p. Inni jeszcze, nie mogąc znieść brutalności starszyzny w służbie własnego kraju, uciekają i przychodzą do Legii jako dezerterzy, ażeby módz z czego żyć, tak naprzykład: Prusacy, Rosyanie, Turcy i t. p. W końcu, do Legii przychodzą także rozmaici awanturnicy, szukający nowych wrażeń i niespodzianek,

rozbitki i wyrzutki społeczeństwa, oraz zbrodniarze wszelkiego rodzaju i wszelkich klas!

Dnia 30 czerwca, wstawszy o 7-ej rano, wręczyłem strożowi klucze od mieszkania, poczem, pożegnawszy wszystkich sąsiadów, wyruszyłem na miasto w kierunku Biura rekrutowego, na ulicę St Dominique. Kroczyłem zwolna, bez zapału. Myśl, że za parę godzin podpiszę kontrakt, pozbawiający mnie swobody i wolności na lat pięć, a może na zawsze, odbierała mi otuchę. Powoli jednak począłem godzić się z losem, rozważać, rozbierać, marzyć; ułożyłem sobie także mój osobisty „*cafard*", a marzenie moje, jak śmiech dziecinny, płynęło serdecznie, nie uznając żadnych przeszkód, żadnych granic! Przebiegałem myślą szybko różne stopnie i rangi, z pośpiechem dążąc coraz wyżej, coraz wyżej, aż do szczytu wielkości i sławy! Odczuwałem już w sobie ducha legionisty, czułem, że jeżeli sposobność się nadarzy, to będę walczył, jak lew i jeżeli kula mnie ominie, to wkrótce zostanę oficerem. Potem, marzyłem dalej — może zrobię jaki wojskowy wynalazek, wstąpię do Akademii Generalnego sztabu i powoli, powoli dobiję się rangi generała... Następnie przedstawię rządowi mój wielki projekt, projekt nowej armii, który pieszczę już od dawien dawna, projekt takiej armii, na której utrzymanie rząd francuski nie wyda ani centima, a będzie ona najlepszą, najwaleczniejszą, najpotężniejszą w świecie! O, za to bezwarunkowo zrobią

mnie ministrem wojny!... A potem?... Potem, ułożę plan strategiczny zniszczenia Niemców; zbiję ich na miazgę, odbiorę Alzacyę, Lotaryngię, Poznań i, powróciwszy z tryumfem do Paryża, zostanę wybrany prezydentem Rzeczypospolitej francuskiej... A potem?... Potem złączę się z Austryą, odbiję Warszawę i wstąpię na tron Królestwa Polskiego! Mając zaś jedną nogę w Paryżu, a drugą nad Wisłą, urządzę ogólną rewolucyę i Stany Zjednoczone Europy! Następnie, drogą dyplomatyczną, przyłączę do niej inne części świata i, jako Prezydent Rzeczypospolitej Uniwersalnej, przemówię w te słowa do wszystkich narodów świata: „Narody, kochajcie się i łączcie; niechaj cała nasza planeta zamieni się w jedną uczciwą, pracowitą Rodzinę, tak jak przykazał Chrystus, na wieki wieków—Amen"!

Przy ostatnich myślach stanąłem w Biurze rekrutowem. Jakiś gruby podoficer (sergent) zrzucił mnie z obłoków, zapytując szorstko:

— *Qu'est-ce qu'il y a à votre service?*

— Przychodzę zaangażować się do Legii Cudzoziemskiej—odpowiedziałem śmiało.

— A? Dobrze. Jak się pan nazywa? Czy ma pan jakie papiery?

— Owszem.—I w tejże chwili, wręczyłem mu patent ze szkoły Łowickiej, który kilka dni temu kazałem przetłomaczyć na język francuski przez przysięgłego tłomacza „non varieteur".

Podoficer skopjował z niego, na osobnej kartce, rozmaite dane i kazał wrócić za godzinę na rewizyę doktora.

Usiadłem na podwórzu. Zaczęli się zbierać inni ochotnicy. Około 10-ej było nas dwunastu, lecz tylko trzech kandydatów do Legii: jakiś dobrze wyszarzany, brudny Francuz, nazwiskiem Méra, mający minę włóczęgi i pijaka; następnie młody, elegancki Anglik, nazwiskiem Flint, aptekarz z Londynu i ja; inni, z urodzenia Francuzi, zapisywali się do Infanterie de marine (piechota floty). Monsieur Méra odrazu uczuł do mnie nadzwyczajną sympatyę, ale, nie mogąc wymówić mego nazwiska, nazywał mnie poprostu „mon cher Poniatowski", dla tego, że sam mieszkał pod fortyfikacyami Paryża na bulwarze Poniatowskiego, a potem imię marszałka księcia Poniatowskiego jest bardzo popularne w całej Francyi, wszyscy je znają na równi z imieniem „Kosciuszko"... Pan Flint, oczekując na rewizyę doktora, zdążył opowiedzić mi w bardzo złej francuzczyźnie swoją krótką, lecz oryginalną historyą życia:

Jest żonaty, ma dwoje dzieci; kilka lat temu, pokłócił się z rodziną, porzucił żonę i dzieci i wstąpił do Legii. Był w Indjach, podróżował, czuł się w swoim żywiole. Ale zrozpaczona żona, nie mogąc sama dać sobie rady, podała prośbę do rządu francuskiego, w której, wystawiając swoje położenie, prosiła o zwrot męża. Minister wojny uwzględnił prośbę pani Flint i dwa lata temu kazał męża odesłać na koszt Francyi aż do miasta Calais. Otóż, przed kilku miesiącami pan Flint znów pokłócił się z rodziną, porzucił wszystko i obecnie powtórnie wstępuje do Legii!..

Przyjechał doktór wojskowy! Ma na każdym rękawie po 3 złote tasiemki. W armii francuskiej rangi oficerskie oznaczone są na rękawach munduru liczbą złotych tasiemek, zwanych „galonami": pierwsza ranga, podporucznik, posiada na każdym rękawie jeden galon; porucznik—dwa galony, kapitan—trzy, major — cztery, pułkownik — pięć. Wołają! Idziemy na pierwsze piętro. Rozbieramy się zupełnie, poczem, każdy z nas na zawołanie przedstawia się doktorowi w osobnym gabinecie. Mając około 50-ciu franków drobnemi, obawiałem się zostawić je w kieszeni, przedstawiłem się więc doktorowi z portmonetką w ręku; doktór śmiał się bardzo z mej ostrożności, chociaż w gruncie podzielał mój brak zaufania do ludzi nieznanych. Obejrzał mnie dosyć powierzchownie, zbadał wzrok, zęby, zapytał czy nie podlegam chorobie serca lub epilepsyi, nareszcie obok mego nazwiska zanotował: „bon pour le service". Po skończonej rewizyi podoficer oznajmił nam, ażebyśmy wrócili do biura po obiedzie, około godziny 3-ej, po instrukcye i papiery.

Mając dużo wolnego czasu przed sobą, poszedłem do pałacu Inwalidów, ażeby tam jeszcze raz, przed wyjazdem w nieznaną drogę, zwiedzić wspaniały grób Napoleona 1-go. Z całej historyi narodu francuskiego wysuwają się naprzód trzy olbrzymy: Ludwik XIV-y, Rewolucya z 1793-go roku i Napoleon 1-y. Dzięki pierwszemu, język, etykieta, wychowanie, elegancya, literatura i sztuka Francyi puściły korzenie na całutkim świecie; dzię-

ki drugiej, ludzkość odkryła nareszcie swój cel; dzięki Bonapartemu, sława oręża Francyi doszła do maximum potęgi. Obecnie Francya, żyjąc wspomnieniami wielkich czynów tych trzech olbrzymów, oczekuje czwartego, zwanego „Nauką“.

Zjadłszy obiad u „marchand de vin“, około 3-ej powróciłem do biura. Wszystko już było gotowe. Podpisałem kontrakt; *wręczono mi książeczkę* wojskową, rozmaite instrukcye na przyszłość oraz pieniądze na podróż do Marsylii i franka 50 centimów na życie.

Zostałem żołnierzem wojsk francuskich!

Podoficer, wręczając mi papiery i pieniądze, uprzedził, że od tej chwili należę do armii czynnej, czyli, że w razie ucieczki będę uważany jako dezerter, popełniający kradzież rządowych pieniędzy, za co oddany będę pod sąd wojenny i skazany na lat sześć do ciężkich robót.

— Radzę panu—ciągnął dalej—natychmiast udać się do koszar „Latour-Maubourg“; tam otrzyma pan kolacyę i łóżko na noc dzisiejszą, a jutro, skoro świt, wyjedzie pan do Marsylii, zkąd statkiem popłynie pan dalej, do Afryki, do swego korpusu! Inne szczegóły znajdzie pan w tej oto instrukcyi; jeżeli pan jej nie rozumie, to niech się pan zapyta o wytłomaczenie dzisiaj wieczorem w koszarach.

Skłoniwszy się po wojskowemu, wyszedłem nieco przerażony, chociaż z drugiej strony podróż do Marsylii, a następnie do Afryki dziwnie mnie pociągały; cieszyłem się w duszy, że, podróżując w Afryce, będę miał może sposobność zobaczenia

w dzikim stanie lwa, słonia, strusia lub żyrafę!.. W koszarach „Latour-Mauborg“ przyjęto mnie uprzejmie, wskazano miejsce noclegu: łóżeczko żelazne, zgrabne, pościel czysta, prześcieradła świeżo wyprane, kołdra biała, wojłokowa; nad łóżkiem półka do rzeczy. O 5-ej, na odgłos bębnów, zaproszono mnie do stołu. Każdy żołnierz posiada swoje nakrycie: talerz, łyżkę, nóż, widelec, blaszane naczynie do wody lub wina. Na pierwsze podano rosół z plasterkami bułki, potem pieczeń wołową z ryżem i sałatę, do tego chleb pytlowy, przypominający nasz polski chleb wiejski. Flint wcale nie przyszedł; otrzymał pozwolenie jedzenia na mieście. Méra spóźnił się, trochę podchmielony; zobaczywszy mnie, zaczął krzyczeć w niebogłosy: „Vive la Pologne“! Musiano go uspakajać; zaraz też po rosole położył się do łóżka. Koło godziny dziewiątej przyszedł do mnie kapral (najniższa ranga wojskowa), mówiąc, że jakiś komendant artyleryi pragnie się ze mną widzieć. Zdziwiony, z pewnem niedowierzaniem, sądząc że to pomyłka, wychodzę na podwórze; widzę, rzeczywiście stoi wysokiego wzrostu oficer artyleryi o czterech galonach. Spostrzegłszy mnie, zbliża się stanowczym krokiem, poczem, wyciągając rękę, mówi z uśmiechem:

— Jestem Mystkowski, komendant artyleryi; służę przy Ministeryum wojny. Słyszałem bardzo wiele dobrego o panu od dyrektora Malinowskiego; mówił mi, że zamierza pan wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, dlatego też rozkazałem w biurze rekrutowem, ażeby mnie uprzedzono skoro tylko pan pod-

pisze kontrakt. Pragnąłem poznać pana osobiście. Dziś jest już późno, nie chcę pana fatygować, ale ponieważ jutro wyjeżdża pan do Marsylii, przeto zapraszam na skromne śniadanie przed wyjazdem, o 10-ej, na dworcu Lyońskim.

Pomimo niezmiernego zadowolenia, jakie odczuwałem w danej chwili z nadspodziewanej protekcyi, począłem jednak tłomaczyć, że, zgodnie z wręczoną mi instrukcyą, powinienem wziąć pociąg do Marsylii o 7-ej rano, czyli, że...

— To nic nie szkodzi!—przerwał komendant.— Odpowiedzialność biorę na siebie. Zamiast o 7-ej wyjedzie pan o 11-ej, a w Marsylii stanie pan nazajutrz o 6-ej rano; wystarczy, gdy się pan przedstawi władzy pojutrze w ciągu dnia; wreszcie, jutro o tem pogadamy. No, dowidzenia, życzę dobrej nocy!

Uścisnął mi dłoń serdecznie i zniknął. Długo nie mogłem zasnąć tej nocy. Nieprzewidziana znajomość z komendantem Mystkowskim odkrywała mi nowe horyzonty, nowe pole do projektów i marzeń, wybiła mnie kompletnie ze snu. W dodatku o 11-ej, Flint i Méra przyszli się ze mną pożegnać; postanowili wyjechać do Marsylii o północy!

Nazajutrz, o 5-ej rano, na głos trąbki, wstałem wraz z innymi. W armii francuskiej istnieje zwyczaj rozdawania żołnierzom, zaraz przy wstawaniu, po szklance czarnej kawy *(un quart de litre)*; kawa, działając na system nerwowy, budzi żołnierza ostatecznie i utrzymuje ciepło żołądka. O 9-ej opu-

ściłem koszary i udałem się tramwajem na „gare de Lyon“. Na dworcu komendant Mystkowski już czekał na mnie; był ubrany po cywilnemu. Zaraz zasiedliśmy do stołu. Rozmawialiśmy Bóg wie o czem, naturalnie po francusku; komendant Mystkowski urodził się we Francyi; dwadzieścia pięć lat temu, uczęszczał do szkoły Polskiej, gdzie nauczył się języka ojczystego, ale po śmierci rodziców ożenił się z Francuską i wiele zapomniał; obecnie, chociaż podtrzymuje stosunki ze szkołą, wyraża się jednak z trudnością, pisze jako tako. Dawał mi różne rady na przyszłość, wręczył mi kartę wizytową ze swoim adresem, prosząc, ażebym często pisywał, i, w razie potrzeby, zwracał się do niego, jak do przyjaciela. Przyrzekał mnie protegować, chociaż niewiele obiecywał, bo w Legii protekcya nie popłaca: Z powodu wielkiej mieszaniny, naczelnicy nie wierzą w żadne rekomendacye; każdy legionista musi wydobyć się na wierzch osobistą pracą, co właśnie tworzy wysoką wartość wojskową tego korpusu. W końcu wsadził mnie do wagonu, ucałował po przyjacielsku i odszedł. Był to jedyny człowiek, który pożegnał mnie z żalem, przed opuszczeniem starej Europy! Nigdy go więcej nie spotkałem w życiu!... Jadę więc do Afryki! Ta myśl przejmuje mnie, oszałamia, pozwala zapomnieć o ciężkiej przeszłości; w zamian przyszłość, wychylając się stopniowo z mroków, pochłania całą moją istotę! Cieszę się, bo dopóki człek walczy o przyszłość — czuje się wciąż młodym; kto żyje wspomnieniami— zaczyna się starzeć! A więc naprzód, do walki!

Walka jest podstawą życia, udoskonalenia; kto walczy, ten działa i dąży do ideału! Ci, którzy twierdzą, że spokój jest szczęściem i celem egzystencyi, mylą się, bo spokój oznacza brak siły, wycieńczenie, zadowolenie z konieczności! Zadowolenie jest złudzeniem świetlanem, do którego świat dąży, nie mogąc go nigdy uchwycić, bo prawo natury sprzeciwia się temu; gdyby świat oddychał wyłącznie zadowoleniem, to niktby nic nie robił, niczego nie szukał, nie ulepszał; świat zasnąłby i zmarniał. Niezadowolenie więc jest naszym stanem normalnym; ono służy bodźcem do pracy, do działalności, do udoskonalenia. Postęp należy do niezadowolonych i pracowitych! Dla tego to los ułożył życie ludzkie z trosk, kłopotów i zmartwień, ażeby podtrzymywać wiecznie to niezadowolenie, które, szukając ulepszenia, pracuje, walczy, cierpi i pcha całą ludzkość naprzód!

Jadę do Afryki! Ciepłe słowa komendanta Mystkowskiego dodają mi skrzydeł! Co prawda, włóczęga zawsze posiadała dla mnie wyjątkowy urok. Gdym był jeszcze dzieckiem, bawiąc się w piasku nad brzegami Pilicy, już wówczas marzyłem, ażeby zostać wędrownym muzykantem: Wolny jak ptak, bez hipokryzyi i konwenansów światowych, przenosić się wieczuie z miejsca na miejsce, śpiewając piosnki dobrym ludziskom i tak oblecić świat cały!... Bo ruch, to życie, a muzyka—to najwyższa sztuka piękna! Najwyższa i jedyna, inne bowiem sztuki piękne są tylko słabą kopją natury; melodya zaś przedstawia język czarodziejski, który, dzięki

nerwom, jest zrozumiały dla wszystkich narodów świata!...

— *Marseille, vingt minutes d'arrêt, buffet!*— wykrzyknął donośnym głosem konduktor.

Wyszedłszy z wagonu, zacząłem szukać na peronie dworca podoficera, który tu przychodzi regularnie co pociąg dla przyjmowania legionistów i któremu, zgodnie z daną mi instrukcyą, powinienem się przedstawić zaraz po przyjeździe do Marsylii. Podoficer stał niedaleko wyjścia, na uboczu, tak, ażeby wszyscy przechodzący mogli go zauważyć. Przedstawiłem mu się, kazał mi stanąć obok i czekać. Po chwili przyłączył się do nas nowy ochotnik, jakiś Szwed, wysoki pan w cylindrze, w binoklach, z pierścionkami na palcach. Podoficer również kazał mu stanąć obok i czekać. W końcu przybył jeszcze jeden kandydat, dezerter z wojska belgijskiego; przyjechał w kompletnem umundurowaniu swoich ułanów *(lanciers)*, z wyjątkiem czapki, którą zgubił w podróży. Skoro peron opustoszał, podoficer zakomenderował: „*Allons messieurs, en avant*“ i puścił się naprzód w drogę, a my za nim. Rozglądając się po pięknem mieście, przerżnęliśmy wszerz niemal całą Marsylię, aż do fortu Saint Jean, który leży nad samem morzem, tuż obok starego portu.

Wkroczywszy po zwodzonym moście do wnętrza fortu, na podwórzu koszarowem znaleźliśmy zgromadzonych już przeszło 30 ochotników. Méra, spostrzegłszy nas wchodzących, począł wołać radośnie, wyciągając zdaleka ku mnie ręce:

— *Bonjour, mon cher Poniatowski, vive la Pologne!*

Ta okoliczność zwróciła na mnie uwagę wszystkich obecnych. Poczęto go o mnie wypytywać, a on, zadowolony z powodzenia, komponował bohaterskie bajki á conto mojej osoby, ciesząc się z łatwowierności zebranych. Po przedstawieniu papierów i załatwieniu różnych formalności w kancelaryi fortecy, kazano nam się przyłączyć do innych ochotników, zajętych skrobaniem marchwi, obieraniem kartofli i czyszczeniem jarzyn, przeznaczonych na dzisiejszy obiad. Po skończonej robocie, każdemu z nas wręczono miotłę, osadzoną na długim kiju i zapędzono do zamiatania wnętrza fortu. Szwed w cylindrze, w binoklach, z ogromną miotłą w ręku, wyglądał jak komiczny rebus! Do mnie podczas zamiatania przyczepił się jakiś wynędzniały Belgijczyk, kontent, że znalazł kogoś, kto go słucha cierpliwie i komu może powierzyć przygody oraz nieszczęścia swojej przeszłości. Historya jego jest krótka i banalna: zajmował dobre miejsce, ale, po niejakimś czasie, sądząc, że go eksploatują, miejsce porzucił, a drugiego nie znalazł, ztąd długie pasmo cierpień moralnych, głodu i nędzy... Pragnąc się przedemną usprawiedliwić, obwiniał świat cały i ustrój społeczny, chociaż w gruncie nie miał słuszności, tak jak i wszyscy w tym rodzaju. Wiemy bowiem, że żaden człowiek nie rodzi się na bruku, lecz na łonie swojej matki, że od chwili, kiedy zaczyna myśleć i pracować, zostaje zawsze, dzięki pierwotnej opiece, uklasowany w społeczeństwie;

od niego więc zależy, ażeby utrzymać lub poprawić przeznaczone mu przez los stanowisko. Jeżeli, zamiast się podnieść przez uczciwą pracę i siłę woli, upada przez własną lekkomyślność, to sam sobie winien. Niesprawiedliwość losu leży więc najczęściej w nas samych; jeżeli cierpimy lub czujemy się nieszczęśliwymi, to dlatego tylko, że wymagania nasze od świata są nieproporcyonalne, a raczej przewyższają nasze zdolności i inteligencyę. Istotny geniusz lub człowiek zasług zawsze wydobędzie się na wierzch pomimo wszelkich przeszkód! Wprawdzie, czasami, będąc młodymi, popełniamy błędy przez nieświadomość, ale to dla tego, że rodzice, pod pretekstem, żeby nas do życia nie zniechęcać, nie chcą go nam przedstawić w rzeczywistych barwach, a w szkołach, gdzie przepędzamy niemal całą naszą młodość, profesorowie kształcą wyłącznie nasz umysł, a nie serce i charakter. Trzeba jednak przyznać, że gdyby profesorowie, wraz z wykształceniem, zajmowali się także naszem wychowaniem, to i tak od wielkich błędów nigdy nas nie uchronią, bo nikt z nas nie chce wierzyć w doświadczenie innych; sami przez nie przejść musimy, taka już jest zarozumiałość ludzka i świat tak jest urządzony, że człowiek, chcąc się udoskonalić, musi cierpieć! A ponieważ każdy człowiek dąży, pomimo własnej woli, do jakiegoś udoskonalenia, przeto, samochcąc, naraża się ciągle na przykrości i zmartwienia—jest to kosmiczne prawo natury, z którem musimy się zgodzić! Ergo, nie obawiajmy się cierpień, bo przez nie zbliżamy się właśnie do ideału,

do zdobycia chwil szczęśliwych, które zawsze wytwarzają nieopisaną rozkosz, stokroć większą, niż samo cierpienie i dostarczają sił do dalszej życiowej walki!

Méra tak się gdzieś w cichości upił, że sam nie wie, co plecie; nazywa mnie teraz „mon cher Sakabroski“, a nie Poniatowski, jak dawniej. Nazwisko to skomponował ze słów francuskich „sac à brosses“, co oznacza—worek do szczotek. (W armii francuskiej, każdy żołnierz otrzymuje taki worek; mieści w nim rozmaite potrzebne mu szczotki, jako to: do szuwaksu, do połysku, do ubrania, do włosów, do smarowania tłuszczem broni, do zębów etc.). Przytem Méra wyprawiał takie błazeństwa, że musiano go zamknąć do osobnej komórki, zwanej „salle de police“, w której żołnierze za karę śpią na gołych deskach, zamiast na łóżku w pościeli.

Mając trochę czasu wolnego, przed obiadem, wyszedłem na wały bastyonu, z których rozwija się cudowny widok na bezgraniczne, wiecznie lazurowe morze Śródziemne. Zdala widać sterczący z pośród fal zamek If, wsławiony przez Dumas'a w dziele „Monte-Christo“, dawne więzienie przestępców politycznych, między innymi: „Stalowej Maski“, Filipa - Egalité i naszego króla Jana Kazimierza; za zamkiem If'em wyglądają dziko skaliste wyspy Ratonneau i Pomeges'y. Na prawo rozciąga się obszerna przystań pokryta masztami. Marsylia zalicza do swego portu 195 okrętów parowych, 50 statków żaglowych, 400 łodzi, 150 promów, 120 remorkerów, 15 pływających cystern etc. A ponad tym lasem

masztów, kominów i żagli piętrzy się wspaniale same miasto, jedno z najstarszych miast Francyi i Europy, założone na 600 lat przed Chrystusem, miejsce urodzenia Demosthenesa i Petroniusza, którego Sienkiewicz wsławił w „Quo - vadis"; z nowszych zaś czasów, rzeźbiarza Piotra Puget'a i Thiers'a, pierwszego prezydenta trzeciej rzeczypospolitej francuskiej. W tejże stronie pociąga swoim ogromem imponująca katedra „Sainte Marie Majeure", zbudowana w stylu bizantyjskim zmieszanym ze stylem gotyckim. Sama tylko budowa katedry, bez ozdób wewnętrznych, kosztowała przeszło 15 milionów fr.! W końcu, na lewo od fortu błyszczy w słońcu, na tle modrego nieba, potężna statua Matki Boskiej „Notre Dame de la Garde", którą powracający z dalekich krain marynarze witają zawsze z radością; statuę można ujrzeć z pełnego morza na 70 mil od portu, witają więc Ją najpierwszą, jak również żegnają ostatnią, gdy opuszczają kraj. Statua jest osadzona na wieży kaplicy tejże nazwy, zbudowanej na najwyższej skale Marsylii. Kaplica ta, wyłożona wewnątrz białym kararyjskim marmurem, zawiera mnóstwo ex-votum, które zostały ofiarowane przez różne osoby na podziękowanie za szczęśliwie przebytą podróż morską.

Trąbią na obiad! Głos trąbki wzbudza ogólną radość.

Sierżant zbiera nas na podwórzu, ustawia w dwa rzędy, jeden za drugim, najwyżsi po prawej ręce, najniżsi — po lewej. Kapral wywołuje na-

zwiska, ażeby się przekonać, czy wszyscy są obecni *(l'appel)*.

Poczem dzielą nas na grupy po 6 osób *(les blats)*; ten system, jak tłomaczy kapral, powinien być utrzymany na przyszłość, a także na statku podczas podróży do Afryki. Z każdej grupy jeden z kolegów udaje się do kuchni fortecznej, skąd przynosi dużą miskę żelazną, napełnioną zupą, oraz kawałkami mięsa; wszyscy jedzą z jednej miski, a gotowane mięso kładą na chleb i rozrywają palcami... Po sympatycznem, pełnem czystości i komfortu przyjęciu w koszarach „Latour-Maubourg", nie mogę przyjść do siebie, czuję się zupełnie rozczarowany! Wogóle w forcie, uważając ochotników za przejezdnych, traktują nas bardzo niedbale; na szczęście, że jutro opuszczamy fortecę i wyjeżdżamy dalej.

Po obiedzie dalszy ciąg zamiatania, oraz trzepania starych, wyszarzanych kołder, które nam rozdali jako posłanie na dzisiejszą noc i na jutrzejszą podróż.

Noc przepędzamy w obszernym pokoju, nieposiadającym łóżek!

Zebrani śpiewają, gwiżdżą, piszczą, kwiczą, ryczą, wyją, naśladując rozmaite zwierzęta, ani sposób oka zmrużyć!...

Nazajutrz sobota, znów wielkie porządki, zamiatanie, mycie i t. p. Rano do naszego grona przybyło jeszcze dwóch ochotników: jeden z nich, niejaki Kiliński, Polak, był błaznem cyrkowym w Rzymie, po polsku mówi i rozumie bardzo słabo; drugi

jakiś ksiądz, który coś zbroił w swojej dyecezyi i uciekł; przyjechał nawet w sutannie. Rzecz godna uwagi, że, pomimo rozmaitości klas, pochodzenia, wykształcenia etc., nikt się nie dziwi, o nic nie pyta, nikogo nic nie razi; jakaś sympatyczna braterskość istnieje między przybyłymi, wszyscy czują się równi, widocznie, że siła, która ich sprowadziła do fortu St. Jean, niweluje wszelkie różnice sfer społecznych; prawdopodobnie, że po śmierci moralnej, tak jak po śmierci fizycznej, natura nie uznaje wyjątków.

Około godziny 2 sierżant i dwóch kaprali, zrobiwszy nowy ostatni apel, odprowadziło nas do portu i wsadziło na statek parowy, noszący nazwę „Ville d'Oran". Statek obszerny—elegancki, błyszczący od czystości! Lokujemy się na przodzie, jak możemy, śmiejąc się, dowcipkując ze wspólnej naszej nędzy! O 5 statek podnosi ostatecznie kotwicę i rusza w drogę, do krainy Maurów i Arabów! Pierwszy raz w życiu podróżuję morzem. — Z pewną obawą wyczekuję choroby morskiej, o której tyle słyszałem i która zaczyna trapić większą połowę pasażerów; przechodzi jednak godzina, dwie, trzy... nic nie czuję; prawdopodobnie nie mam do niej skłonności, pomimo, że nawet krowy i kury, znajdujące się obok, jej podlegają; nieszczęśliwe stworzenia stoją ogłupiałe, ze spuszczonymi łbami, nie jedzą, nie piją, a ślina ciągle im z gardła wycieka.

Okręt zaczyna się kołysać coraz więcej; granatowe morze fałduje się w szerokie, posuwiste bał-

wany—ozdobione w białe koronki perlącej się piany; przy zachodzącem słońcu fale tryskają tęczową fontanną. Noc zapada—księżyc w pełni towarzyszy nam w podróży; krajobraz feeryczny, czarujący, jakaś imponująca powaga tchnie z tych wiecznie, monotonnie szumiących głębin. Na pełnem morzu, oderwany od ziemi, człek wydaje się taki malutki, że nawet sam Pan Bóg nie może go dostrzedz; myśli, bez związku, jak w półśnie, mięszają się z rzeczywistością i nikną powoli gdzieś daleko we mgle bezgranicznej przestrzeni!... Nic dziwnego, że wszyscy marynarze wierzą w siłę nadludzką—w siłę Boga—bo ta głęboka cisza i absolutna samotność zbliżają ich ku Niemu stokroć więcej, aniżeli małostkowość miejska i światowe intrygi.

Po dwóch dniach nawigacyi, minąwszy wyspy Majorkę, Minorkę, Iwicę i Formenterę, przybijamy do brzegów Afryki! Miasto Oran, majestatycznie rozrzucone amfiteatrem na dwóch wzgórzach, poczyna się coraz wyraźniej przedstawiać na horyzoncie. Zdala widać już fortecę Świętej Teresy, cel tymczasowy naszej podróży. W głębi, Kazba i góra Dżebel Murdżadżo, pokryta wałami Santa Cruz'a, wychyla się stopniowo wraz z wieżycą Najświętszej Panny; a potem, coraz jaśniej: Katedra św. Ludwika, Meczet El-Haury, oraz bastyony i forty św. Grzegorza, św. Andrzeja, św. Filipa, św. Franciszka, św. Izabeli i t. p. Niegdyś, miasto Oran, należące do Hiszpanii, służyło jako miejsce wygnania dla przestępców politycznych, należących do wysokiej arystokracyi hiszpańskiej; kardynał

Ximenes, na wypadek oblężenia przez Arabów— uzbroił miasto mnóstwem fortec (gniazda śmierci) i ażeby przytłumić wyrzuty sumienia—nadał im nazwy rozmaitych świętych...

Wjeżdżamy do przystani! Przed nami rozwija się nowa, inna część świata:—Murzyni, Arabi, cudownej piękności żydówki, Turkosi, Żuawi, Spahisi, wielbłądy, stogi halfy (trawa rosnąca nad brzegami pustyni), upał afrykański!

Méra, który zna kilka wyrazów arabskich, naśladuje chrapliwy żargon Arabów, wykrzykując do tłumu słowa bez związku:—„Fatma, arrua mena, bono bezef, barka!" (Kobieta, chodź tu, bardzo dobrze, koniec).

Zaraz po przybyciu, nasze grono ochotników wysiada na brzeg, ustawia się w dwa rzędy pod dowództwem przysłanego po nas kaprala, poczem, maszerując po wojskowemu, udaje się wprost do fortu św. Teresy. Wieczorem, le sergent-major (feldfebel) segreguje przybyłych podług pułków: Rozczarowany Belgijczyk, ksiądz, Kiliński i inni są naznaczeni do 1 pułku, stojącego w Sidi-Bel-Abbes. Ja z Flintem, Mérą i Szwedem jesteśmy zaliczeni do 2 pułku, do miasta Saïdy. W biurze fortecy spotykamy się po raz pierwszy w życiu z prawdziwymi Legjonistami: Są to wszyscy ludzie dojrzali, niektórzy nawet zupełnie siwi, twarze ogorzałe od słońca—z wyrazem marsowym starych wiarusów, sympatycznym.

Kilku z nich ma więcej, niż 15 lat służby; opowiadają swe bajeczne przygody w Indyach, na

Madagaskarze, w Senegalu; wpatrzeni jak w cudowne obrazy, nadstawiamy uszów, podziwiamy ich bohaterskość; olśnieni, pożeramy każde słowo w nadziei—że z czasem i my pójdziemy za ich przykładem!... Są jednak i tacy, którzy, zmarnowani przez anemję, febrę i dysenterję, stoją ledwo na nogach; myśl powrotu i zobaczenia ojczyzny jedynie podtrzymuje ich przy życiu; trupia, przezroczysta bladość tych ludzi przedstawia nam odwrotną, przerażającą stronę medalu Legii.

Nazajutrz, o 7 rano, wyruszyliśmy koleją w głąb kraju. Północna część Afryki, zwana „Tell'em", niewiele się różni od południowej Francyi: ziemia urodzajna, pokryta osadami, należącymi przeważnie do kolonistów hiszpańskich, wszędzie bogate winnice, drzewa oliwne, pomarańczowe, migdałowe, palmy, banany etc., nadają tej części Algerii, charakter wesoły, rozkoszny. Na stacyi S-te Barbe de Tlelat, koledzy, należący do 1-go pułku wysiadają, zmieniają pociąg, żegnają się z nami—pierwsza przykra separacya wytworzonej między nami solidarności. W Perregaux znowuż kolej na nas: wysiadamy, czekamy przeszło godzinę na pociąg z Azzeu.

W Saïdzie stajemy o 3 popołudniu. Pod dowództwem naszego sierżanta puszczamy się w drogę; maszerujemy naprzód długą, szeroką aleją, wysadzaną drzewami; następnie, przerżnąwszy całe miasto, które jest okrążone murem, przy wyjściu, po za wąwozem Abd-El-Kader'a, spostrzegamy zdaleka na wzgórzu białe pasmo olbrzymich namiotów,

przedstawiające stały obóz naszej roty (compagnie de dépôt) [1]). Na widok tego obozu serce zadygotało mi ze wzruszenia! A więc to tu kres naszej podróży? Koniec moich marzeń—początek rzeczywistości, początek walki, cierpień, sławy!—początek, a może i koniec mojej egzystencyi? Flint pokazuje nam, przechodząc, drzewo, olbrzymi oleander, na którym jeden z kolegów, kilka lat temu, powiesił się z rozpaczy; drzewo zdaje się pociągać, hypnotyzować wszystkich obecnych... Zbliżamy się do obozu. Na nasze spotkanie wychodzi mnóstwo legjonistów; każdy z nich szuka między nowoprzybyłymi rodaków, przyjaciół, znajomych.

Słychać różne języki świata. Jakiś wysoki, szczupły, o dziarskiej minie żołnierz pyta po polsku:

— A czy tam niema Polaków?!

— Owszem, są!—wykrzyknąłem z radością—podnosząc rękę w górę.

— A dyć jest jeden Polaczek!—woła znowu żołnierz — wymachując rękoma i zwracając się do dwóch innych, stojących zdaleka. Obydwaj zbliżyli się ku mnie; byli to: sierżant Kotarski i kapral Szatrański, żołnierz zaś, który wyszedł na spotkanie, nazywał się Sokołowski, stary wojak, słynny, jak się potem dowiedziałem, na całą Legję, ze swych nadzwyczajnych awantur, powierzchownością przypominał jednego z muszkieterów Dumas'a.

---

[1]) Opis ten miał miejsce w roku 1887; obecnie rota posiada wspaniałe koszary, położone w samem mieście. (*Przypisek autora*).

Oprócz wymienionych, w rocie istniało jeszcze dwóch innych Polaków, ale nie mogli przyjść na spotkanie, bo jeden z nich, Barcewicz, student z politechniki z Liège, potrzebując pieniędzy, sprzedał niedawno w mieście rządową kołdrę, więc siedzi w więzieniu, pojutrze idzie pod sąd wojenny; drugi, Maniewski, krawiec z Warszawy; nie podobało mu się w Legii, zrobił sobie ranę na nodze, leży od dwóch miesięcy w szpitalu wojskowym; Sokołowski dostarcza mu, pod sekretem, musztardy w proszku, ażeby, przykładając ją, mógł podtrzymać rozogniona ranę, ma nadzieję, że go zreformują i odeślą do Francji...

Tegoż dnia ostrzyżono nas wszystkich do skóry, a dnia następnego wykąpano, wymyto, ubrano i uzbrojono. Na trzeci dzień staliśmy już pod bronią na placu mustry wraz z innymi żołnierzami roty. Rota składa się z dwóch plutonów, każdy pluton—z dwóch sekcji, a każda sekcya—z czterech oddziałów, zwanych „eskuadami"; w eskuadzie liczy się od 12 do 60 ludzi, co zależy od napływu ochotników. Rotą dowodzi kapitan, plutonami—porucznicy, sekcyami—sierżanci, a eskuadami—kaprale. Ochotnicy pozostają w rocie zbornej (w Saïdzie), zwykle od 6 miesięcy do roku, poczem, będąc uważani jako starzy żołnierze, są wysyłani do innych bataljonów, rozrzuconych w północnej części prowincyi Orańskiej. Pożywienie w rocie— niezłe: każdy żołnierz otrzymuje półtora funta chleba pytlowego dziennie, rano, przy wstawaniu — czarną kawę, na obiad — zupę z jarzyn, kawałek mięsa

i lampkę czerwonego wina, wieczorem toż samo; oprócz tego, co pięć dni wypłacają mu 35 centimów pensyi. Służba w Legii—ciężka; chodzi o to, ażeby legjonista jaknajprędzej zapomniał o swej przeszłości, ażeby uspokoił system nerwowy przez ciągłą męczącą pracę fizyczną. Dyscyplina, ze względu na mieszaninę elementów nadzwyczaj sroga, nie sroższa jednak, niż w Niemczech lub w Rosyi; żaden starszy np. nie pozwoli sobie uderzyć swego podwładnego, co nie przeszkadza, że, straciwszy nieraz cierpliwość, zwymyśla podwładnego od ostatnich, albo przez nietaktowne, złośliwe postępowanie może go doprowadzić do rozpaczy, do samobójstwa, a nawet do zbrodni... Naturalnie, ludzie dobrego prowadzenia, spełniający uczciwie swój obowiązek, nie ryzykują niczem w stosunku do starszyzny; niebezpieczeństwo leży gdzieindziej. Rzeczywistą, straszną przykrością i niewypowiedzianą męką moralną jest konieczność codziennego życia w środowisku, złożonem nieraz z ludzi nizkich, podłych, brutalnych, złodziei, pijaków, rozpustników, nie posiadających żadnego wstydu, żadnych zasad moralnych, konieczność obcowania z ludźmi bez serca, zgangrenowanymi do szpiku kości, na których już nic nie działa, a którzy, zmuszeni głodem, przychodzą do Legii, bo świat pluje na nich, bo ich wciąż odrzuca, jak bałwany odrzucają zgniłe trupy!

Pod moim namiotem śpi nas dwunastu; tylko kaprale mają prawo do łóżek, prości żołnierze sypiają na siennikach, położonych na gołej ziemi. Obok mnie z jednej strony śpi Méra, a z drugiej—nieja-

ki Nicoli, Włoch, stary kataryniarz. Oprócz tego, pod namiotem jest trzech Alzatczyków, dwóch Holendrów, dwóch Bawarczyków, jeden Grek i jeden Szwajcar. Nasz kapral nazywa się Gerard, dawny oficer kawaleryi francuskiej; przegrał cały swój majątek w Monte-Carlo i został wyrzucony z armii za długi.

Już od dwóch tygodni co rano chodzimy na mustrę; po obiedzie nosimy wodę do kuchni, kamienie do budowy teatru, albo pierzemy własną bieliznę w sąsiednim strumieniu, czyścimy drogi, lub też się gimnastykujemy. Onegdaj wieczorem, wynosząc śmiecie i resztki z kuchni za obóz—ujrzałem po raz pierwszy w dzikim stanie—hyenę i dwóch szakali; spostrzegłszy mnie, uciekły w głąb pustyni. Méra pije coraz więcej; od niejakiegoś czasu, regularnie co noc wymyka się z pod namiotu około północy i powraca nad ranem, przed apelem, zawsze z jakąś butelką wódki lub likieru; powiada, że jest w wielkiej przyjaźni z pewnym szynkarzem Hiszpanem, którego żona robi mu te prezenta, chociaż wszyscy są przekonani, że je kraduie. Nie mogę się od niego odczepić! zawsze po powrocie budzi mnie i częstuje wódką, niezmiennie tłomacząc:

— Mój kochany Sakabrowski, zrób mi tę przyjemność, wypij tylko trochę, toć to jedyna pociecha w naszej nędzy! — Chcąc się go pozbyć, zwykle przyjmuję kieliszek i wylewam go na ziemię. Któregoś dnia tak się upił, że dostał choroby morskiej, cały mój siennik musiałem potem prać i czy-

ścić... Wczoraj, jednemu z Bawarczyków ukradli metrykę i 20 franków, które przed kilkoma dniami otrzymał od rodziców. Śledztwo, robione w tych razach, w ogóle do niczego nie prowadzi, bo złodzieje za wiele posiadają sprytu i doświadczenia, ażeby módz ich złapać. To też resztę pieniędzy, oraz wszystkie moje papiery noszę zawsze na piersiach i nawet w nocy z nimi się nie rozłączam. Nasz kapral twierdzi, że my wszyscy jesteśmy gałganami, wzajem się okradamy, że przeto nic na te złodziejstwa poradzić nie może!... Stary kataryniarz najwięcej przyjaźni się z młodziutkim Grekiem, podobno przestępcą politycznym (?); zawsze wychodzą razem na przechadzkę w niedzielę, Włoch prosił swego przyjaciela o pożyczkę 20 sous'ów, lecz gdy ten pożyczki odmówił, rozłoszczony Włoch tak go silnie kopnął w brzuch, że Grek upadł bez przytomności. Widząc to, jeden z Holendrów rzucił się na Włocha, ale ten ostatni zdążył wyciągnąć nóż myśliwski i pchnął Holendra w piersi; musieli go zbroczonego krwią odwieźć do szpitala, a Włocha wpakować do więzienia; wychodząc, Włoch odgrażał mi pięścią, obiecując zemstę za to, żem świadczył przeciw niemu. Pomimo zimnej krwi, cierpliwości i uprzejmości dla wszystkich, jestem co chwilę narażony na wszelkiego rodzaju przykrości tak fizyczne, jako i moralne; gdyby nie opieka Sokołowskiego i sierżanta Kotarskiego, stanowczo cierpiałbym jeszcze o wiele więcej...

Po dwóch miesiącach ciężkiej służby, mój porucznik Sardi, na rekomendacye naszego kaprala

Gerard'a, zaproponował mnie jako kaudydata do „peloton d' instruction". Ten pluton jest oddziałem specyalnym, który ma na celu przygotowanie legjonistów, umiejących czytać i pisać po francusku, do rangi kaprala.

Wkrótce więc zostałem przeniesiony do namiotów tego specyalnego plutonu, pod dowództwem kaprala Szafrańskiego. Ocknąłem się nagle w towarzystwie kolegów wybranych nietylko pod względem prowadzenia się i wychowania, ale także pod względem wojskowym, zamiłowania do pracy, czystości i ogólnego wykształcenia. Od tej chwili, cała moja nędza moralna znikła na zawsze! Wprawdzie był też już wielki czas, bom się czuł w końcu tak zgoryczony, rozczarowany, przygnębiony, zmarnowany do ostatniego nerwu, że zacząłem miewać napady czarnej melancholii. — I gdyby nie to silne przekonanie, że przecież uczciwą pracą i wytrwałością każdy człowiek musi wydobyć się na wierzch, nie byłbym zdolny znosić dalszych przykrości; prawdopodobnie upadłbym pod ich brzemieniem tak, jak wielu innych!

Legjoniści w plutonie „d'instruction" noszą tytuł „Elewów-Kaprali", są uwolnieni od wszelkich robót i cały czas poświęcają wyłącznie sztuce wojennej. Nasz profeser i zarazem dowódca oddziału, kapral Szafrański, człowiek wysokiej wartości wojskowej, odznaczał się niepospolitą energją i niezależnością; posiadając zupełne zaufanie swoich zwierzchników, kształcił nas bez kontroli; jego oko czuwało wszędzie, jego żelazna wola kruszyła wszelkie

przeszkody, wszyscy go się bali jak ognia, słuchali i szanowali. Oprócz sztuki wojennej, wpajał w nas zasady moralne, poczucie miłości własnej, obowiązku, odwagi, poświęcenia. Legja dłużna mu jest bardzo wiele, bo wszyscy, co wyszli z pod jego ręki, stali się w późniejszym czasie dzielnymi żołnierzami, na których Francya mogła zawsze liczyć w każdej okoliczności. Często słyszałem kolegów, mówiących:

— Oto Polak, który uczciwie służy swej ojczyźnie przybranej! — I jako Polak czułem się dumnym z mego kaprala, kochając go, jak brata.

W plutonie, pomimo ogromnej pracy, czas schodził mi niezmiernie szybko i przyjemnie; studyowałem rozmaite kursa wojskowe ze słownikiem, otrzymanym niegdyś od dyrektora Malinowskiego; pracowałem po całych dniach i nocach, pragnąłem zostać także kapralem jaknajprędzej. Od czasu do czasu mojemi wrażeniami dzieliłem się z Europą, t. j., ze szkołą polską i z Janem Thiollier, za co wzamian otrzymywałem od nich zwykle, oprócz listu, małą zapomogę pieniężną. Tak np. dyrektor Malinowski przysyłał mi regularnie, jak pisał „na tytoń“, 10 franków miesięcznie, a Thiollier — znaczniejszą sumę na każde większe święto. Wówczas zbierałem wszystkich rodaków w mieście na targu, fundowałem daktyle, melony i winogrona, sierżant Kotarski z kapralem Szafrańskim płacili kawę arabską, a Sokołowski zwykle dostarczał papierosów dla całego towarzystwa. Rozmawialiśmy o oswobodzeniu i było nam błogo na duszy!

Po sześciu miesiącach zażartej pracy nareszcie nadeszła dla nas chwila decydująca: komisja, złożona z oficerów, przystąpiła do egzaminów. Pomimo wrodzonej mi nieśmiałości, egzamin udał się bardzo szczęśliwie: na 64-ch kandydatów otrzymałem numer 8. Nazajutrz pierwszych 10-iu elewów pułkownik zamianował żołnierzami pierwszej klasy z rozkazem, abyśmy odtąd odbywali służbę jako pomocnicy kaprali; na stopień bowiem kaprala trzeba było oczekiwać dopóki się nie otworzy wakujące miejsce, co mogło się przeciągnąć kilka miesięcy, a nawet, podczas pokoju, kilka lat!...

Po dwóch miesiącach jednakże pułkownik, ku ogólnej niespodziance, zamianował czterech kaprali, między którymi moje nazwisko było także wymienione. Szalona radość, radość i zdziwienie zarazem! Mając bowiem nr. 8-y, nie liczyłem wcale tym razem na awans. Na drugi dzień, nowo zamianowani kaprale z oznakami rangi (dwie czerwone tasiemki na każdym rękawie) zostali przedstawieni pułkownikowi. Obejrzawszy nas razem i wygłosiwszy kilka rad ojcowskich, pułkownik wezwał potem każdego oddzielnie do swego biura dla uwag osobistych. Do mnie zwrócił się w te słowa:

— Zamianowałem pana nieco wcześniej od innych dla tego, że ogólnem wykształceniem przewyższa pan swoich kolegów; pragnąłbym więc zobaczyć go jaknajprędzej na drodze do lepszego stanowiska; mam nadzieję, że postępowanie moje potrafi pan ocenić i przez dalszą pracę zasłuży na za-

ufanie, jakie w nim pokładam. Francya lubi Polaków!...

W końcu, przy pożegnaniu, dodał:

— Pisząc do komendanta Mystkowskiego, proszę mu się odemnie kłaniać oraz życzyć wszystkiego dobrego.

Zrozumiałem. Tegoż dnia napisałem list do komendanta, dziękując mu za protekcyę, wskutek której zostałem zamianowany kapralem o parę miesięcy wcześniej.

W wojsku francuskiem istnieje zwyczaj, że nowozamianowani zawsze zmieniają batalion, a co najmniej rotę, czyli, zostawszy kapralem, będę zmuszony pożegnać Saïdę wraz z miłem kółkiem rodaków. Pułkownik naznaczył mnie, dla dalszej służby, do miasta Gérévillu, położonego u stóp Dżebel Amuru, o 4 dni drogi od Saïdy.

III.

Na granicy Sahary.

Do Gérévillu wyruszyliśmy pieszo w 120 osób. Pierwszy raz pod dowództwem miałem tylu ludzi! Ale, o ile legioniści w koszarach są niesforni, o tyle w marszach i wyprawach okazują się znakomitymi żołnierzami, idą jak jeden mąż! Przybywszy na etap, rozkładają namioty, przynoszą wodę, rozpalają ogień z zebranych po drodze gałązek, gotują zupę, kawę; poczem spokojnie kładą się na wypoczynek bez żadnych dla dowódcy kłopotów! O swego kaprala dbają zc wzruszającą pieczołowitością: bez szczególniejszych z mej strony starań lub zabiegów, namiot mój był zawsze rozłożony pierwszy, wysłany halfą, a w godzinę potem zwykle znalazło się coś do zjedzenia... Po uciążliwej podróży przez stepy Płasko-górza i Szotty (słone jeziora), na czwar-

ty dzień dotarliśmy do Gérévillu. Przed samem miastem, w dzikim, krętym wąwozie rzeczki El-Abiod zrobiliśmy ostatni halt (odpoczynek). Koledzy-kaprale z Gérévillu, dowiedziawszy się, że jestem wielkim amatorem kawy arabskiej, wyszli na moje spotkanie z ogromnym garncem tego ulubionego napoju; do nich przyłączył się także Icek Kahn, żydek z Warszawy, który przywitał mnie bardzo sympatycznie w ojczystym języku.

Wczoraj przedstawiłem się mojemu kapitanowi, panu Brianzung. Tęgi chłop z olbrzymią brodą, z pochodzenia Holenderczyk, ma minę rozbójnika; stary wojak, wiecznie niezadowolony, wiecznie krzyczy i wymyśla, chociaż w gruncie złote serce. Jego żona, która mu wszędzie towarzyszy, jeździ konno na oklep i strzela z fuzyi lepiej, niż wielu z nas. Obecnie, jako kapral, należę do tak zwanej „Compagnie montée“; jest to rota, posiadająca muły, jednego muła na dwóch ludzi; ten system pozwala rocie przenosić się z miejsca na miejsce o wiele szybciej, aniżeli w warunkach normalnych, za to służba podwójna: piesza i konna. „Compagnie montée“ maszeruje zawsze, podczas wypraw wojennych, w awangardzie i ma na celu „wietrzenie“ nieprzyjaciela; jest ona, że tak powiem, okiem, uchem i nosem dla korpusu, który idzie za nią. Przeto skład jej wymaga pewnego wyboru; to też rota przeważnie zawiera starych żołnierzy, doświadczonych, ludzi inteligentnych, sprytnych, zdecydowanych, odważnych, lubiących niebezpieczeństwa i awantury nadzwyczajne; legioniści, służąc w tej rocie, cieszą się niezrównanie większą

swobodą i niezależnością, aniżeli reszta kolegów pułku. Otóż, będąc naznaczony do „Compagnie montée“ powinienem czuć się zadowolonym i byłbym nim, gdyby nie jedno ale: Mój muł, zwany „Maszykulis“ posiadał, gałgan, dwie ogromne wady: najpierw nadymał się gwałtownie przy siodłaniu, a w drodze nagle się ściągał, przez co siodło spadało mu pod brzuch, a ja na ziemię! Jeżeli zaś, podczas siodłania, waliłem go kułakami w brzuch tak, że nie mógł się nadąć, to następnie, w marszu, mścił się w inny sposób: rozpędzał się co tylko mógł, poczem, nagle stawał, a ja przez łeb dawałem nura w powietrzu i kładłem się u jego przednich kopyt! Szczęśliwie, że przytem nigdy nie wierzgał, ani uciekał; zwykle zatrzymywał się o parę kroków, wykręcał łeb i obserwował, co robię? jednem słowem kpił sobie ze mnie! Ten stan rzeczy trwał przez parę miesięcy; spadłem przynajmniej ze dwadzieścia razy; nie pojmuję nawet, żem się nie zabił, albo czego nie złamał, co prawda, spadałem zawsze na piasek, lub na halfę, zresztą, będąc młodym, czułem się lekkim i elastycznym. Naturalnie, wszyscy koledzy, sierżanci i podwładni śmieli się ze mnie do rozpuku, a ja czerwieniłem się po uszy ze wstydu i zgrzytałem zębami ze złości; ale ponieważ po każdym wypadku natychmiast dosiadłem mego muła i jechałem dalej, więc wesoła krytyka wkrótce ustawała. Po kilku miesiącach tej zażartej walki nareszcie dopiąłem swego: nauczyłem się dobrze jeździć konno. Mój Maszykulis, spostrzegłszy, że jego wybryki nie robią na mnie żadnego wrażenia, że nadto, po każdej

awanturze otrzymuje coraz mniej owsa i coraz więcej batów, po pewnym czasie stał się posłusznym, jak baranek. Od tej pory żyliśmy z sobą w bardzo dobrej komitywie; czas płynął nam nadal w zupełnym spokoju.

Dwa razy na miesiąc każdy z kaprali, po kolei, brał wartę przy stajniach na całą dobę wraz z kilkoma masztalerzami. Podczas mojej warty, Icek Kahn przepędzał pół nocy ze mną, gawędząc o przeszłości, o Warszawie. Nie wiem, jak się urządzał, ale nigdy służby czynnej nie spełniał; zawsze się jakoś wykręcał, albo kopiował papiery w biurze batalionu jako pisarz, albo malował figury, przeznaczone dla żołnierzy jako cel podczas strzelania; czasami uprawiał ogród warzywny pani kapitanowej i, jako krawiec, reparował rzeczy wojskowe w magazynie roty i t. p. Obecnie bielił wapnem wszystkie stajnie, co mu dostarczyło roboty znowu na parę tygodni. Przytem Icek otrzymywał od Stowarzyszenia Izraelskiego z Algieru stałej zapomogi 15 franków na miesiąc; żył w Legii lepiej, niż za „Żelazną Bramą“; do mnie czuł szczególniejszą sympatyę, najpierw, jako Warszawiak, a następnie Icek był także wielkim amatorem kawy arabskiej. Otóż, podczas mojej warty, Icek regularnie przynosił z sobą tuzin obwarzanków (warszawskich zwyczajnych żydowskich obwarzanków), które piekł u jakiegoś znajomego Araba, a w nocy przyrządzał znakomicie, ale to znakomicie, podług lokalnego systemu, kawę Maurów. Gryząc obwarzanki i popijając kawą, Icek powoli mi się zwierzył, że otrzy-

mywaną z Algieru od współwyznawców zapomogę puszczał w ruch, że ją wypożyczał w mieście na gruby procent Arabom, odkładając przytem zarobione pieniądze do kasy oszczędności; w przeciągu 4 lat służby w Legii już uciułał 1000 franków; to też za rok, skoro wystąpi z wojska, zamierza osiedlić się w Krakowie, gdzie założy sobie sklepik towarów kolonialnych, sprowadzanych wprost z Algeryi!... Pewnego razu Icek powiedział mi pod sekretem, że odkrył w górach Dżebel-Delâa, od strony Sahary, kopalnię drogich kamieni!... Kamienie utkwione w skałach, długie, czerwone wielkości palca, ale nie rubiny, ani granaty, jakieś inne, nieznane... Icek odkrył kopalnię dwa tygodnie temu, polując na gazelle z dwoma bogatymi Semitami, osiadłymi od kilku lat w Gerywillu; proponował udać się dla bliższego zbadania skarbów zaraz na przyszłą niedzielę.

— Zgoda! — odpowiedziałem.—Ale jak daleko znajdują się te skały od naszej reduty?

— A bo ja wiem,—odpowiada Icek,—drapiąc się w głowę.—Chyba z połowe dnia. Piechotom tam nie można iść, trzeba pożyczyć wielbłądów.

W sobotę, przedstawiwszy nasz projekt kapitanowi, otrzymaliśmy urlop aż do poniedziałku rano! W niedzielę więc o 3-ej po północy wyruszyliśmy w drogę w 5 osób: Icek, ja, dwóch znajomych Semitów i Mahmud-el-Haury, sześćdziesięcioletni podoficer Spahisów, znający pustynię, jak własną kieszeń. W swym szkarłatnym burnusie, jedwabnym zawoju, żółtych safianowych butach Mahmud wygląd-

dał, jak bajeczny książe z tysiąc i jednej nocy! Jego biała patryarchalna broda i siwe włosy wzbudzały ogólny szacunek u wszystkich koczowników w Ulad-Sidi-el-Szeik!... Ponieważ owe „kopalnie drogich kamieni, podług wskazówek Icka, miały się znajdować w dzikich skałach, położonych między Sidi-el-Hadż-ben-Ahmer'em i wioską Abiodą, t. j., mniejwięcej na 50 kilometrów od Gerywillu, przeto Semici dostarczyli pięć wielbłądów specyalnych z rasy Mehary, odznaczających się nadzwyczajną szybkością.

Wyjechawszy z kwartału tubylców Gerywillu, przerzynamy niewielką płaszczyznę, pokrytą gęstemi kępami halfy. Halfa rośnie na całem płaskowzgórzu, między miastem Saïdą i Gerywillem, czyli, między miastem Tellem i pustynią Sahary; od czasu, kiedy z halfy zaczęto wyrabiać papier, Afryka wysyła do Europy miliony kilogramów rocznie tej trawy.

Wjeżdżamy w góry Dżebel Kessel; miejscowość skalista, dzika, droga, wysadzona kaktusami, zapylona, oślepiająca. Nasze Mehery, wyciągnąwszy szyję, kroczą szybko naprzód. Psychologia wielbłądów przedstawia wiele oryginalności: Nigdy wielbłąd nie ryczy z bólu lub rozpaczy; umiera, pod ciężkiem brzemieniem, spokojnie, stoicznie, bez skargi, jak koń lub wół. Za to, w chwili gdy klęczącemu ładują na grzbiet towary, krzyczy w niebogłosy, bełkocze żałośnie, ryczy przeraźliwie, zdaje się, że ktoś go za gardło ściska i dusi, ryczy proporcyonalnie do ciężkości ładowanego towaru, bo wie, że ciężar ten będzie musiał dźwigać całymi tygodniami przez pustynię, nieraz w przeciągu dziesięciu dni bez poży-

wienia i wody!... Skoro ładowanie się kończy, wielbłąd przestaje ryczeć, powraca do normalnego stanu swej dziwnej apatyi i obojętności, nieznanej u żadnych innych zwierząt. Opisy niektórych podróżnych, twierdzących, że wielbłąd zachowuje w żołądku wodę czystą i dobrą do picia — są tylko przesadą; żołądek wielbłąda oczywiście zawiera dużo płynu, ale płyn ten jest tak odrażająco cuchnący, że niepodobna bez wstrętu zwilżyć nim ust ludzkich. Na pustyni wielbłąd maszeruje zawsze z dumnie podniesionym łbem, maszeruje całymi dniami krokiem wielkim, równym, regularnym, automatycznym. Prawie, że nie zna wesołych podskoków i wybryków radości; melancholja pustyni widocznie oddziałała na jego system nerwowy. Wszystko mu jedno, do kogo należy? Nigdy swemu panu nie okazuje przyjaźni; nie cieszy się, jak koń lub pies, na widok swych przyjaciół lub towarzyszy podróży! Gdy towar, albo jeździec przypadkiem spadnie z jego grzbietu, nie zatrzyma się, jak koń, nie obróci — obojętnie ciągle kroczy dalej... Gdy w pustyni zabłądzi, zdechnie z głodu, bo nie potrafi odnaleźć drogi; przez swą obojętność nie zauważył jej, nie zapamiętał. Cierpliwy, wytrwały, łagodny, nigdy swego jeźdźca z grzbietu nie zrzuci. Pomimo jednak tych zalet, jest wyjątkowo mściwy: gdy go maltretują, szczególnie niesłusznie, wściekłość tryska z jego oczów, karę zniesie narazie stoicznie, ale nie zapomni, zemści się okrutnie; czeka długo i cierpliwie chwili stosownej, kiedy się znajdzie sam na sam z wrogiem, wolny od towarów na grzbiecie, wówczas milczkiem chwyta za

głowę i miażdży ją w swej potężnej paszczy!... Stała jego apatja zdaje się znikać w dwóch tylko wypadkach: Primo, kiedy przechodzi w blizkości cienistego drzewka pustyni zwanego „ghada“, którego liście uważa za największy przysmak i secundo, kiedy czuje zbliżanie się piekielnego wiatru sirokko albo simun'a, przed którym kładzie się na ziemi i z wyciągniętą szyją tuli łeb do piasku. Beduini znają wybornie wady i zalety tego nieoszacowanego „okrętu pustyni“, to też obchodzą się z nim zawsze łagodnie i z wielką troskliwością. Arabi powiadają, że Bóg stworzył wielbląda dla Beduinów, a Beduina — dla wielbłądów.

Zagłębiamy się coraz więcej w wąwóz dziki, kręty, straszny; żadnej wegetacyi, olbrzymie, gołe, strome, rozpalone skały ściskają nas, jak żelazna obręcz; nad nami widać tylko ciemno-sine pasmo nieba, a wokoło ponura cisza, nic ucho nie słyszy, oprócz stuku kopyt naszych Meherów, które idą ciągle kłusem. Nareszcie, zdala, spostrzegamy coś w rodzaju potężnego zamku ze średniowiecznych czasów... To tak zwane Arbauty, dwie małe wioski arabskie, ulepione z czerwonawej gliny, których mieszkańcy, pomimo świętości miejsca, kłócą się wiecznie między sobą już od lat kilkuset! W Arbaut'ach istnieją groby (Kuby) czterech słynnych mahometańskich kapłanów (marabut'ów) z rodziny wielkiego apostoła islamizmu Sidi-Abd-el-Kader-ed-Dżilani'ego.

Wioski, położone na lewym brzegu rzeczki Gulejt'y, tchną brudem i przygnębiającą nędzą: kil-

ka drzew figowych, kilka palm daktylowych, kilka ogrodów warzywnych—oto wszystko! Ponieważ jest godzina wpół do dziewiątej, a z drugiej strony Icek upewnia, że jego kopalnie znajdują się jeszcze mniej więcej na godzinę drogi, proponuję przeto, ażeby odpocząć z pół godziny i jechać dalej; powrócimy do Arbautów około 12-ej, w sam raz na obiad, a po zachodzie słońca wyruszymy w stronę Gerywillu. Propozycyę przyjmują. Jednego z semitów zostawiamy na wsi, ażeby zajął się obiadem, poczem w czwórkę ruszamy dalej. Po półgodzinnej drodze wkraczamy w niezmiernie szeroki wąwóz Teniet-ez-Zejar, po za którym u stóp naszych rozwija się nagle wspaniały, bezgraniczny widok na pustynię Saharę! Podobno, że nazwa pustyni pochodzi od egipskiego słowa „sakkar“, co oznacza „bóg śmierci“; w okolicach Kairu, na cmentarzu dawnego Memfisu, istnieją do dziś dnia piramidy Sakkara, które są uważane jako najstarsze pamiątki Egiptu.

Sahara jest wyschniętem morzem, które podczas zimy, dzięki halfie, pokrywa się stadami owiec i karawanami; podziemny słój wody pozwala tu i owdzie tworzyć wioski, oazy, pełne grodów, mile ocienione, pociągające świeżą zielonością. Po za Saharą ku południowi rozciągają się obszerne przestrzenie puste, smutne, złożone ze skał i czarnych kamieni zwane „Hamadami“, a w końcu za Hamadami istnieją tak zwane „Aregi“, niezamieszkałe piaski, na które żyjący świat patrzy z przestrachem.

Głęboka, imponująca cisza i samotność pustyni działają na uczucia ludzkie stokroć silniej, aniżeli bezgraniczne wody oceanu, których szum bałwanów mówi wciąż o życiu; w pustyni, przeciwnie, podróżny absolutnie nic nie słyszy, pustynia jest obrazem przerażającej śmierci!... Niektórzy przypuszczają, że pustynia przedstawia obszerną płaszczynę, równą jak powierzchnia morza. Wielki błąd! Ogólny wygląd pustyni jest więcej falisty, niż płaski; co chwila podróżnik dostrzega wydmy piaskowe zwane „dunami“, które, będąc złożone z piasku stwardniałego, przybierają formę głów cukru i służą dla koczujących beduinów do odszukania drogi; Sahara posiada góry, dochodzące do 2,000 metrów wysokości!...

Powoli spuszczamy się w stronę pustyni. Zdala widać na czerwono żółtym piasku, jak na dłoni, pięć ksurów (wiosek), złączonych w jedną ciemnozieloną oazę; z oazy wychylają się jasno białe kopuły kubów (grobów) miejscowych marabutów. Jedna z tych kopuł objętością przewyższa inne, to grób słynnego arabskiego marabuta Sidi - Szeik'a, miejsce pielgrzymki bardzo uczęszczane przez mieszkańców Sahary. Oaza El - Abiod, ukryta w cieniu palm daktylowych, jest uważana za jedną z bogatszych; grób Sidi - Szeika i palmy stanowią jej fortunę. O ile bambus gra wyjątkową rolę w całej Azyi, o tyle palma daktylowa — w pustyni Sahara; bez palmy egzystencya w Saharze byłaby absolutnie niemożebną. Pasterskie plemiona, koczujące na pustyni, żyją przeważnie mlekiem, miodem, kusku-

s'em (kasza z jęczmienia), a przedewszystkiem daktylami.

Każda palma daktylowa, oprócz głównego pożywienia, przynosi oazie przecięcowo 3 franki na rok, z których rząd francuski pobiera podatku 25 centimów ($^1/_{12}$); to też niektóre oazy, jak np. Biskra, posiadają przeszło 150,000 palm. Każda palma dostarcza rocznie około 200 funtów daktyli w formie olbrzymich gron, ważących mniej więcej 15 funtów grono. Naturalnie, nie wszystkie daktyle są sobie równe; podług botaników istnieje 68 odmian palm daktylowych! W dodatku, tylko palmy rodzaju żeńskiego wydają owoce, męskie są bezpłodne, chociaż kwiat męski jest niezbędny do otrzymania pięknych owoców; mieszkańcy zwykle sadzą jedną palmę męską na 50 żeńskich i zerwanym kwiatem w stosownej epoce, sami zapładniają.

Podług Arabów, Pan Bóg stworzył palmę dnia szóstego razem z człowiekiem i przeznaczył ją dla pustyni; palma jest błogosławionym dobrodziejem, który, ażeby módz żyć, potrzebuje swe nogi moczyć ciągle w wodzie, a głowę grzać na słońcu. I rzeczywiście, pomimo największej suszy i upału, dochodzącego do 60 stopni, palma zawsze oddycha świeżą zielonością, ciągnąc swój napój z podziemnych słojów Sahary, z którymi łączy się tysiącznymi korzeniami...

Jedziemy dalej. Icek wskazuje nam miejsce, gdzie powinniśmy skręcić na prawo, w kierunku łańcucha gór Tismert'a. Lecz w tej chwili, spostrzegł-

szy zdaleka jakiś wspaniały orszak, wyjeżdżający z El-Abiod'u, postanowiliśmy poczekać do jego przyjazdu.

Wkrótce też pojawił się na cudownym karym koniu bogaty rycerz marokański wraz z przepyszną swoją świtą, złożoną z kilkunastu jeźdźców Arabów i stada wielbłądów.

Dumny rycerz, przejeżdżając, powitał nas po arabsku; Mahmud, Icek i ja skłoniliśmy się po wojskowemu.

Mahmud, poskoczywszy za orszakiem, dowiedział się od murzyna, prowadzącego wielbłądy, że bogaty rycerz zwiedzał w El-Abiodzie grób Sidi-Szeik'a i że jedzie na siestę do Arbaut'y.

W kwadrans potem stanęliśmy u celu naszej podróży. Grupa skał, wielkości domów, rozrzuconych przed nami służy Ickowi jako wskazówka do odnalezienia kopalni; skały te od strony pustyni są tak gładkie, jak najpiękniej wypolerowany marmur; Mahmud twierdzi, że polerowanie tego rodzaju skał uskutecznia się przez siroko, który wiekami rzuca na skały ziarnka piasku.

Obok skał na kaktusie Icek złapał kameleona, małą jaszczurkę, odznaczającą się własnością przybierania koloru przedmiotów, na których spoczywa, tak np. na białej chustce staje się jasną, na halfie—zielonawą, na szkarłatnym burnusie Mahmuda—czerwonawą etc.; kameleon posiada w złotej oprawie oczy zupełnie od siebie niezależne: jedno oko może patrzeć prosto, a drugie, w tejże samej chwili, na prawo; albo jedno patrzy w górę, a dru-

gie na dół i t. p. Kameleon oswaja się łatwo z ludźmi i łazi po mieszkaniu jak kot; dla legionistów, którzy go uczą rozmaitych sztuk gimnastycznych, stanowi ogromną rozrywkę. Między skałami znaleźliśmy także mnóstwo jadowitych skorpionów. Mahmud schwycił jednego, położył go na piasku i wokoło obstawił wysuszonem łajnem wielbłądów, które zapalił; skorpion próbował wymknąć się z ognistego koła, lecz, przekonawszy się, że położenie jego jest bez wyjścia, podskoczył w górę, ukłuł się ogonem w łeb i umarł! Samobójstwo tego małego, zrozpaczonego stworzenia wywarło na nas silne wrażenie. Mahmud na dowód rzucił w okrążone ogniem koło drugiego skorpiona, który odebrał sobie życie w tenże sam sposób...

Posuwamy się dalej; Icek z trudnością odszukuje drogę; nareszcie wskazując w głębi skał na swe kopalnie, wykrzykuje z radością:

— *Les voilà, les voilà!*

Z pierwszego zaraz rzutu oka przekonałem się, że były to rzeczywiście bardzo bogate kopalnie, ale tylko... amiantu! Rozczarowanie nasze nie trwało zbyt długo; Icek dowodził, że eksploatacya kopalni przyniesie nam potężną fortunę.

Zbadawszy więc powierzchowną zawartość kopalni, wydobyłem z niej parę funtów próbek, poczem w zamiarze zredagowania, po powrocie do Gerywillu, odpowiedniego raportu do władzy, narysowałem szczegółowy topograficzny plan całej miejscowości. Następnie, nie tracąc czasu, a głównie pragnąc uniknąć szalonego upału, puściliśmy się

wyciągniętym kłusem z powrotem w stronę oazy Arbaut'y. Obiad był już gotów; semita upolował dwa zające i pitrasił je w ogromnym garuku z kuskusem. Niedaleko od nas, pod namiotami rozłożył się także obozem nasz piękny rycerz pielgrzym.

Przy obiedzie budujemy z Ickiem a propos kopalni amiantu feeryczne zamki na lodzie: otrzymaliśmy już zapomogę od rządu, eksploatujemy w naszej imaginacyi kopalnie z ogromnem powodzeniem; w końcu ja zostaję oficerem, a Icek kupuje pałac *Kronenberga w Warszawie!...*

Podczas deseru, złożonego z miodu, mleka i pieczonych placuszków, (rodzaj żydowskiej macy), marokański rycerz wyszedł z namiotu, obejrzał się wkoło, następnie, zbliżywszy się ku nam, zaprosił mnie i Icka w dobrej francuzczyźnie do siebie na kawę arabską. Gościnność Arabów jest znana w całej Afryce; odmówić, znaczyłoby obrazić, tembardziej, że pragnęliśmy chętnie przypatrzyć się bliżej temu rycerzowi, dziękując więc za uprzejmość udaliśmy się w stronę namiotu. Przy wejściu przyjął nas bardzo stary Arab, coś w rodzaju ojca Abrahama, wyciągnął ku nam rękę, którą, zgodnie ze zwyczajem, dotknęliśmy zlekka, bez żadnego uścisnienia.

— Marhaba, marhaba (pozdrawiam) — powtórzył kilka razy stary, podsuwając europejskie składane stołki i zapraszając nas do siadania. Wewnątrz namiotu znajdowało się już kilka osób ze świty; twarze nadzwyczaj wyraziste, harde, waleczne; towarzystwo, siedząc na dywanach, okalających

ściany namiotu, wytrzeszczało ze ździwieniem oczy na Icka na mnie; byli to dalecy podróżni z południowego Maroko, którzy pragnęli przypatrzyć się bliżej żołnierzom francuskim. Po chwili wszedł do namiotu młody, tęgo zbudowany murzyn (ten co prowadził wielbłądy), postawił na ziemi w miedzianem naczyniu roztopione owcze masło i worek daktyli. Stary Arab, wskazując ręką na danie, przemówił znowu:

— Sumum—co oznacza: proszę, chwalcie Boga.

Wszyscy zbliżyli się do worka. Każdy z obecnych brał daktyle w palce, maczał w roztopionem maśle i kładł do ust. My także. Młody rycerz, który nas zaprosił, mieszkał czas jakiś w Paryżu, przysiadł się obok i zaczął gawędzić:

— Czyście urodzeni w Paryżu?—zapytał.

— Nie — odpowiedziałem. — Jestem urodzony w Warszawie.

Młody rycerz się zamyślił, powtórzył kilka razy półgłosem „w Warszawie, w Warszawie“... poczem znowu zagadnął:

— A w jakiej to stronie Francyi Warszawa się znajduje?

— Warszawa nie leży we Francyi; Warszawa jest stolicą Królestwa Polskiego.

— A?!...—Rycerz połknął parę daktyli, umaczanych w maśle.

— Nigdy o Królestwie Polskiem nie słyszałem, chociaż znam wszystkie państwa Europy — rzekł.

Objaśniłem go więc, że Polska niegdyś także była wielkiem państwem, że jeszcze dziś posiada 20 milionów mieszkańców, ale znajduje się pod panowaniem trzech innych narodów i że jeden z królów polskich, Jan Sobieski, zwyciężył Turków pod Wiedniem. O tym walecznym królu, zdaje się, że słyszał, gdy bawił w Paryżu, ale po arabsku inne on nosi nazwisko. Nie mógł sobie narazie przypomnieć; szukał długo w pamięci, przemówił coś do jednego z obecnych, który mu nazwisko podszepnął.

— Ach, tak! Teraz sobie przypominam — wykrzyknął uradowany. — On się nazywał Napoleon Bonaparte!...

Zrobiło mi się nagle jakoś smutno na duszy. Rycerz, spostrzegłszy moje rozgoryczenie, zmienił temat rozmowy; zaczął opowiadać swoją ostatnią pielgrzymkę do świętego miasta Mekki. Podczas opowiadania młodego rycerza murzyn przed namiotem preparował kawę. Przygotowanie kawy arabskiej odbywa się w następujący sposób:

Starannie oczyszczone ziarnka kawy przyrumienia się pod pokrywą, albo upala świeżo na kolor brunatny, a nie ciemny jak u nas. Następnie upaloną kawę tłuką w odpowiednich moździerzach na proszek, tak miałki jak mąka. Z tej mąki kawowej biorą mniej więcej dwie łyżeczki na osobę i wsypują w mały, blaszany garnuszek, oddzielny dla każdego gościa; do kawy dorzucają szczyptę szafranu, cynamonu albo gożdzików (nigdy cykoryi) i, w końcu, dla Europejczyków, jeden lub dwa

kawałki cukru. Poczem do garnuszka wlewają wrzącej wody i, przykrywszy go, stawiają na węgle.

Skoro kawa zagotuje się, przelewają zawartość garnuszka do filiżanki i podają na stół. Arabi pijają kawę z fusami i bez cukru, Europejczycy czekają chwilkę aż się ustoi.

Po wypiciu kawy pozostaliśmy z Ickiem i, dotknąwszy zlekka ręki każdego z obecnych, opuściliśmy namiot, wypowiadając na pożegnanie tradycyonalne „Salam Alekum“ (pokój z Wami), na co obecni odpowiadają: Alekum Salam (i z Wami także). Młody rycerz odprowadził nas aż do naszych wielbłądów, wyrażając głęboką wdzięczność za wizytę, która sprawiła tyle przyjemności całemu towarzystwu. Natychmiast potem wsiedliśmy na wielbłądy i ruszyliśmy w drogę. O 9-ej wieczorem stanęliśmy w Gerywillu.

We wtorek przedstawiłem kapitanowi szczegółowy raport o *naszych kopalniach*, do którego dołączyłem kilka próbek amiantu i plan topograficzny.

Kapitan winszował nam odkrycia i życzył powodzenia, obiecując przesłać raport wraz z próbkami i planem do pułkownika, a następnie do ministra wojny. Od tej chwili marzenia nasze z Ickiem nie miały żadnych granic. Icek został zamianowany po 4 ch latach służby żołnierzem 1-ej klasy, a mnie kapitan proponował na stopień sierżanta. Niestety, pułkownik znalazł, że jestem jeszcze zbyt młody służbą i doświadczeniem, że, zgodnie z tradycyą, w Legii nikogo nie nominują podofice-

rem wcześniej, niż po dwóch latach pobytu, chyba za szczególniejsze odznaczenia na placu boju, że wreszcie propozycyę kapitana zanotuje, ale nie robi mi nadziei zaawansowania prędzej, niż za rok! Trzeba więc było pogodzić się z losem i czekać cierpliwie odpowiednich okoliczności.

Tymczasem oddychałem wielkimi projektami na przyszłość.

Życie w Legii zaczęło mi płynąć coraz znośniej, moja melancholia zniknęła zupełnie. Coprawda w oddzielnie stojących batalionach służba, manewry, wykształcenie wojskowe są o wiele ciekawsze, lepiej uorganizowane; żołnierze, mieszkający w koszarach, są traktowani wogóle z większą życzliwością, otrzymują żywność niezrównanie staranniej przyprawioną, aniżeli w Compagnie de dépôt w Saïdzie. Teraz marzyłem tylko (wreszcie, tak jak i wszyscy moi koledzy) o jaknajprędsze wyjechanie w inne światy: do Indo-Chiny, do Senegalu, na Madagaskar, do krajów, o których cudach i ciekawościach starsi koledzy opowiadali nam niemal co wieczór. Paląc fajki i popijając kawę przy ogniskach, rozłożonych na pustyni, myślą lecieliśmy w dal, hen za oceany, śpiewaliśmy piosnki rodzinne, a wycie szakali towarzyszyło naszej tęsknocie za czemś nieznanem!... Blady księżyc w pełni, nieraz oświecając te malownicze sceny, zdawał się nam mówić: „Waryaci, nie wzdychajcie za szczęściem dalekiem, tajemniczem! Świecę ja nad brzegami Wisły, Odry, Nilu, Gangesu, Mississipi i t. d. znam wybornie świat cały; wierzcie mi, nie ma krai-

ny na ziemi, któraby nie znała trosk i łez“!... Ale my wierzyć nie chcemy! my chcemy przekonać się sami, poświęcając nawet rodzinę, ojczyznę, życie!...

Od pewnego czasu pracujemy z większym zapałem, niż zwykle! Nasz dowódca otrzymał zawiadomienie, że w końcu tygodnia ma przyjechać do Gerywillu generał-inspektor w celu zrobienia przeglądu naszego batalionu.

Codziennie więc już o 5-ej rano wszyscy jesteśmy zebrani na placu manewrów: mustra piesza i konna, dzienna i nocna podczas marszu i spoczynku, zdobywanie pozycyi, obrona ich i t. p. bez końca; o 10-ej kończymy zajęcia, wracamy na obiad, poczem do godziny 2-ej odpoczywamy. Po obiedzie piechota ćwiczy się w gimnastyce, albo zajmuje się robotami w reducie, a konnica, t. j. my wyjeżdżamy zwykle kilkanaście kilometrów za miasto, gdzie rżniemy ochoczo sierpem halfę dla naszych mułów. O 5-ej — *kolacya*, następnie zupełna swoboda aż do apelu; o 9-ej — apel i spać.

Jutro o 7-ej rano rewja i wielka „Fantazya“ Arabów w obecności generała! Generał-inspektor wraz ze swoim sztabem przyjeżdża dzisiaj wieczorem; będzie spał u naszego dowódcy.

Cały batalion pracuje na zabój! Czyszczą broń, piorą bieliznę, układają, znaczą, reparują, glansują czarnym woskiem skóry, szuwaksują obuwie, szorują stoły, podłogi, półki, żelazne łóżka smarują naftą, buty do marszu tłuszczem, bielą wapnem kuchnię, wszędzie zamiatają, skrobią, wysypują piaskiem... Oficerowie krzyczą, sierżanci się

złoszczą, żołnierze mruczą pod nosem! Wszyscy biegają, znajdują, że nie dosyć czysto, nie dosyć pięknie, nie dosyć błyszcząco!...

Jutro ma być wspaniały obiad: trzy potrawy, deser, podwójna porcya wina, czarna kawa, likiery, cygara! nie gorzej, niż w dzień święta Narodowego!...

Już o 4-ej rano jesteśmy na nogach! Ubieramy się jak na wartę honorową: tornister z kompletnym dobytkiem wojskowym, w szlifach, z dekoracyami i orderami. O 6-ej wychodzimy na plac mustry. Tysiąc ludzi stoi pod bronią, podwójnym szeregiem w jednej prostej linii, wyrównanej pod sznur; na prawo trębacze, dobosze i muzyka batalionu; na lewo—nasza rota z mułami. Mój Maszykulis grzebie kopytem, strzyże uszami ze zdziwienia: nigdy jeszcze nie widział swych towarzyszy tak pięknie wyczyszczonych i lśniących! Dowódca kazał nałożyć na broń bagnety.

Postawił na warcie, w odległości 300 metrów od nas, trębacza, który powinien nam dać znak, skoro tylko dostrzeże zdaleka generała. Wszystko trzyma się w pogotowiu!

Punkt o 7-ej trębacz macha ręką, cofając się ku nam.

Nasz dowódca podniósłszy palasz ponad głowę komenderuje:

Garde â vous! (Baczność!).
Portez-armes! (W ramię-broń!).
Présentez armes! (Za-broń!).

Manewrujemy jak jeden mąż! Generał ze sztabem pojawia się na horyzoncie. Dowódca podjeżdża ku niemu galopem, salutuje pałaszem; trębacze trąbią, dobosze bębnią, muzyka gra „Marsyljankę"!... Łzy kręcą mi się w oczach... W ogóle zauważyłem, że na nas, legjonistów-cudzoziemców, Marsyljanka, ten hymn pełen ognia i werwy, robi zawsze silniejsze wrażenie, aniżeli na samych Francuzów; wszyscy legjoniści drżą ze wzruszenia! Widocznie, że ten hymn rewolucyjny zgadza się z nastrojem ducha Legii Cudzoziemskiej, która rwie się wciąż do walki—do wściekłej walki za utraconą wolność i swobodę; jest to pieśń, o której niegdyś każdy z nas stanowczo marzył, pieśń „utraconego raju".

Generał odsalutował; objechał nas stępem, najprzód z przodu, potem—z tyłu; kazał jednemu z żołnierzy zdjąć tornister i wyłożyć rzeczy na zewnątrz, chciał się przekonać, czy wszystko posiada w porządku? Nie znalazł nic do zarzucenia; podziękował dowódcy za doskonałe utrzymanie bataljonu. Następnie dowódca zakomenderował:—Formuj półkole frontem wewnątrz—marsz!

Uformowano półkole. Generał wywołał na środek niejakiego Szpekel'a, żołnierza I-ej klasy i adjutanta (najwyższy stopień podoficerski), Blanchard'a, którym przypiął z odpowiednim ceremoniałem ordery:—Szpekel'owi—medal za uratowanie życia, podczas pożaru, pewnej starej kobiecie arabskiej, a Blanchard'owi, medal wojskowy za odwagę—którą okazał w czasie ostatniej wyprawy ton-

kińskiej. Poczem zakomenderowano: — Na naczelną ścianę, formuj front—marsz!

I znowu rozwinęliśmy się w jedną linję. Rewja się skończyła. Generał, odjechawszy na 200 metrów od bataljanu, dał znak i wówczas muzyka zaczęła grać marsza Legii Cudzoziemskiej, zaczynającego się od następujących słów:

„*Tonnerre de Dieu! tu n'es jamais content! Tiens, voilà le boudin, voilà le boudin*" *etc.*

A nasz dowódca zakomenderował po raz ostatni:—Bataljon na pra-wo! Na ramię—broń! Naprzód, dyrekcya na prawo—marsz!

I przy tej komendzie, defilując dumnie przed generałem, powróciliśmy nareszcie do koszar. O 9 generał zwiedził wszystkie budynki, stajnie, kuchnie; próbował naszego obiadu i t. p. O 3 po obiedzie, miejscowi Arabi urządzili na cześć generała wielką „Fantazyę".

Naturalnie całe miasto pospieszyło na to oryginalne widowisko. „Fantazya" w ogólnych zarysach przypomina nieco turnieje konne kozaków czerkieskich—z tą różnicą, że przedstawia więcej elegancyi i tchnie mniejszą dziczyzną, niż te ostatnie: Przedewszystkiem konie arabskie czystej krwi, wysmukłe i lekkie, jak antylopy, dodają wiele uroku tym ćwiczeniom rycerskim—a następnie, wspaniały kostyum samych Arabów nadaje tym turniejom cechę artystyczną. Naród wysoki, szczupły, zgrabny imponuje Europejczykom swoją wyniosłą postawą i godnością; twarze, przepalone słońcem i wiatrem pustyni, tchnące dumą i energją, wyglądają niby

ulane z bronzu. Nadto Arabi, stanowiąc wyśmienitą jazdę, z którą trudno rywalizować, potrafią nadać swym turniejom, przez wysokie lekceważenie niebezpieczeństwa, pewien odcień bohaterstwa—wzbudzający szczerą admiracyę spektatorów; to też zawsze są witani z nieopisanym zapałem. Wszyscy jeźdźcy, biorący udział w Fantazyi, odznaczają się przepysznym kostyumem, który, pomimo ogólnego charakteru narodowego, uderza rozmaitością barw i przyborów: kaftany jedwabne, jaskrawe, wyszywane srebrem i złotem, przepasane lśniącymi pasami; przy boku z jednej strony szabla arabska z misterną rękojeścią, a z drugiej—jatagan zwany flisem; buty żółte lub czerwone, safianowe; na plecach obszerny biały lub szkarłatny burnus, zarzucony z fantazyą, albo spięty pod szyją drogocenną klamrą; na głowie kaptur lub też turban biały, obwinięty sznurem wielbłądzim. Konie są przystrojone podobnież z przepychem i w odpowiednim tonie; siodło, ozdobione kością i miedzią, podszyte aksamitem i haftowane złotem; niekiedy skóra pantery, zwieszona niedbale z boku na tyle, służy jako dowód, że znakomity jeździec jest zarazem zuchwałym myśliwym. Co prawda, w tym kraju skóry dzikich bestyi są mniej cenione, niż u nas. Tak np. dla wytępienia szkodliwych zwierząt, rząd, pragnąc zachęcić tubylców, wypłaca za przyniesioną skórę lwa 50 franków, za panterę—25 franków, za hyenę—5 i za szakala franka. W przeszłym roku zabito w Algeryi (Alger, Oran i Konstantyn), 30,483 dzikich zwierząt, z których 27,185 szakali, 1,882 hye-

ny, 1,214 pauter i 202 lwów i lwiątek, oprócz tych, które wcale nie zostały zanotowane.

Każdy jeździec, należący do Fantazyi, jest uzbrojony w długą fuzyę arabską z kolbą, ozdobioną srebrem, kością i perłową macicą. Fantazya zaczyna się zwykle szarżą oddzielnych grup, które, puszczone cwałem w kierunku najwyższego, obecnego na turniejach dygnitarza, zatrzymują się przed nim na kilka metrów, jak wryte, dając przytem w powietrze ognia ze wszystkich fuzyi; poczem, uczyniwszy nagle pełen elegancyi zwrot, cofają się kłusem, ustępując miejsca innej grupie i t. d. Po kilku natarciach zbiorowych, występują jeźdźcy solo, albo po dwóch lub czterech, robiąc przytem rozmaite, godne podziwu ewolucye:—czy to stojąc na siodle, w największym pędzie podrzucają w powietrze broń i chwytają; czy też, siedząc na siodle, przechylają się pod brzuch konia i podnoszą z ziemi rzucony jatagan; czy też, jadąc na oklep, strzelają i atakują zarazem szablą i t p.

Długi czas zostawałem pod czarującem wrażeniem Fantazyi, a gdy wieczorem przed zachodem słońca ujrzałem na placu miasta tychże samych bohaterów wraz z tłumem innych współwyznawców ukorzonych, bijących czołem o ziemię przed meczetem, zrozumiałem, że ten solidarny tłum przedstawia wielką siłę, z którą Francya ciągle musi się rachować. Dzielny naród! Dumny, hardy, waleczny, pełen rycerskich przymiotów, kocha swój kraj bez granic i, pomimo 80-letniego jarzma Francuzów, nigdy nie uważa się za zwyciężonego, bezprzestannie

oczekuje sprzyjających okoliczności, ażeby wywalczyć swoją niezależność. W roku 1871, kiedy Francuzi zostali zmiażdżeni przez Niemców, Arabi powstali jak jeden mąż, ale, niestety, rzucili się do broni zbyt późno: Nowy rząd francuski zdążył już uśmierzyć nieporządek komuny i zajął Algeryę resztkami wojsk swoich. Powstanie ucichło, ale czasowo...

Ludność Algeryi, pomimo wspólnego arabskiego języka, przedstawia między tubylcami wielką rozmaitość typów; najgłówniejsze są: Berbery albo Kabyle, stanowiący plemię rodzime; następnie Arabi, zwycięzcy, którzy zagarnęli Algeryę w 7 wieku po Narodzeniu Chrystusa, naród przeważnie koczowniczy i pasterski; później Maurowie, czyli Arabi, osiedleni w miastach; Kulurl'y, mięszanina Turków z Maurami, Murzyni, którzy przybyli ze środkowej Afryki i nareszcie Żydzi, których przewaga materyalna i polityczna wzrasta z każdym dniem.

Pierwotnymi mieszkańcami Algeryi, podług muzułmańskiego historyka Ibn-Khaldun'a, była rasa Berberów. Niektórzy uczeni twierdzą, że Berberowie przyszli z Azyi i że jeszcze po dziś dzień istnieje w Indyach plemię, zwane Warwara, następnie w dawnej Persyi istniała prowincya, nosząca nazwę Barbaristan, dalej nad brzegiem morza Czerwonego egzystuje port Berbera i w końcu, nad brzegami Nilu— plemię Barabra. Wszystkie te nazwy mają przedstawiać następujące po sobie etapy pielgrzymki Berberów, między Azyą i Afryką. Za Berberami do Algeryi przybyli Fenicyanie, Rzymianie, Wandale, poczem Muzułmanie (Kalif Harun-el-Raszyd), Turcy

(Hassan-Agha) i nareszcie, Francuzi (generał Bugeaud etc.)

W niespełna dwa tygodnie po odjeździe generała inspektora, Opatrzność zesłała nam inną niespodziankę: kilka plemion arabskich, osiadłych w okolicach El-Galea, na granicy Gurara, zbuntowało się przeciw rządowi, odmawiając płacenia podatków. Gubernator Algeryi, chcąc ukarać niesfornych, postanowił wysłać na plac buntu pewną część wojska, ażeby zmusić siłą zbrojną powstałe plemiona do wypłaty zaległej należności, a następnie dla usunięcia podobnych wyskoków na przyszłość, przeprowadzić plemiona pod eskortą z nad granicy Gurary do północnych prowincyi afrykańskich. Dla zrealizowania tego planu zadecydowano, że wojska wyruszą w drogę ze wszystkich prowincyi Algerii w pewnym czasie, tak ażeby się skoncentrować na dzień oznaczony w okolicy El-Galea.

Ale ponieważ rozkaz gubernatora przybył do Gerywillu nieco spóźniony, przeto, pragnąc zyskać dni kilka, dowódca naznaczył na tę wyprawę „la Compagnie montée", t. j. naszą rotę.

W naszej rocie, połowa żołnierzy idzie pieszo, a druga połowa jedzie na mułach, przytem, co godzinę następuje zmiana: ci, którzy jechali, ustępują muła tym, którzy szli pieszo i t. d., naturalnie w rocie konnej żołnierze maszerują bez tornistrów, stąd średnia szybkość marszu dochodzi do 6 kilometrów na godzinę, gdy tymczasem szybkość zwyczajnej piechoty nie przewyższa 4 kilometrów i pół. Wyprawa trwała okrągłych 35 dni. Podróż w tamtą

stronę zajęła nam dni 15, z których 12 dni marszu i 3 dni odpoczynku w drodze, czyli, że co 3 dni zatrzymywaliśmy się na jeden cały dzień, ażeby wzmocnić się na siłach, uporządkować rzeczy, wyreparować zaprząg, oczyścić muły, otrzymać nadesłaną dodatkową żywność, składającą się z mięsa w konserwach, z sucharów, kartofli, grochu, ryżu, kawy, herbaty, cukru, wina i t. p. Ogółem w tamtą stronę zrobiliśmy 350 kilometrów. W armii francuskiej wojsko podczas pochodów odpoczywa co godzinę regularnie 10 minut, t. j. maszeruje 50 minut bez przerwy, poczem na 10 minut ustawia broń w kozły i zdejmuje tornistry; jest to doskonały system, bo sfatygowany żołnierz, posiadając zegarek, zawsze wie, ile jeszcze czasu musi maszerować i często przezwycięża zmęczenie, ażeby dowlec się do pauzy, z tego powodu, bardzo mało żołnierzy pozostaje z tyłu armii. Podczas naszej wyprawy wstawaliśmy regularnie o 3 rano, o 4, po wypiciu czarnej kawy, puszczaliśmy się w drogę i maszerowaliśmy aż do godziny 10, a czasem i dłużej, co zależało od położenia wody, studni lub źródła.

Zaraz po przybyciu na etap podoficerowie segregują ludzi podług rozmaitych robót: jedni idą z płóciennymi, składanymi kubłami po wodę, inni zbierają drzewo do paliwa, inni rozkładają namioty polowe, (jeden namiot na 6 ludzi, każdy człowiek niesie pewną część namiotu z sobą); inni rozsiodłają, poją muły, wydzielają im paszę i przywiązują je do kołków, inni wychodzą na wartę i pikiety, kucharze urządzają kuchnie polowe i zajmują

się gotowaniem obiadu, więźniowie urządzają kloaki po za obozem i t. p.; chodzi o to, ażeby każdy coś robił, żeby się ruszał i nie próżnował. W ten sposób czas szybko schodzi do obiadu; następnie po obiedzie wszyscy, z wyjątkiem warty, układają się pod namiotami na spoczynek (siesta), a o 3 po południu obóz znowuż się budzi; podoficerowie robią przegląd broni i amunicyi, poczem też same zajęcia co rano, aż do kolacyi. W nocy spokój względny z powodu mułów, które ciągle rżą, kwiczą, kopią się wzajem, a niekiedy, jeżeli w dodatku który z nich się oberwie i zacznie włóczyć po obozie, hałas okrutny, warta stajenna goni za nim, muł bryka, kapitan wymyśla od ostatnich, wszyscy się budzą! o 2-ej po północy kucharze już rozpalają ognie do przyrządzania kawy, o 3-ej trębacz daje sygnał wstawania, siodłają muły, a o 4-ej w drogę i tak codzień. Oprócz tego prawie co noc z głębi pustyni przyłażą aż pod obóz stada hyen z szakalami w celu pożerania resztek z kuchni i kloak; przytem szakale wyją tak żałośnie i przeraźliwie, że serce się ściska; potrzeba rzeczywiście czuć się dobrze zmęczonym, ażeby módz spać w podobnych warunkach; to też siesta jest naszym jedynym, prawdziwym wypoczynkiem; podczas siesty prawie że wszyscy śpią—pod karą więzienia nikomu nie wolno rozmawiać głośno lub hałasować, spokój absolutny.

W pierwszych dniach maszerowaliśmy drogą, potem—steczkami, wąwozami, a w końcu, przez pustynię na przełaj, prowadzeni przez miejscowych

przewodników. Po drodze, oprócz kęp trawy halfy, nie spotykaliśmy żadnej innej roślinności, za to na etapach, przy źródłach, napawaliśmy się cieniem obfitej wegetacyi, złożonej z palm daktylowych, kaktusów, drzew figowych etc. Ósmego dnia, podczas całodziennego odpoczynku, na etap przybyło z Gerywillu kilka wielbłądów, obładowanych prowiantami i paszą, oraz małe stado baranów, przeznaczonych na pożywienie roty. Zdziwienie moje i radość były nie do opisania, gdy na przodzie konwoju wielbłądów ujrzałem mego zacnego Icka i Merę!

— *Vive la Pologne et le caporal Poniatowski!*—wykrzykuje Mera, który kilka dni temu przyszedł z Saïdy.

— Ny, jak się pan ma? — krzyczy Icek zdaleka.—Bardzo pan schudł, ciągiem pan chodzi i chodzi, a kule, czy już strzelają?—wypytuje Icek.

— Nie, jeszcze nie strzelają—odpowiedziałem uradowany. Uściskaliśmy się, jak bracia. Icek przywiózł mi paczkę papierosów, kilka tabliczek czekolady, trochę daktyli i list od Jana Thiollier. Cały dzień gawędziliśmy z sobą, popijając kawę arabską i chrupiąc macę żydowską, o której Icek nie zapomniał. Mera także był zaproszony, miał przy sobie nieodstępną butelkę araku. Na drugi dzień musieliśmy się rozstać: Icek i Mera wracali z wielbłądami do Gerywillu.

Dziesiątego dnia, pewien legionista z naszej sekcyi, niejaki *Vanwertenmölen*, Flamandczyk z pochodzenia, umarł nagle podczas marszu; doktór

twierdził, że to paraliż serca; pochowaliśmy go na najbliższym etapie; jeden z kolegów, dawny zakrystyan, odmówił modlitwy; kapitan wygłosił patryotyczną mowę; ułożyliśmy kopiec, a na kopcu wkopaliśmy krzyż z drzewa figowego! Na drugi dzień poszliśmy dalej. Wreszcie 15-go dnia stanęliśmy na miejscu! Natychmiast po przybyciu, bez najmniejszego wypoczynku, nasz kapitan zaprowadził nas na plac boju. Inne wojska czekały już na nas. Stanęliśmy rozwiniętym frontem, mniej więcej na 2000 metrów od ksurów, w których zbuntowani Arabi zgromadzili się ze swemi rodzinami i całkowitym dobytkiem; ksury, utopione w zieleni, były okrążone murem z gliny i okolone głębokim rowem. Obok nas stali, podobnież rozwinięci, turkosi i żuawi, a na skrzydłach prawdziwa konnica: na prawem skrzydle—*spahisi* (najwięcej malownicza kawalerya francuska), na lewem—*gummi* (policya konna arabska), wreszcie, za nami, na wzgórzu, postawiono dwa działa polowe. Pułkownik, który dowodził całym oddziałem, rozwinąwszy siły zbrojne w sposób ostentacyjny przed zbuntowanymi, wysłał do ksurów parlamentarzy z oznajmieniem, że jeżeli zbuntowani nie oddadzą natychmiast broni i nie zdecydują się na wypłacenie zaległych podatków oraz na przesiedlenie się pod eskortą do innych prowincyi, ksury zostaną zbombardowane, a siła zbrojna wkroczy wewnątrz, ażeby zburzyć całkowity dobytek i zbuntowanych zabrać do niewoli.

Oczekiwaliśmy właśnie na odpowiedź. Tymczasem mój kapitan powierzył mi zdjęcie planu to-

pograficznego pozycyi, zajmowanej przez nasze siły zbrojne. Czekaliśmy przeszło godzinę. Zdala dochodziła nas jednostajna wrzawa kilkutysiącznego tłumu, jakby szum wzburzonego morza, lub przytłumiony turkot oddalonej stolicy; czasami szum ten zamieniał się nagle w przerażający hałas, krzyk, trzask i łoskot, poczem znowu przechodził w łagodny szmer i szelest. Na horyzoncie nie widać żywej duszy; cieniste palmy, okalające oazę, nie pozwalały dostrzedz najmniejszego znaku życia nawet przez lunety wojskowe. Była chwila, że nasz pułkownik zaczął się mocno niepokoić: podejrzewał zdradę, morderstwo parlamentarzy lub szykującą się zasadzkę na tyłach frontu; wysłał więc gummów na zwiady. Lecz prawie w tymże samym czasie, na tle cienistych ksurów pojawił się biały oddział Arabów, pędząc wyciągniętym kłusem w naszą stronę; oddział unosił ponad głowami dwa olbrzymie sztandary: zielony (sztandar Mahometa) i biały (oznaka poddania). Pułkownik dał rozkaz, ażeby wojsko trzymało się na pogotowiu, sam zaś, okrążony spahisami, wyjechał na spotkanie; wkrótce zaczęliśmy rozróżniać naszych parlamentarzy. Na 500 metrów przed frontem, oddział Arabów zatrzymał się, a z pośród nich wyjechał jeździec w szkarłatnym burnusie (prawdopodobnie wódz zbuntowanych) wraz z naszym trębaczem i parlamentarzami. Wówczas pułkownik wstrzymał także spahisów, spiął konia ostrogami i z miejsca w galopie zbliżył się do podjeżdżających. Rozmawiali z kwadrans. Poczem stary Arab w szkarłatnym burnusie dał znak

swemu oddziałowi, który cwałem zawrócił w kierunku ksurów, a Arab, okrążony spahisami, pozostał z nami jako zakładnik. Pułkownik postawił natychmiast zebrane wojska na kilkaset metrów od ksurów, otaczając je nieprzerwanym łańcuchem forpoczt i pikiet. *La compagnie montée* rozłożyła obóz na wzgórzu, obok artyleryi. Tak się zakończyła wyprawa do El-Galey! Zbuntowane plemiona, widząc swą bezsilność, przyjęły wszystkie warunki!.. Pojutrze więc wyruszamy w drogę powrotną.

Nad wieczorem przyszedł do nas z wizytą trębacz, który jeździł do ksurów. Naturalnie wszyscy go obstąpili, pragnąc się dowiedzieć szczegółów o przyjęciu w ksurach naszych parlamentarzy. Trzeba dodać, że delegacya parlamentarzy, pod dowództwem kapitana spahisów, składała się wyłącznie z Arabów, oprócz owego trębacza.

— Jak tylko wjechaliśmy do wsi — opowiadał nieco podchmielony trębacz,—ciżba kobiet i dzieci zwaliła się ku nam, wygrażając na czem świat stoi; jedna stara baba, stojąc ledwie na nogach, zaczęła pluć w naszą stronę, krzycząc: „Przeklęci, służalce psów chrześcijańskich! Nagła śmierć was spotka w drodze, bo Allah brzydzi się wami! Przeklęci, przeklęci“! Możecie sobie wyobrazić, jaką minę robił nasz kapitan! Ja sam czułem się bardzo niespokojny, bo ani jednego chłopa nie było widać na lekarstwo! Trąbiłem więc z całych sił, a cięgiem oglądałem się wkoło, czy nie hukną do nas z broni gdzie z za rogu jakiej chałupy. Ale jakoś nic, dzięki Bogu, jeszcze nie napisano, abym zmarniał! Po paru mi-

nutach wyszedł stary sidi, naczelnik bandy, ten, co został u nas na zakład, zabrał kapitana z sobą, a myśmy zostali przy drzwiach. Wszystkie baby i dzieciaki poszły za nimi. Siedzieliśmy prawie godzinę sami, kurząc papierosy. A jak stary Sidi wrócił ze swoją świtą i kapitanem, to mu baby po drodze strasznie wymyślały, lamentowały, mówiły, że są podli tchórze, że one, kobiety, psom chrześcijańskim broni nie oddadzą, że z miejsca się nie ruszą i z dziećmi pozostaną we wsi, ażeby umrzeć na ziemi ojców swoich!

Niestety, te silne postanowienia, groźby, przekleństwa, okrzyki bólu i oburzenia, wywołane humanitarnem poczuciem sprawiedliwości, pod naciskiem siły zbrojnej powoli złagodniały, ucichły, zamilkły zupełnie. Siła brutalna, jak zwykle, przeważyła prawo: Uzbrojeni mężowie zbuntowanych plemion, pomimo wzgardy swych matek, żon i sióstr, tegoż dnia złożyli broń i amunicye w ręce reprezentantów rządu francuskiego. Na drugi dzień poczęto robić przygotowania do podróży: gromadzono stada, ładowano namioty na wielbłądy, wiązano w tłomoki chudobę, pamiątki rodzinne, wykopywano z cmentarzysk kości przodków, zabierano worki, napełnione ziemią ojczystą, której już nigdy więcej nie mieli oglądać!—Rozpacz, oburzenie, łzy, pomimo, że na to wszystko patrzał Bóg — dobry wszechmogący, sprawiedliwy!...

Pochód nasz powrotny trwał 18 dni. Przeprowadzaliśmy miasto ruchome, złożone z 6,000 mieszkańców, 1,000 wielbłądów i 8,000 kóz i owiec.

Rota konna maszerowała na przodzie, spahisi i gummy — po bokach, a turkosi z żuawami z tyłu. Codziennie, po przybyciu na etap, to chodzące miasto rozkładało się obozem. Nigdy nie zapomnę jego imponującego widoku! Głęboki szereg namiotów, ścieląc się na kilkaset metrów po za nami, wrzał bezprzestannem, piekielnem życiem i chęcią zemsty. Gwar ludzki, nawoływania, ryk wielbłądów, żałośne beczenie owiec, krzyk domowego ptactwa, wszystko kotłowało się, mieszało razem, wytwarzając jakiś przerażający, nieopisany chaos! Raz tylko na dzień wybuchy tego ludzkiego wulkanu zdawały się zamierać, gdy przed zachodem słońca setki białych burnusów, zwracając się na wschód, biły czołem o ziemię i błagały Allaha o pomoc! Wówczas święta cisza pokrywała koczujące miasto, a przed tą pełną fanatyzmu ciszą z poszanowaniem uchylały głowy nawet „psy chrześcijańskie“... Następnie, wieczorem, gdy rozłożono wokoło tysiączne ogniska, gwar ucichał stopniowo, a potężny obóz przybierał inny odcień, formę ponurej, groźnej tajemnicy. Dzień i noc żyliśmy jak na rozżarzonych węglach, szczególniej w pierwszych dniach; co chwila oczekiwaliśmy napadu bandytów marokańskich, którzy, jak głosiły wiadomości, mieli być wysłani z rozkazu króla Maroka dla odbicia więźniów. Próżne oczekiwania! Projekt bandytów nie doszedł do skutku. Niekiedy w nocy, podczas warty, badałem szmer drzemiącego obozu i zdawało mi się, że wszystko śpi w spokoju, a jednak życie wrzało w nim ciągle, nawet tragiczniej, niż w dzień biały,

bo pod pokrywą ciemności rozgrywały się tam dramaty krwawe, których śladami usłany był nasz pochód: co noc prawie w obozie chowano kilka osób, zmarłych czy to z wycięczenia, czy też zamordowanych przez nieprzyjaciół. Nieraz, nagle, przeraźliwe krzyki budziły część obozu; słychać było brzęk i trzask druzgotanych mebli, wymysły, jęki, szlochania; osoby z pochodniami, jak widma, biegały z miejsca na miejsce; poczem znowuż wszystko ucichało i przychodziło do normalnego stanu. Obszar obozu zmniejszał się z dnia na dzień. Oprócz tego setki owiec zdychały po drodze z głodu, pomimo, że wojsko żywiło się wyłącznie baraniną. Niezliczone stada hyen i szakali wlokły się za naszym orszakiem pogrzebowym, zapraszając swem ponurem, przeciągłem wyciem całą pustynię na ucztę wyjątkową! Trwało to dni siedemnaście. Ośmnastego dnia rano, szwadron spahisów zastąpił „La Compagnie montée“. Misya nasza była skończona, powracaliśmy na *stare śmieci!* Przy wejściu do Gerywillu powitano nas muzyką i okrzykami radości, a w nagrodę za trudy i uczciwe spełnienie obowiązków otrzymaliśmy cztery dni odpoczynku. I znowu zaczęło się szare, monotonne życie koszarowe: mustra, jeżdżenie po halfę, roboty obozowe, warty i t. p. W oczekiwaniu jednak nowych przygód, oddychaliśmy wspomnieniami tej pierwszej naszej wyprawy, opowiadając każdy swoje osobiste przygody tym, którzy w niej udziału wziąć nie mogli i którzy z zazdrością patrzyli na nas, a my czuliśmy się dumni z ty-

lu przeżytych wrażeń, czuliśmy się starsi, posiadaliśmy więcej doświadczenia!..

Pewnego dnia, w miesiąc po powrocie z El-Galey, feldfebel konnej roty oznajmił nam podczas apelu, że ci, którzy mają mniej, niż trzy lata służby, a pragnęliby kontynuować ją w Indo-Chinach, mają się stawić jutro, o 7-ej rano, na wizytę doktora pułkowego. Ta nowość spadła na nas, jak piorun z błękitnego nieba! Nikt nie był przygotowany na tę niespodziankę. Myśl wyjechania do innego świata zelektryzowała cały korpus — wszyscy chcieli jechać, radość była szalona! Nazajutrz przed doktorem stanęło przeszło 250 ochotników! Doktór wybrał między nimi 100, ludzi dojrzałych i najsilniej zbudowanych; między wybranymi liczyłem się ja, także i Mèra. Tegoż dnia załatwiliśmy wszystkie nasze czynności służbowe; o godzinie 4-ej po obiedzie, dowódca zrobił przegląd ochotników w umundurowaniu pochodowem i pożegnał się z nami, wypowiedziawszy kilka słów gorących, serdecznych, życząc nam zdrowia i szczęśliwej podróży. Wieczorem ochotnicy włóczyli się po mieście, żegnając znajomych i przyjaciół, większa część wróciła do koszar dobrze podchmielona, każdy jednak stawił się na apel bez opóźnienia i nikt się nie potaczał, z obawy, ażeby za karę nie został wykreślony z listy.

Dnia 10-go grudnia, skoro świt, 8-iu kaprali, 2-ch trębaczy i 96-u żołnierzy pod dowództwem sierżanta Wilman'a, Anglika z pochodzenia, wyruszyliśmy z Gerywillu do miasta Saïdy przy dźwię-

kach muzyki, grającej marsza Legii Cudzoziemskiej i Marsyliankę! Nasz kapitan i jego żona towarzyszyli nam z kilometr drogi, poczem pożegnali nas ze wzruszeniem, jak własną rodzinę! Icek płakał rzewnemi łzami; obiecywał napisać skoro tylko otrzyma z Ministeryum Wojny odpowiedź na wysłany raport o odkrytych kopalniach amiantu; na pożegnanie wcisnął mi do tornistra parę obwarzanków swojej roboty!...

Po przybyciu do Saïdy rozłożyliśmy się osobnym obozem obok kolegów, którzy przymaszerowali z innych batalionów; razem było nas 400 ludzi. W Saïdzie rozdano nam białe, kolonialne mundury oraz kostyumy, przeznaczone na czas podróży morskiej i, zamiast kepi, korkowe kaski, pokryte płótnem, mające chronić od podzwrotnikowego słońca. Gdy po kiku dniach wszelkie formalności zostały skończone, zebrano oddział po raz ostatni na apel. Pułkownik przemówił do zgromadzonych w sposób patryotyczny, wyrażał nadzieję, że Francya, która przyjęła nas na swe łono po bratersku, nie zawiedzie się na nas w warunkach trudnych, że wszędzie będziemy uważali za obowiązek święty bronić jej sztandaru z odwagą i poświęceniem, godnem naszych poprzedników, dzielnych legionistów; wierzył, że nie umniejszymy sławy tych, którzy przed nami w tychże koloniach po bohatersku krew przelewali.

— Życzę wam zdrowia i powodzenia, moi kochani przyjaciele—kończył pułkownik—a wraz z życzeniami powtarzam w imieniu naszej wolnej rze-

czypospolitej okrzyk, który zna świat cały: „Niech żyje waleczna Legia"!

— Na pra-wo! Na ramię-broń! Naprzód-marsz!—zakomenderował porucznik Sardi i w tejże chwili muzyka pułkowa zagrała marsza Legii.

Na kolej odprowadzili nas niemal wszyscy mieszkańcy Saïdy, między innymi Kotarski i Szafrański; ten ostatni został także sierżantem, Sokołowski jechał razem z nami. Wsiedliśmy do wagonów. Gwar, ostatnie rozmowy z kolegami, ostatnie pożegnania, życzenia, uściski, łzy opuszczonych *kochanek etc.* Wreszcie, pociąg ruszył przy odgłosie Marsylianki i pełnych entuzyazmu okrzyków wszystkich pozostających!...

Pod wieczór, stanęliśmy w Oranie...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Tom.		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
525.	MAROKKO, w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił Jan Błeszyński	40	25
526.	**Stanisław Ostrowski.** A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA. Nowela z końca XVIII wieku	40	25
527, 528, 533.	**Juljusz Falkowski.** WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, z przedmową Tadeusza Grużewskiego	1.20	75
529.	**Artur Schnitzler.** ŚMIERC. Nowela z przedmową Adolfa Strzeleckiego	40	25
530,	**Alexandra Suszczyńska.** INACZEJ. Nowele	40	25
531	**Wilia Zyndram-Kościałkowska.** SZKICE LITERACKIE. II. Prometeusz	40	25
532, 535, 536, 537, 539, 541, 543, 545.	**Teodor Dostojewski.** BIESY. Tłomaczył T. K.	3.20	2.00
534, 538.	**Maurice Leblanc.** WYTWORNY WŁAMYWACZ. Przekład J. P.	80	50
540.	**Wiktor Gomulicki.** OPOWIADANIE O STAREJ WARSZAWIE. Serya II	40	25
542.	**Ryszard Jefferies.** HISTORYA MOJEGO SERCA. Autobiografia. Przełożyła z angielskiego A. Z.	40	25
544.	**Eliza Orzeszkowa.** WIDMA. Powieść z przedmową Stanisława Krzemińskiego	40	25
546.	**Tadeusz Jaroszyński.** DWIE NOWELE.	40	25
547, 548.	**Aleksander L. Kielland.** NAPOLEON I JEGO LUDZIE, przekład Maryi Kreczowskiej	80	50
549.	**Conan Doyle.** Z PRZYGÓD SHERLOCKA HOLMESA. Tłóm. z angielskiego Bronisława Neufeldówna	40	25
550.	**Hermann Heijermans.** W PRZESTRZENI. (Humoreska z niedalekiej przyszłości). Przełożyła Z. W.	40	25
551, 552, 553.	**Teod. Tom. Jeż.** ZARNICA. Powieść bułgarska	1.20	75
554.	**Gabryel d'Annunzio.** MIASTO UMARŁE. Tragedya w pięciu aktach, przełożyła z włoskiego J. Dyżewska	40	25
555, 556.	**Eugeniusz Checchi.** GARIBALDI. Przełożył z włoskiego D-r Stanisław Kozicki, z przedmową Władysława Jabłonowskiego	80	50

Tom.		CENA w opr. kop.	CENA brosz kop.
557, 558.	**Józef Conrad. (Korzeniowski).** TAJNY AGENT. Przekład z angielskiego M. G.	80	50
559, 560, 566.	**Jędrzej Śniadecki.** PISMA SATYRYCZNE. Do druku przygotował i przedmową opatrzył Dr Adam Wrzosek	1 20	75
561.	POLSKA jako rycerz wśród narodów, według Louis'a E. Van Normana, z przedmową Heleny Modrzejewskiej-Chłapowskiej. Opracowała Emilia Wesławska	55	40
563, 564.	**Prevost.** LISTY FRANI MĘŻATKI	110	80
565.	**J. Mikulicz.** KRÓLEWIENKA	40	25
567, 568.	**Hejermans.** MIASTO DYAMENTÓW	80	50

Rok 1909.

569, 570.	**A. Gruszecki.** ZALOTY BIUROKRATY. Powieść 2 tomy	1.10	80
571.	**J. Andruszewski.** NASTROJE 1 tom	55	40
572.	**Wł. Jagniątkowski.** KARTKI Z PODRÓŻY PO INDO-CHINACH 1 tom	55	40
573.	**M. Raczyńska.** MOIZES. Powieść 1 tom	55	40
574.	**Z. Sokołowska.** SYCYLIA I KALABRIA. Podróż 1 tom	55	40
575, 576.	**Wiktor Gomulicki.** ON I ONA. Powieść 2 tomy	1.10	80
577.	**Papus.** WIEDZA MAGÓW 1 tom	55	40
578, 579.	**Z. Ćwirko.** PO SZCZĘŚCIE. Kartka z pamiętnika 2 tomy	1.10	80
580.	**Emil Reych.** NIEMCY WSPOŁCZESNE 1 t.	55	40
581, 582.	**Abgar-Sołtan.** POLUBOWNA UGODA. Powieść 2 tomy	1.10	80
583.	**J. Bourdeau.** KIEROWNICY MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ 1 tom	55	40
584.	**Robert-Louis Stevenson.** DZIWNA HISTORYA D-ra JEKYLL'A i M-ra HYDE'A 1 t.	55	40
585.	**Gryf.** NA PRZEŁOMIE 1 tom	55	40
586.	**M. Arcybaszew.** ŚMIERC LAUDEGO 1 tom	55	40
587.	NAPOLEON NA WYSPIE Św. HELENY. Pamiętnik hr. Balmain'a. Przełożył Maciej Wierzbiński 1 tom	55	40
588, 589.	**M. Czerny.** ZA CO? Powieść 2 tomy	1.10	80
590.	**L. Paul-Dubois.** IRLANDYA WSPÓŁCZESNA I KWESTYA IRLANDZKA 1 tom	55	40

Tom.	CENA w opr. kop.	brosz. kop.
591. **W. Lutosławski.** JAK TANIO PODRÓŻOWAĆ?—Wędrówki iberyjskie 1 tom	55	40
592. **Władysław Renard.** ONE 1 tom	55	40
593, 594. **Lafcadio Hearn.** LOTOS 2 tomy	1.10	80
595. **Ignacy Grabowski.** PAMIĘTNIKI RUPIECIA 1 tom	55	40
596, 597. **Ludwik Włodek.** NA ZIEMI WASZYNGTONA 2 tomy	1.10	80
598, 599, 600. **Selma Lagerlöf.** DZIWY ANTYCHRYSTA. Powieść 3 tomy	1.65	1.20
601. CZĘSTOCHOWA. Opracował **Włodzimierz Trąmpczyński.**	40	25
602, 603. **Antonio Fogazzaro.** TAJEMNICA POETY. Z 26-go wydania włoskiego przełożyła Natalja Nagórna	1.10	80
604, 605. **Charlote Perkins Gilman.** KOBIETA A STAN EKONOMICZNY. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucyi społecznej. Przełożyła z oryginału angielskiego Marya Podlewska	80	50
606, 607. **Linankoski.** KRWAWY KWIAT. Z fińskiego przełożyła Klemensiewiczowa	110	80
608. **Monty Jacobs.** MAETERLINCK. Studyum krytyczne. Przekład Maryi Kreczowskiej	55	40
609. **Ida Pilecka.** Z ZA ŚWIATA	55	40
610, 611. **Björnstjerne-Bjornson.** MARY. Powieść 2 tomy	1.10	80
612, 613. **V. Blasco Ibanez.** KATEDRA. Powieść 2 tomy	1.10	80
614. 615. **Jagniątkowski.** POLAK W LEGII CUDZOZIEMSKIEJ. 2 tomy	1.10	80

POLAK W LEGII CUDZOZIEMSKIEJ.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Władysław Jagniątkowski.
Kapitan wojsk francuskich w służbie czynnej,
Kawaler Legii Honorowej.

POLAK
w Legii Cudzoziemskiej

CZĘŚĆ II.

WARSZAWA
Druk Ed. Nicz i S-ka Nowy-Świat 70.
Tel. Nr 27-73.

103991 II
B. W.
KRAKÓW

IV.

Podróż do Azyi.

Już od czterech dni płyniemy na Wschód po morzu Śródziemnem wzdłuż brzegów afrykańskich. Okręt, który nas unosi, nazywa się *Schamrock*, jest to jeden z największych transportów wojennych francuskich. Na przedzie statku, oprócz załogi okrętowej, mieszka ośmiuset legionistów! Każdy posiada małe łóżeczko, troszkę szersze od trumny; łóżeczka numerowane są umieszczone we dwa rzędy, jeden nad drugim; sale sypialne obszerne, przewietrzane z boków i z góry. Tamże znajdują się szpital i apteka, a pod niemi—warsztaty okrętowe, magazyny żywności, rezerwoary wody słodkiej do picia i do prania i więzienia. Na pokładzie, gdzie zwykle przesiadujemy po całych dniach, mieszczą się piekarnie, kuchnie, obora, stajnia, owczarnia

i kurniki, zawierające zwierzęta, które mają być spożyte przez pasażerów podczas podróży, w końcu zlewy i sklep okrętowy, w którym sprzedają niektóre trunki, tytoń oraz drobne przedmioty użyteczne w czasie podróży. Po za tymi pływającymi koszarami znajduje się 2-ga klasa, przeznaczona dla podoficerów. Cały zaś tył okrętu jest pozostawiony dla pasażerów I-ej klasy, t. j. dla oficerów i urzędników. W tymże przedziale, oprócz kajut, mieszczą się: wspaniała sala jadalna, salon z fortepianem, biblioteka, łazienki etc. Wreszcie, ponad tem wszystkiem unosi się pomost i mieszkanie samego kapitana okrętu, który na morzu posiada władzę nieograniczoną, jest panem życia i śmierci każdego z pasażerów. Obok mieszkania kapitana leży biuro żeglugi, zawierające wszelkiego rodzaju instrumenty i narzędzia, potrzebne do obrachowań geodezyjnych i kosmograficznych, oraz przyrządy do prowadzenia statku. Cały okręt jest zbudowany z żelaza, posiada *140 metrów długości* i 25 szerokości. Na środku statku mieści się potężna maszyna parowa, która pcha statek z szybkością 12 węzłów, czyli, licząc każdy węzeł 1852 metry, 22 kilometry na godzinę. Po bokach, nad pokładem, są zawieszone łodzie ratunkowe; 14 łodzi, mogących przewieźć naraz 800 pasażerów; w każdej łodzi mieści się beczka wody do picia i na 5 dni żywności w konserwach, oraz wiosła i busola do kierowania się na morzu w razie rozbicia okrętu; oprócz tego na pokładzie są złożone tratwy i wielka ilość pasów ratunkowych. Na samym dole okrętu znajdują się składy węgla,

złożone w nieprzemakalnych hermetycznie zamkniętych i od siebie niezależnych kamerach, tak, że w razie wypadku, woda morska może zalać tylko jedną lub kilka sąsiednich kamer, co nie przeszkadza statkowi dopłynąć, bez szczególniejszych trudności, do najbliższego portu dla wykonania potrzebnych reperacyi. Ponad węglem leżą okrętowe piwnice, naładowane towarami i bagażem. Na pokładzie I-ej klasy wiszą zegar i mapa marynarska; codzień, w południe, jeden z marynarzy reguluje ten zegar odpowiednio do długości geograficznej, a na mapie oznacza szpilką miejsce, zajmowane przez statek na powierzchni kuli ziemskiej. W końcu, okręt przez całą swoją długość jest pokryty podwójnem płótnem, w celu uchronienia nieostrożnych pasażerów (wychodzących na pokład bez kasku) od słonecznych porażeń w krajach podzwrotnikowych.

Życie na okręcie płynie nam spokojnie, bez trosk. Ponieważ okręt prawie ciągle się kołysze, więc o żadnej mustrze nie może być mowy, tembardziej, że bardzo wielu kolegów cierpi na chorobę morską i do niczego nie są zdolni. Z drugiej strony, niepodobna tylu ludzi zostawić bez zatrudnienia podczas sześciotygodniowej podróży, bo tylko praca obowiązkowa podtrzymuje zdrowie i dyscyplinę; trzeba więc koniecznie coś robić! Otóż, wstajemy rano o godzinie 5-ej. O w pół do 6-ej, wszyscy powinni być gotowi do porannego apelu, t. j., ubrani, umyci, uczesani; podoficerowie robią odpowiedni przegląd o 6-ej, kaprale zbierają się

przed kuchnią na dystrybucyę czarnej kawy; każdemu kapralowi towarzyszy żołnierz z dużem naczyniem blaszanem (le bidon), w które kucharz okrętowy nalewa odpowiednią ilość kawy dla esknady (litr na 4 osoby). Po kawie zamiatamy, czyścimy, szorujemy nasze sypialnie i pokład; o 8-ej oficer dyżurny wraz z sierżantami odbywa inspekcyę wykonanych porządków. O 9-ej rewia na pokładzie wszystkich wojskowych; podczas tej rewii (la revue journalière) codzień każdy żołnierz musi przedstawić swemu kapitanowi jakiś przedmiot z umundurowania lub uzbrojenia. O 10-ej wykład regulaminów wojskowych przez podoficerów, oraz konferencya moralna—przez oficerów. O 11-ej obiad. Następnie, do godziny 2-ej po południu — odpoczynek (siesta), podczas którego żołnierze czytają, śpią, lub grają w loteryjkę lub w inne gry. Poczem, od 2-ej do 4-ej, albo mustra okrętowa na wypadek pożaru, napadu, rozbicia się okrętu i t. p., albo pranie bielizny. Od 4-ej do 5-ej—kąpiel morska na pokładzie (prysznice). Wreszcie, o 5-ej—kolacya. Po kolacyi—gawędy, śpiewy, muzyka, tańce... aż do 9-ej. O 9-ej apel wieczorny i... do łóżka! I tak co dzień przez 45 dni, z wyjątkiem postojów, gdzie życie, o ile słyszałem przybiera inną formę.

Zbliżamy się do Port-Saidu, przystani na ziemi Egipskiej. Pierwszy postój naszego okrętu na drodze do Indo-Chiny! Przed wejściem do portu, podróżnika uderza na pierwszym planie olbrzymia statua inżyniera francuskiego de Lesseps'a, który zbudował kanał Sueski. De Lesseps, wskazując rę-

ką na swe arcydzieło, zdaje się zapraszać przyjezdnych i mówić: „*Entrez Messieurs, s'il vous plait*"! Miasto Port-Said, założone przed kilkudziesięciu laty, prezentuje się od strony morza bardzo wesoło; zdala widać różnokolorowe chorągwie narodowe, powiewające świątecznie na wszystkich konsulatach, mnóstwo Egipcyan w czerwonych fezach kręci się nad brzegiem, w mieście słychać muzykę, ruch wielki! Wędrowna orkiestra, złożona z Włochów i czarnookich Włoszek, wyjeżdża na szerokiej łodzi na nasze spotkanie, wygrywając nam na gitarach i mandolinach rozmaite tańce i piosnki, a między innymi, odwieczną:

„Płyń barko moja,
„Pogoda sprzyja,
„Niech cię prowadzi
„Święta Lucyja"!

Okręt zwalnia biegu. Parowa syrena ryczy przeraźliwie; winda turkocze; dzieci na pokładzie płaczą z przerażenia; kapitan statku wykrzykuje jakieś komendy, szef załogi gwiżdże, dając w ten sposób różne znaki do manewrowania; wszyscy biegają, hałasują, ciągną liny! Nareszcie kotwica z łańcuchem spada w morze, kilka obrotów śruby w tył, morze kotłuje się, bałwani z szumem i w końcu okręt staje!

Przez wzgląd na obecność legionistów, okręt zatrzymał się dosyć daleko od przystani, ażeby

módz go łatwiej obserwować, w razie gdyby któremu z kolegów nagle przyszła chęć zdezertowania na ziemię Egipską. Na głównym maszcie okrętu wywieszono flagę żółtą, jako znak, że okręt nie został jeszcze zwiedzony przez miejscową władzę sanitarną, czyli, że wstęp na niego dla tubylców chwilowo jest wzbroniony. Wkrótce jednak do okrętu przypłynął mały stateczek motorowy z urzędowym doktorem Anglikiem. Doktór znalazł wszystko w porządku. Zaraz po jego odjeździe pokład okrętu został oblężony przez mnóstwo handlarzy pocztówek, marek pocztowych, czerwonych i białych korali, różnorodnych muszli, widoków fotograficznych Egiptu, fotografii i kart przejrzystych z nieprzyzwoitymi rysunkami, obrazków świętych, ułożonych z kwiatków polnych, zebranych w okolicach Jerozolimy, drobnych wyrobów z drzewa oliwnego Palestyny, wachlarzy z piór strusich, małych kawałków wykopalisk z antycznego Egiptu i t. p., oraz handlarzy produktów miejscowych: rahatłukum, bałwy, nugi, fig, daktyli, papierosów i zapałek stearynowych!

Żaden z prostych legjonistów nie miał prawa wysiąść na brzeg; tylko dla sierżantów i kaprali zrobiono ten wyjątek. Podzielono nas przeto na dwie partye: połowa podoficerów i kaprali otrzymała pozwolenie zwiedzania miasta natychmiast, aż do 4-ej godziny po obiedzie, a druga połowa pozostała na warcie dla pilnowania porządku. O 4-ej godzinie nastąpi zamiana. Ci, którzy byli w mieście, obejmą służbę na pokładzie, a ci, którzy byli na

służbie, otrzymają pozwolenie opuszczenia okrętu aż do apelu, do 9-ej wieczorem. Ja znalazłem się w drugiej połowie; do 4-tej pilnowałem porządku na okręcie.

Odbywałem wartę na tyłach statku, to jest, w 1-ej klasie.

Z mego losu czułem się bardzo zadowolony:

Najprzód z powodu upału wolałem zwiedzić miasto popołudniu, jak wreszcie większa część pasażerów, przytem pozostawałem w towarzystwie rodzin oficerów i urzędników, co chwilowo oddziałało bardzo dodatnio na mój stan moralny: tak już dawno nie widziałem zbliska ludzi przyzwoitych i dobrze wychowanych, towarzystwa, do którego niegdyś należałem, a które opuściłem samochcąc, goniąc za złudzeniem!...

Następnie, ponieważ okręt ładował na przodzie węgle, znajdowałem się więc po za obrębem czarnego, nieznośnego, węglowego pyłu! Całym moim obowiązkiem było nie wpuszczać prostych legjonistów na pokład 1-ej klasy, oraz obserwować handlarzy egipskich, ażeby nie schodzili na dół do kajut pasażerskich z obawy kradzieży. Z przyczyny wysokiej temperatury żołnierze przebierają się, począwszy od Port-Saidu, w umundurowanie kolonialne, czyli, że zamiast czerwonych sukiennych pantalonów, ciemno-granatowej kurtki i kepi, noszą kostyum biały płócienny i biały kask korkowy.

Podczas mojej warty miałem sposobność, stojąc w bliskości jakiegoś państwa, usłyszeć ciekawe i pouczające opowiadanie pewnego kapitana pie-

choty morskiej *(d'Infanterie de marine)*, który powracał z Kairu i wsiadł właśnie na nasz okręt, ażeby odbywać dalszą podróż wraz z nami do Indo-Chin. Opowiadał o piramidach, wyrażając swe oburzenie na dzisiejszą profanacyę tych wiekuistych zabytków.

— Dawniej — mówił kapitan — uczeni, literaci i artyści ze wzruszeniem urządzali wspólne pielgrzymki na wielbłądach; podróżnicy przygotowywali się odpowiednio sercem i duszą do wrażeń, jakie człek odczuwa na widok tych kolosalnych grobów, zbudowanych na parę tysięcy lat przed Chrystusem, przez Faraonów Kheopsa, Khefrena i Mykerinosa, oraz olbrzymiego sfinksa, wykutego w skale niewiadomo kiedy i przez kogo.

Dzisiaj, za drobną monetę dojeżdża się do miejsca tramwajem, zjada się śniadanie u stóp piramid w eleganckim hotelu Ména-House i nadto, za kilkanaście franków, człowiek ma prawo odfotografować się, siedząc na głowie samego sfinksa! Przy wejściu do grobów królewskich, które mają zamiar oświetlić elektrycznością (!) mnóstwo obdartych Arabów irytuje ciągle podróżnika, proponując mu różne wykopaliska egipskie, wyrabiane w... Berlinie! Jednem słowem, wielka profanacya świętych zabytków!... To też niektórzy podróżnicy wolą wyjeżdżać wgłąb pustyni, ażeby módz rozmyślać w samotności i podziwiać zdala w należytem skupieniu te wiekuiste wspomnienia naszych oddalonych przodków, których słusznie świat uważa za ojców cywilizacyi.

Nazwa piramid pochodzi od słowa „pirama“, co w języku Koptów (staro-egipskim), oznacza „wysokość“. Piramida Kheopsa, jak pisze Herodot, była budowana przez 100,000 robotników naraz, których zmieniano co cztery miesiące przez cały czas panowania tego faraona. Pod piramidami znajdują się piwnice, wyłożone czerwonym granitem, w których niegdyś spoczywały trumny z mumjami faraonów. Zgodnie z podaniem, ani Kheops, ani Kheren nie skorzystali z grobów, które z takim trudem sobie przygotowali; rozłoszczony bowiem naród, po śmierci tych faraonów zrewoltował się i, wyrwawszy mumje z sarkofagów, rozerwał je w kawałki.

— Na drugi dzień po przyjeździe do Kairu— ciągnął dalej kapitan—wynająłem poczciwego osła i udałem się w głąb pustyni, ażeby zwiedzić inne piramidy, mianowicie piramidy Sakkarah, najstarsze piramidy Egiptu. Ten cmentarz zawiera przeważnie groby 6-ej dynastyi, czyli, że piramidy Sakkarah, były zbudowane przeszło 4,000 lat *temu*. Zgodnie z uczonymi Mariette, Maspero i Morgan, Sakkarah jest cmentarzem Memfisu, dawnej stolicy Egiptu, która leżała tuż obok, o 20 minut drogi. Miasto Memfis niegdyś, szczególnie za panowania najsłynniejszego faraona Egiptu, Ramzesa II-go, t. j. przeszło 3,000 lat temu, było uważane jako centrum umysłowe całego świata; posiadało około miljona mieszkańców, bogate muzea, akademje, potężne gmachy, przepyszne świątynie, wspaniałe pomniki i t. p., piękniejsze, niż w Rzymie, niż w Pary-

żu i to w epoce, kiedy te świetne miasta wcale jeszcze nie istniały. A dziś? Dziś podróżny ogląda się w koło, z natężeniem odszukuje śladów tego olbrzymiego grodu i, zrozpaczony, nic może nic odkryć, nic, oprócz kilku pagórków, pokrytych palmami i nawpół zdruzgotanego kolosu Ramzesa II-go, jedyne wspomnienie sławy, twórczości, życia i walki ludzkiej przez kilkadziesiąt wieków!... Dziwna rzecz: niektórzy faraoni kazali się pochować na kilkadziesiąt metrów głęboko, wierząc, że ich nigdy nie odkryją, że nikt z obcych nie będzie zdolny sprofanować ich prochów... A jednak, po paru tysiącach lat odkopali, odnaleźli, wyciągnęli wysuszoną mumję, z rozwartemi ze zdziwienia oczami, wystawili pod kloszem w muzeum Kasr-el-Nil w Kairze... Jest to największe muzeum w świecie pod względem pamiątek egipskich. Przy wyjściu z muzeum istnieje niewielki magazyn, zawierający mnóstwo drobnych wykopalisk, których prawdziwość jest gwarantowana przez dyrektora muzeum. W tym magazynie kapitan kupił kilka drobnostek; pokazywał je zebranym, a między innemi, garstkę zboża, znalezionego w sarkofagu jednego z faraonów, który był pochowany parę tysięcy lat temu; zboże, na pierwszy rzut oka, nie wiele się różni od zboża wymłóconego rok temu, ale, jak pokazały doświadczenia uczonych, zboże po 100 latach kiełkować już nie jest w stanie.

Kapitan zwiedził także wiele innych, ciekawych miejsc w Kairze, o których opowiadał z zachwyceniem. Podobno, że ze wzgórza Mokkatamu

rozwija się cudowna panorama: U stóp wzgórza rozciąga się w całej okazałości miasto Kair, strzelając w niebiosa eleganckimi minaretami, meczetami i wspaniałemi byzantyjskiemi kopułami grobów Kalifów i Mameluków; zdaleka połyskuje błogosławiony Nil, otulony wysmukłemi palmami, a w głębi, na tle pustyni i fijoletowo-różowego nieba, sterczą dumnie wieczne piramidy Ghizeh!...

— Jeżeli kiedy zostanę oficerem—pomyślałem w duchu—to stanowczo Kair postaram się zwiedzić! Lecz kiedy zostanę i czy wogóle zostanę nim kiedy?... Podczas tych rozmyślań jeden z kolegów wszedł do I-ej klasy, ażeby mnie zastąpić na warcie. Jestem więc wolny! Gromadą udajemy się do miasta. Zaraz przy wysiadaniu z łodzi, jakiś Arab ofiarowuje nam osła dla łatwiejszego zwiedzania okolicy przystani. Osioł nazywa się Bismark, na tym ośle, jak upewnia Arab, jeździł niegdyś sam Monsieur de Lesseps! Później dowiedzieliśmy się, że ten wieczny, nieśmiertelny osioł zmienia swe przezwisko odpowiednio do narodowości przejezdnych, tak np. dla Niemców nazywa się Thiers, dla Włochów—Menelik i t. p.

Ulica pryncypalna, rue de Paris, posiada wiele bogatych magazynów z artystycznymi wyrobami egzotycznych krajów: Indyi, Chin, Japonii i Persyi. Na prawo piękna kawiarnia, w której orkiestra, złożona z kilkunastu Węgierek, gra na nasze przyjęcie Marsyljankę, a potem walca „nad modrym Dunajem". Obok kawiarni—kasino oraz ruleta i „koniki"; przy rulecie siedzi kilku miejscowych szulerów,

którzy dla zachęty przyjezdnych ciągle wygrywają: stawiają franka, a zagarniają sto franków; niektórzy podróżni dają się łapać na tę przynętę i zostawiają w kasinie wszystko, co posiadają przy sobie. Ogólny charakter miasta wesoły, ruchliwy, bezwstydny: Na ulicy małe obdarte chłopaki arabskie i Egipcyanie w czerwonych fezach proponują podróżnym wszelkiego rodzaju dystrakcje, spoglądając przytem tajemniczo w stronę bardzo surowych, na pozór, policemanów; za pieniądze francuskie, angielskie i egipskie wszystkiego można dostać! Rozbitki społeczeństwa przyjeżdżają tu z różnych krańców Europy dla szukania przygód. Port-Said, jak również cały Egipt, znajdują się obecnie pod protektoratem Anglików, których jednak nigdzie nie widać; wszystkie drobne miejsca rządowe są obsadzone przez Egipcjan. Miasto łączy się koleją żelazną z Suezem, z Aleksandryą i z Kairem.

Po wysłaniu kilku pocztówek z „piramidami" do znajomych: dyrektora Malinowskiego, Jana Thiollier, Icka i Szafrańskiego, biorę wraz z innymi kolegami tramwaj i jadę na drugi koniec miasta do dzielnicy tubylców. W jednym z domów słychać śpiew i muzykę arabską; zaglądamy wewnątrz: kilka bajaderek, obnażonych niżej pasa i obficie przystrojonych w biżuterje, tańczy „la danse du ventre". Niektórzy z kolegów wchodzą do przybytku; ja, co prawda, widziałem to już w Gerywillu, więc idę szukać wrażeń gdzieindziej...

Na pokład wróciłem sam jeden, przed apelem. W godzinę potem, około 10 wieczorem, wjechaliśmy

do kanału Sueskiego. Statek, za prawo przejechania kanału, wypłacił agentowi Towarzystwa *gotówką pięćdziesiąt pięć tysięcy franków złotem i naprzód!* (około 22,000 rub.). Ponieważ statki wjeżdżają do kanału dzień i noc, średnią liczbą co dwie godziny, nic więc dziwnego, że akcye Towarzystwa kanału Sueskiego stoją tak wysoko. Kanał jest jedynem miejscem na kuli ziemskiej, gdzie człowiek, jadąc okrętem (przez 16 godzin z rzędu), może oglądać miejscami, na kilkanaście nawet kroków od siebie, brzegi dwóch części świata naraz: Azję i Atrykę! Podróż podczas nocy, która się odbywa przy oświetleniu olbrzymich projektorów, jest czarowną: okręt sunie powoli, tajemniczo, jak widmo, najmniejszego szumu bałwanów; absolutna cisza okrążającej kanał pustyni imponuje obecnym swoją głęboką powagą. Tu i owdzie błyszczą nad powierzchnią wody różnokolorowe światełka latarń, wytykających główną linję kanału. Od czasu do czasu statek spotyka nieco szersze przystanie, okrążone palmami i filaosami, zwane „stations de garage", do których okręt się usuwa, ażeby przepuścić inne widma, płynące w stronę przeciwną. Szerokość kanału w wielu miejscach nie przewyższa 60 metrów. Dla podtrzymania jakiej takiej roślinności i dla dostarczenia wody rzecznej urzędnikom i robotnikom, nad kanałem istnieje drugi, wązki kanał wody słodkiej. Oprócz tego, równolegle z kanałem przechodzi kolej żelazna, komunikująca miasto Suez ze stolicą Egiptu, Kairem i z portem Port-Saidem.

W dzień krajobraz, okalający kanał, przybie-

ra inny charakter: Oko podróżnika sięga daleko, często nie mając na czem spocząć, jak na oceanie, wszędzie oślepiający, błyszczący od miki, lub soli piasek, ponad którym drga bezprzestannie rozpalone powietrze. Od czasu do czasu wzdłuż kanału biegną małe, nawpół nagie chłopaki arabskie, witając podróżnych i prosząc o jałmużnę. Zdala, nad słonemi jeziorami widzi się mnóstwo siedzących goelandów, lub stado przelatujących, eleganckich, różowych ibisów. Niekiedy w tej części kanału pojawiają się także miraże. Właściciel magazynu okrętowego opowiadał nam, że te miraże pojawiają się jednak bardzo rzadko: pomimo, że przejeżdża kanał po raz dwunasty, raz jeden tylko miał sposobność obserwować ten fenomen: na horyzoncie podróżnicy ujrzeli duże miasto, ozdobione minaretami, które przypominało ogólny widok miasta Kairu. W niektórych epokach podróżnik może dostrzedz z okrętu karawany Beduinów, które długą, czasami kilkowiorstową, nitką wielbłądów kroczą poważnie gdzieś w głąb pustyni. Za to prawie codziennie, przy zachodzie słońca, przejeżdżający napawa się czarownym widokiem nieba: przeważnie ma ono odcień pomarańczowo-fjoletowo-różowy, przechodzący stopniowo w ogólny kolor słabo zielony, nie widywany nigdy w krajach Europy.

Wczoraj, późno w noc siedzieliśmy na pokładzie, przerzynając powoli pierwszą część kanału. Obecnie, wstawszy o 6 rano, wychodzimy znowu na pokład, ażeby obserwować dalszy ciąg panoramy, która stopniowo rozwija się przed nami jak w kalej-

doskopie. Wyjeżdżamy z najwęższej i zarazem najsmutniejszej części kanału: na prawo, bezgraniczna pustynia Arabii, na lewo pustynia Egiptu, która obecnie jest nadzwyczaj ożywiona przez mnóstwo wielbłądów, mułów, osłów i robotników Arabów, pracujących nad rozszerzeniem kanału. Zbliżamy się do jeziora. Nad jeziorem leży miasto Izmaiła, ocienione filaosami, palmami i mimozami; na prawo od stacyi kolei widać ruiny niegdyś wspaniałej willi cesarzowej Eugenji , żony Napoleona III-go, dzięki której inżenier de Lesseps, mógł przedsięwziąć budowę kanału, pomimo intryg ówczesnego parlamentu angielskiego.

Po wyjeździe z jeziora znów smutna pustynia. Po stronie egipskiej widzimy na pierwszym planie namiot, rozłożony na piasku, przed namiotem siedzi Arab przy ogniu i coś zajada; pies rasy szakala patrzy mu natrętnie w usta; obok osioł i koza, skubiąc jedyną kępkę halfy, dopełniają obrazu; wreszcie zdala widać szereg gór piaszczystych. Następnie widzimy gęsto wysadzoną aleję filaosów, okalającą kanał wody rzecznej, a tuż przy kanale morskim, trzcinę i drobne palmy kokosowe, jedyne drzewo, które znosi grunt solony. Potem pojawia się parowa draga, (statek do czyszczenia kanału), i mała łódeczka motorowa z flagą policyi wodnej, która przepływa jak strzała. Następnie piaszczyste wzgórza i filaosy, filaosy i piaszczyste wzgórza i t d., aż do zatoki Sueskiej, nad której brzegiem leży miasto Suez. Przed tem miastem okręt zatrzymuje się tylko na dwie godziny i tak daleko od

przystani, że żaden pasażer nie chce wysiąść na ląd stały. Skoro okręt się zatrzymał, rządowi lekarze egipscy przybyli parowcem do okrętu, ażeby stwierdzić zadawalający stan zdrowia wszystkich pasażerów, doktór (Anglik) dla panów i doktorka (Niemka) dla pań. Jednego legjonistę, chorego na dysenteryę, wylądowali i odwieźli do miasta, do szpitala francuskiego. Po wypełnieniu formalności i zabraniu poczty oraz kilku pasażerów Arabów, jadących do Adenu, okręt wjechał do wązkiej zatoki Sueskiej; długość zatoki—187 mil morskich. Co chwila spotykamy różne okręty wchodzące i wychodzące z kanału. Szerokość zatoki pozwala nam obserwować gołem okiem obydwa brzegi naraz, kolebki dalekich naszych przodków. Zdala widać górę Synai. Piotr Loti, który podróżował w tych stronach, powiada—że na górze istnieje klasztor ortodoksyjny, zbudowany w 550-ym roku przez cesarza Justyniana i obecnie zajęty przez ojców pochodzenia greckiego; w klasztorze znajduje się ulana ze szczerego srebra figura św. Katarzyny, naturalnej wielkości, ofiarowana klasztorowi przez Katarzynę Wielką, cesarzową rosyjską. Niektórzy orjentaliści twierdzą, że Mojżesz przeszedł morze Czerwone suchą nogą *właśnie* przy zatoce Sueskiej, która w owym czasie, nie mając komunikacyi z morzem Śródziemnem, była o wiele węższą i płytszą. A ponieważ odpływ morza Czerwonego zmniejsza jego głębokość *na pięć metrów*, przeto podanie Starego Testamentu wydaje się bardzo prawdopodobne.

Pustynia Arabja, którą obserwujemy po lewej

stronie, pomimo swego strasznego opustoszenia, a może nawet dzięki temu opustoszeniu, posiada wiele uroku. To też podzielam zupełnie admiracyę Beduinów, Tuaregów i Arabów dla ich ojczystego kraju: nieskończona przestrzeń, absolutna cisza, idealna samotność i wzniosła wolność egzystują tylko na pustyni, lub w łodzi aerostatu i kto raz ich zakosztował, ten nigdy ich nie zapomni i wspominać je będzie ciągle z tęsknotą. Dlatego też mieszkańcy pustyni trzymają głowę zawsze do góry, patrzą prosto w dal i nie mogę pojąć naszej małostkowości społecznej. Nawet ich nieodstępni towarzysze życia, wielbłądy, posiadają wyraz gęby specyalny, wyraz jakiejś niewypowiedzianej dumy i wyższości, której nie mają żadne inne zwierzęta.

Arabja, pomimo, że przestrzenią równa się $^1/_3$ Europy, ma zaledwie ośm miljonów Beduinów, którzy nigdy jeszcze nie utracili swej wolności! Pierwszym podróżnikiem, który zwiedził Arabję, był Carsten Niebuhr, w 1762 roku. Uczony Sectren zwiedził pierwszy miasto święte Mekkę, a Sadlier przeszedł Arabję po raz pierwszy w 1819 roku od morza Czerwonego do zatoki Perskiej.

Od paru godzin jesteśmy właśnie na morzu Czerwonem! Stado mew, piszcząc płaczliwie, towarzyszy nam całemi godzinami; czasami zmęczone ptaki siadają ostrożnie na wzburzonych falach i płyną gdzieś daleko, daleko, jak korki. Mnóstwo słabo fjoletowych meduz, w kształcie jabłek, pływa gromadkami tuż przy okręcie. Kolor morza Czerwonego—ciemno-niebieski. Bałwany długie, głębo-

kie, posuwiste, obłicie pokryte kotłującą się w kaskadach pianą, z hukiem rozbijają się o okręt, kołyszą nim silnie i tworzą tryskające wodnym pyłem fontanny; w nocy te fale, oświetlone fosforescencyą, wyglądają cudownie.

Na całej przestrzeni widać białe, mydlane, spienione plamy, zwane przez francuskich marynarzy „owcami". Po raz pierwszy, od tygodnia, ogólny wygląd morza jest prawdziwie wspaniały, jak na obrazach! To też często, siedząc tuż przy parapecie, w chwilach wolnych patrzymy z rozkoszą na to gniewliwe i piękne morze—gawędząc Bóg wie nic o czem...

Niektórzy uczeni twierdzą, że morze Czerwone otrzymało swoją nazwę od plemienia „Punt" (człowiek czerwony), które zaludniało brzegi morza Czerwonego jeszcze przed pojawieniem się Fenicjan. Zgodnie z opowiadaniem podróżników, morze Czerwone, w bliskości brzegów, posiada przepyszną, różnokolorową roślinność równikową i posiada wiele wysp koralowych i wulkanicznych. Podobno, że te podmorskie wulkany wybuchają bardzo często i dlatego to marynarze spotykają przy brzegach taką masę zabitych ryb, które z czasem rozkładając się, grożą zarazą. Nadbrzeżni mieszkańcy zwykle w takich razach wywożą zdechłe ryby na środek morza, które unosi je na ocean. Jeden z marynarzy opowiadał, że kilka lat temu, w okolicach Dakaru (Afryka zachodnia) okręt spotkał taką ilość zgniłych śledzi, że zaledwie mógł się posuwać na-

przód, a wiosło, rzucone prostopadle w morze, przez długi czas pozostawało w pozycyi stojącej.

Wczoraj po obiedzie, przejeżdżając naprzeciw Mekki, której z okrętu nie można dojrzeć, byliśmy świadkami wzruszającej sceny: Towarzystwo nawigacyi francuskiej „*Compagnie Nationale*", do którego nasz okręt „Schamrock" także należy, używa do palenia w piecach maszyny parowej, jako palaczy, wyłącznie Somalisów, przyzwyczajonych do wyjątkowej temperatury. Na Schamrocku jest ich dwunastu; wszyscy ci Somalisi są wyznania mahometańskiego. Otóż, dowiedziawszy się, że okręt przepływa na wysokości świętego miasta, zebrali się wszyscy na pokładzie i, wyciągając ręce w stronę Mekki, wołali wielkim głosem: „Allah, Allah, Allah"! prosząc proroka o błogosławieństwo. Poczem, odmówiwszy w głębokiem skupieniu swoje modlitwy, każdy z nich rozwinął kawałek szmaty, zawierającej szczyptę ziemi ojczystej i ucałował ją trzy razy, zgodnie ze zwyczajem arabskim.

Dziś nad wieczorem *wicher zamienił się* w prawdziwy huragan. Cały okręt skrzypi żałośnie. Niektóre bałwany z przerażającym hukiem wpadają na pokład. Rozbijane przez okręt olbrzymie fale ryczą z wściekłością, plują wrzącą pianą, ustępują niechętnie w potężnych fałdach na pełne morze i, wzmocnione przez inne bałwany, znów atakują. Okręt co chwila pcha się z trudnością na wyżyny morskie, poczem nagle spada w straszną przepaść i znowuż się podnosi i znowuż spada, i tak ciągle. Pusto i ponuro! Wicher wyje i dmie z taką siłą,

że oficer okrętowy, stojący na warcie, przywiązał się rzemiennym pasem do swego pomostu. Na pokładzie niema żywej duszy; więcej niż połowa pasażerów cierpi na chorobę morską i spoczywa w kajutach. Ja próbowałem grać w szachy z jednym z kolegów, ale nam także jakoś bardzo niewyraźnie... prawdopodobnie zaraz pójdziemy spać. Na drugi dzień wszyscy byli chorzy; wreszcie, po obiedzie niebo wypogodziło się. Przy wyjściu z cieśniny Babel-Mandeb, mieliśmy sposobność oglądać przy zachodzącem słońcu miasto Mekkę. Miasto ze swymi płaskimi, bez dachów domami, ulepionymi z czerwonawej gliny i kamienia, oraz kilkoma minaretami, prezentuje się na tle pustyni nadzwyczaj oryginalnie. Potężna latarnia morska, osadzona na żelaznej, wysokiej wieży, dopełnia krajobrazu. Miasto widzieliśmy, jak na dłoni, pomimo, że okręt przepływał obok niego na 9 kilometrów. Na spokojnem morzu, przy czystem powietrzu i dobrem oświetleniu, można obserwować ląd stały, przez lunetę, nieraz na 100 kilometrów i więcej! Wybuchającą Etnę widziano w nocy z morza na 400 kilometrów!...

Dziś, o 6-ej rano, przybyliśmy do Djibuti. Port francuski, leżący w zatoce Tatdjura i stacja kolei żelaznej prowadzącej wgłąb Abisynii. Miasto robi wrażenie przygnębiające z powodu ogromnych upałów i kompletnego braku roślinności. Wgłębi zatoki temperatura dochodzi czasami do 60 stopni; kamienie pękają z gorąca; jajka kurze pieką się na twardo, a podczas budowy kolei żelaznej musiano oblewać bezprzestannie wodą namioty, zamieszkałe

przez robotników Włochów, ażeby zmniejszyć liczbę wypadków nagłej śmierci. Djibuti jest jedynym prawdopodobnie punktem na kuli ziemskiej, gdzie można obserwować ciekawy fenomen mirażu dwóch słońc. Zdarzają się dni, kiedy obserwator widzi naraz, z jednej strony słońce wschodzące, a z przeciwnej strony horyzontu słońce zachodzące. Siła i odcień światła dwóch słońc są absolutnie identyczne. Fenomen trwa kwadrans czasu, poczem nagle zapada noc. Dyrektor komory celnej, który tu mieszka od roku, jak również i inni koloniści, upewniał mnie, że od czasu swego przyjazdu podziwiał ten fenomen już dwa razy.

Djibuti jest zamieszkałe przez Somalisów, ludzi czarnych, jak murzynów i niezmiernie chudych, żyjących przeważnie koziem mlekiem i daktylami; pomimo jednak chudości, są nadzwyczaj wytrwali. Somalisi smarują sobie głowę wapnem, ażeby otrzymać kolor włosów ryży, oznaczający w tym kraju piękność i elegancyę. Tutejsi handlarze sprzedają piękne strusie jaja i pióra, oraz wyborną, a bardzo tanią kawę abisyńską, sprowadzaną z Harar.

Przed okrętem roi się mnóstwo małych Somalisów, którym pasażerowie rzucają do morza sous'y i za którymi Somalisi, jak małe dyabełki, uwijają się ze zręcznością małp, wzbudzając ogólny podziw przez swe nurkowanie i znakomite pływanie. Niektórzy za 10 sousów rzucają się odważnie do morza z najwyższego punktu okrętu i nurkiem przepływają pod okrętem całą szerokość statku.

Większa część Somalisów należy do kasty wojowników, którzy żyją wyłącznie z łupów wojennych i polowania, pogardzają przytem kastą rybaków i rzemieślników; rolników kraj wcale nie zna. Wojownicy, dumni ze swego rzemiosła, łączą się tylko między sobą, są największymi próżniakami, nie posiadają żadnych przymiotów rycerskich; napadają na nieprzyjaciela najczęściej znienacka i cichaczem; w razie, gdy atakują tłumnie, to zachęcają się wzajem przez hasło wojenne: „ki-ki-ki, hu-hu-hu“! Wogóle, cały naród Somalisów, przy bliższem poznaniu, jest mało sympatyczny: tchórze, kłamcy i oszusty, przytem nadzwyczaj zarozumiali, ciągle się chwalą i wzajem admirują. Jest to rasa najniżej stojąca pod każdym względem ze wszystkich narodów Etyopii; najwyżej stoją Abisyńczycy. Inne rasy są: Danakil, Oromo, Galla, Hadia, Zinżero, Tombaro i Kurage.

U Somalisów istnieje zwyczaj „vendetty”, która polega na tem, że jeżeli ktoś w pewnej rodzinie zostanie zabity, to najbliższy krewny zabitego powinien się zemścić, zabijając jakąś osobę z rodziny mordercy i t. d. bez końca. Przytem zabójca, natychmiast po spełnieniu morderstwa, wpina sobie we włosy duże strusie pióro, z którem chodzi ostentacyjnie, udając odważnego i staje się przez to bohaterem dnia w całej gminie. Skoro zbrodnia dojdzie do wiadomości starszyzny ogłasza ona tak zwany „kalam”; w kalamie biorą udział przedstawiciele wszystkich gmin, z wyjątkiem gminy zamordowanego. Zebrani rozbierają kwestyę: czy za-

bójca miał słuszność, czy nie miał słuszności? Za zabójstwo niema żadnej kary, ale morderca musi nosić na prawem ręku grubą bransoletę z kości słoniowej i takiż kolczyk w uchu, przez co bezprzestannie jest wystawiony na zemstę ze strony członka rodziny zabitego. Za zamordowanie kobiety, zabójca, zgodnie z wyrokiem kalamu, powinien wypłacić rodzinie zabitej kobiety pewną ilość wołów, albo owiec; a jeżeli nie wypłaci do oznaczonego przez kalam czasu, to strona poszkodowana ma prawo się zemścić, zabijając jakąś *kobietę* w rodzinie mordercy; jednem słowem, nie wolno za zamordowaną kobietę zabijać mężczyzny. Wogóle, w tym kraju kobieta jest uważana za stworzenie pośledzie, tak np. może paść owce, woły i wielbłądy, ale nie ma prawa ich prowadzić do wody, pojenie bydła jest bowiem funkcyą zbyt poważną, ażeby módz ją powierzyć kobiecie, zawsze więc powinno się odbywać w obecności jakiegoś mężczyzny. Wyroki kalamu czasami są dość oryginalne; tak np. ktoś ukradł kozę. Kalam, po wysłuchaniu skarżącego i świadków, ogłasza następujący wyrok: Złodziej jest obowiązany wypłacić poszkodowanemu za to, że wszedł do owczarni — 2 talarsy (moneta miejscowa); za to, że, będąc w owczarni, schwycił kozę za nogę — 1 talars; za to, że schwyconą kozę położył sobie na plecy — 3 talarsy; za to, że kozę wyniósł z owczarni — 4 talarsy i, w końcu, za to, że wyniesionej kozy nie odniósł — 5 talarsów. Razem — 15 talarsów! A jeżeli złodziej

kary nie wypłaci i kozy nie zwróci, to poszkodowany ma prawo obciąć mu prawą rękę!...

W Djibuti przypadkiem asystowaliśmy przy ceremonii ślubnej pewnej młodej pary Somalisów. Muszę dodać, że u Somalisów żona nie wnosi mężowi żadnego posagu, przeciwnie, rodzice narzeczonego są obowiązani, na podstawie wzajemnej umowy, wypłacić albo ofiarować rodzinie narzeczonej pewną ilość wołów, owiec i wielbłądów. Otóż wracam do ceremonii ślubnej. Przechadzając się koło targu, zauważyliśmy, że pod jedną chatą zebrało się mnóstwo ludzi. Pytamy o co chodzi? Odpowiadają, że to ceremonia ślubna i że właśnie młoda para zbliża się ku nam. Patrzymy, naprzód jedzie na mule ku chacie pan młody, dobrze już podchmielony i trzyma w prawej ręce gruby pręt, jako oznakę władzy (bicie żony jest prawem i obowiązkiem męża u Somalisów). Za nim pieszo kroczy panna młoda ze spuszczoną głową. Przed drzwiami chaty stoi starszy drużba; w jednem ręku trzyma sznurek, na którym jest uwiązana czarna owca, a w drugiem wielki kuchenny nóż. Pan młody i panna młoda zatrzymują się przed chatą. Orszak wyśpiewuje przez długi czas pieśni na chwałę pana młodego. Nareszcie panna młoda wstępuje do chaty, a pan młody zsiada z muła. W tejże samej chwili starszy drużba przerzyna brzuch trzymanej owcy, pakuje rękę wewnątrz rany i tą pełną krwi ręką dotyka twarzy pana młodego. Po tej ceremonii pan młody ostatecznie wchodzi do wnętrza chaty. Zarżniętą owcę przerzucają przez chatę dwa

razy na krzyż, poczem, wszyscy obecni oddalają się przynajmniej na 50 metrów od mieszkania młodej pary. Przed drzwiami chaty pozostają tylko matka pana młodego i matka panny młodej; obydwie kobiety pilnie podsłuchują, co się dzieje wewnątrz? Tymczasem wewnątrz odbywa się następująca scena: Pan młody upomina się o swe prawa małżonka; wyciąga ramiona do swej żony, która odpycha go ze wstrętem i gwałtownością. Wówczas, pan młody, niby obrażony, uderza z całych sił grubym prętem swą narzeczonę przez plecy! Panna młoda krzyczy w niebogłosy, a stare matki, stojące przede drzwiami, bardzo się z tego cieszą i rachują: „raz“! Scena powtarza się w ten sposób kilka razy. Nareszcie, panna młoda, dobrze zbita, pełna siniaków, ustępuje i rzuca się w objęcia mężowi. Im większą ilość otrzymała prętów, tem większa jest jej cnota... A jeżeli wytrzyma 12 uderzeń, to nikt ze znajomych, do końca życia, nie ma prawa ją posądzać o brak wierności małżeńskiej... Kobiety Somalisów, pomimo wrodzonej brzydoty, odznaczają się wyszukaną kokieteryą; w niektórych miejscowościach, np. w Dżima, kobiety czeszą się raz na rok, smarują włosy tłuszczem, zmięszanym z klejem, nadają uczesaniu dziwaczne formy i doprowadzają swe czupryny do nadzwyczajnych rozmiarów, przechodzących wysokością i szerokością kilka razy wielkość, samej głowy; nadto są bardzo łakome, spożywają wiele potraw mącznych, ażeby utyć, bo panowie mężowie lubią otyłe żony. Za to mężczyźni jedzą mięso tylko raz na tydzień, w inne dni żyją daktylami

i mlekiem; rybą żywią się tylko ubodzy. Somalisi lubią śpiewać, ale nigdy nie gwiżdżą, bo gwizdanie przywołuje nieszczęście. Nigdy nie wyruszają w podróż w piątek, bo to dzień feralny (jak u nas). Gdy się zapytać, co słychać nowego? Zawsze zaczynają odpowiedź od frazesu: „doskonałe wiadomości"! Poczem dodają, że np. ojciec umarł, albo kozy zdechły i t. p. Pod sekretem przed rządem i przed misyonarzami prowadzą na grubą skalę handel niewolnikami. Kraina Somalisów wogóle odznacza się opustoszeniem, im dalej jednak od brzegów morza, tem roślinność się powiększa; mimoza, akacya i drzewa gumowe tworzą prawdziwe lasy, w których gnieżdżą się dziki, gazele, antylopy, małpy, zebry, szakale, hyeny i lamparty, oraz mnóstwo ptaków.

Po Djibuti okręt nasz wypłynął na ocean Indyjski. Księżyc w pełni towarzyszy nam w podróży. *Płyniemy w kierunku wyspy* Ceylonu, do miasta Kolombo, do którego, jak twierdzą marynarze, dostaniemy się dopiero za dni dziesięć. To jest, że podczas dziesięciu dni nic zgoła nie ujrzymy, oprócz nieba i wody!

Życie na pokładzie, pomimo codziennej mustry i rozmaitych zajęć, zaczyna stawać się bardzo monotonne.

Z powodu gorąca wszyscy czują się dziwnie rozdenerwowani; zaczyna nam być i ciasno i nudno! Większa część kolegów stara się rozerwać, szukając roboty postronnej. I tak, niektórzy pracują w kuchniach, jako kucharze, inni jako *valets de*

chambre, usługują do stołu w 1-ej klasie, inni, jako niańki opiekują się dziećmi pasażerów, wreszcie wielu przygotowuje się do przedstawienia komedyi i koncertu muzykalno-wokalnego, które mają się odbyć za kilka dni na korzyść pozostałych rodzin po rozbitkach morskich. Noce czarowne, chociaż w łóżeczkach duszno i wiele kolegów sypia na zewnątrz. Ja także spać nie mogę. Obecnie siedzę na przodzie okrętu i patrzę w dal. Księżyc w pełni odbija się w wodzie długą, drżącą strugą. Wszyscy śpią. Nocną ciszę zakłóca tylko melancholijny szum bałwanów i kroki chodzącego na warcie oficera okrętu. Fale, oświecone silną fosforescencyą morskich wymoczków, błyszczą przy każdem zgięciu, jak posrebrzane. Patrząc na ten kolosalny obszar wód, na tajemniczy księżyc, pływający w nieskończonej przestrzeni, tysiące myśli człowiekowi krąży po głowie, zapomina on o ziemi, o politycznych niesnaskach narodów, przestaje być egoistą, przestaje być czemś, co się liczy w tym ogromie świata!... W Abisynii istnieje pewna kasta katolicka, która wierzy, że gdyby człowiek nie drażnił Pana Boga swymi złymi uczynkami, to przeszedłby przez życie zupełnie od Niego niepostrzeżenie i umarłby ze starości jak Matuzalem; gdy tymczasem, robiąc źle, kłuje wciąż boleśnie Pana Boga i dokucza Mu do tego stopnia, że zirytowany Bóg traci cierpliwość i dusi jak my pchłę, marnego człowieka, nieraz w pełnej sile życia... Może oni mają racyę? Mnie się zdaje, że wszyscy, którzy głęboko wierzą, mają racyę, notabene, jeżeli swego Pana Boga nie kłują złymi uczynkami. W każ-

dym razie od czasu kiedy świat istnieje, oprócz miłości, która pozwala żyć, nadziei, która pozwala pracować i wiary, która pozwala cierpieć, umysł ludzki nie lepszego i większego dotąd nie stworzył; szczęśliwi ludzie zawsze się śmieją, a nieszczęśliwi — płaczą i, pomimo zastosowania telegrafów, fonografów, kinematografów i innych grafów, liczba śmiejących ciągle się zmniejsza, a płaczących zwiększa. Od niejakiegoś czasu świat bardzo spoważniał. Nadmiar pracy umysłowej naprężył system nerwowy, rozwinął sentymentalność i obecnie więcej istnieje ludzi pohopnych do płaczu, niż do śmiechu, nawet ci, co się śmieją, śmieją się ze łzami w oczach. W krajach cywilizowanych serdeczny, głośny śmiech jest źle widziany przez etykietę i *savoir vivre* w dobrze wychowanem towarzystwie...

Ot lepiej pójdę spać! Tembardziej, że tak, jak muzyk, który nigdy nie odegra tego, co ucho jego słyszy, tak, jak malarz, który nigdy nie odrysuje szumu moich bałwanów, tak samo i ja nie przeleję nigdy na papier tego, co w danej chwili odczuwam. Blady księżyc, który jest jedynym świadkiem moich myśli i który dojdzie do was za parę godzin, niech wam dopowie resztę. Dobranoc!...

— — — — — — — — — — — — — — —

Pojutrze staniemy w Kolombo! Nasz „Schamrock“ sunie wciąż po bezgranicznym oceanie, którego głębokość w niektórych miejscach przechodzi 4 kilometry, czyli, że najmniejsza skała dostrzegal-

na na jego powierzchni jest w rzeczywistości potężną górą, posiadającą przeszło 4 kilometry wysokości!

Już od ośmiu dni patrzymy w dal, nie spotykając nic, oprócz nieba i wody! Monotonny szum fal, łamiących się czasami z głuchym łoskotem, przypominającym zdala spadające potoki i lekkie jednostajne kołysanie się olbrzymiego okrętu, powiększają naszą samotność. Ta absolutna separacya od reszty żyjącego świata i forsowna bezczynność fizyczna irytują pasażerów. Osoby niesympatyczne, z któremi obcowanie jest prawie konieczne i których, z powodu braku miejsca, niepodobna uniknąć, rozdrażniają system nerwowy i trzeba mieć dużo taktu i dobrego wychowania, ażeby żyć w ogólnej zgodzie.

Ocean w tym sezonie drzemie spokojnie, nie przedstawia żadnych niespodzianek, żadnego niebezpieczeństwa.

Imponująco poważny, drobniuchno pomarszczony, jak materya chińskiego kreponu, ugina się leniwie pod działaniem łagodnego, północnego wiatru.

Na horyzoncie cisza i smutek, jak na pustyni.

Zrzadka spostrzegamy przez lunetę dym innych oddalonych okrętów, płynących w przeciwną nam stronę, przy okręcie zaś, obserwując ocean gołem okiem, często całemi godzinami podróżnik nie spostrzega nic szczególnego. Czasami przerzynamy przestrzenie, pokryte wegetacyą jakby próchnem; niektóre części oceanu mają wygląd chropowaty, przypominający jezioro podczas deszczu, prawdopodobnie z powodu infuzoryów; tu i owdzie płyną

warstwy drobnego mchu i paproci. Z państwa zwierzęcego od czasu do czasu można widzieć pływające tuż przy okręcie niewielkie, łokciowe, morskie węże, albo meduzy, albo rybki latające, które, jak zauważyłem, zdolne są przelatać przestrzenie przechodzące 150 metrów, zmieniając przytem kierunek jak ptaki. Nieraz w oddaleniu wyskakują z wody, jak zające, duże ryby wielkości kilku metrów, zwane pospolicie „marsuenami“. Wreszcie z tyłu za okrętem czasami płyną rekiny, okrążone świtą małych ryb, żyjących z resztek, pozostawionych przez żarłocznych olbrzymów tak, jak w pustyni szakale, które wloką się za hyenami.

Nareszcie podjeżdżamy do Kolombo! Anglicy nazywają wyspę Ceylon „Rajem ziemskim“. Niestety, z obawy nieporządków, mogących nastąpić na obcej ziemi z przyczyny niektórych lekkomyślnych legionistów, okręt zatrzymał się na pełnem morzu, o 3 kilometry od przystani tak, że oprócz pasażerów 1-ej klasy, nikt z nas nie może wysiąść na ląd stały. Bardzo nam przykro!... Zdala więc tylko możemy podziwiać przepyszną podzwrotnikową roślinność tej czarownej krainy. I rzeczywiście, po widzianych dotąd rozpalonych i golusieńkich skałach Afryki oraz smutnej pustyni Arabii, wyspa Ceylon wydaje się nam prawdziwym rajem ziemskim.

Skoro okręt został zrewidowany przez miejscową władzę sanitarną, do statku zaczynają przypływać na niezmiernie wąskich pirogach tutejsi mieszkańcy, zwani Sinhalami (Singalezi). Pirogi, dla ró-

wnowagi, są opatrzone z boku długimi, pływającymi klocami.

Sinhalowie przedstawiają dla nas typy zupełnie nowe.

Twarze czekoladowe, rysy regularne, kobiece, oczy głębokie z wyrazem melancholii; silni bruneci, włosy gładkie, ozdobione półokrągłym grzebieniem szyldkretowym, boso; ubrani jaskrawo w jedwabne kurtki wyszywane szychem, owijają dolną część ciała jedną sztuką materyi, tworzącą rodzaj spódnicy; w uszach i w nosie mają kolczyki, dużo bogatych pierścionków, oraz bransoletki na rękaeh i na nogach. Język śpiewny, przyjemny.

Po raz pierwszy w życiu probujemy różne owoce azjatyckie, mianowicie: ananasy, gojawy, mangi, jabłka cynamonowe, banany, orzechy kokosowe, letczy, kaki etc.; kupcy z czółen podają nam na olbrzymich tykach bambusowych koszyczek, w który żołnierze kładą pieniądze, za co w zamian otrzymują w tenże sam sposób żądane owoce. Oprócz tego na pokładzie kręci się wielu tubylców, proponujących nieodstępne pocztówki, różne wyroby z kości słoniowej, perły i drogie kamienie: granaty, rubiny, szafiry, szmaragdy, a nawet brylanty.

Na drugi dzień rano podnieśliśmy kotwicę, ażeby popłynąć w stronę Kochinchiny. Ale w chwili, gdy okręt ruszył z miejsca, dwóch kolegów, w celu ucieczki wskoczyło do morza! Ogromny popłoch na całym pokładzie! Poczęto krzyczeć na wszyst-

kie strony: „*un homme à la mer, un homme à la mer!*“

Kapitan dał sygnał zatrzymania okrętu. Okręt stanął, lecz jeden z uciekających wpadł nieszczęśliwie pod skrzydła śruby okrętowej i na miejscu został zdruzgotany, drugi zaś popłynął w kierunku przystani. Natychmiast spuszczono łódź ratunkową, dzielny jednak pływak nie dał się uchwycić; zanim łódź puściła się w drogę on był już daleko! Zdążył dopłynąć do latarni morskiej, gdzie podług praw międzynarodowych nie wolno go już było aresztować; łódź ścigająca powróciła na pokład ze wstydem, a kolega dezerter, uszczęśliwiony z dopięcia celu, zdala powiewał nam chustką na pożegnanie!...

W sześć dni potem nad ranem stanęliśmy w Saïgonie, stolicy Kochinchiny, która obecnie należy do Francyi. Saïgon—wspaniałe miasto, utopione w zieleni podzwrotnikowej, posiada światło i tramwaje elektryczne, jak również wiele bogatych gmachów, magazynów i kawiarni. Na brzegu przystani całe tłumy nieznanych nam typów: Chińczyków z warkoczami, Japończyków, Anamitów, Malabarów i Indjanów! Cieszymy się, wytrzeszczamy oczy!...

Ponieważ nasz okręt z powodu wyładowywania towarów jest zmuszony zatrzymać się w Saïgonie na dni kilka, przeto władza wojskowa wydała rozkaz, ażeby wszyscy legjoniści opuścili okręt i przenieśli się na czas postoju do koszar miejscowych.

Zaraz też po przybyciu zebraliśmy wszystkie nasze manatki i przenieśliśmy się do koszar tutej-

szego pułku „*de l'Infanterie de marine*“. W Saïgonie bawiliśmy cały tydzień. Od rana do wieczora byliśmy zaabsorbowani przez różne roboty i mustrę; mogliśmy wychodzić na miasto tylko na 4 godziny dziennie, od 5 do 9 wieczorem. Pomimo to, w okazałych i wygodnych koszarach kolonialnych czuliśmy się sto razy lepiej, niż na okręcie: każdy z nas posiadał czyste, żelazne łóżeczko, ponad którem wysoka klatka z muślinu broni śpiących od moskitów. Życie znakomite: dwa razy na dzień zupa, trzy potrawy, deser i wino czerwone; oprócz tego cały dzień do picia *à discretion* herbata z arakiem!

Podczas naszego pobytu opowiadano nam, że w Tonkinie z niecierpliwością czekają na nas, że liczne bandy powstańców i rozbójników chińskich krążą po kraju, palą wsie i wyrzynają Francuzów, że zaraz po przybyciu na miejsce udamy się na plac bitwy i t. p. Podzielono nas na roty; każdy już wiedział naprzód, do jakiego miasta należeć będzie; 200 legjonistów ma iść na granicę chińską do Laokay, 200—do Langson, 200—do Hong-Hoa i 200—do Sontay. Ja zostałem naznaczony do Sontay. Ożywienie było ogólne, wszyscy z upragnieniem oczekiwali jaknajprędszego wyjazdu z Saïgonu, żeby usłyszeć świst kul nieprzyjacielskich, a tymczasem gromadkami zwiedzaliśmy Saïgon. Z powoda piekielnego upału wszyscy chodzą z wachlarzami; panowie noszą białe kostyumy, a panie jasne, dekoltowane sukuie, przez co miasto wygląda niezmiernie wesoło, świątecznie, pomimo, że kolor biały jest uważany w Azyi za kolor żałoby. W nie-

dzielę udałem się do katedry na mszę świętą, podczas nabożeństwa każdy z obecnych zawzięcie się wachluje, począwszy od samego księdza na ambonie, a skończywszy na żebrakach przed kościołem, wyciągających rękę po jałmużnę; to ogólne wachlowanie wytwarza w kościele oryginalny szelest, niby ciągłe fruwanie nietoperzy; do mszy służą: mały, z długim warkoczem, Chińczyk i chłopak Annamita; wierni wyśpiewują nabożne pieśni w języku annamickim, co bardzo przypomina beczenie jagniąt w owczarni.

Powietrze jest tak rozpalone i zarazem wilgotne, że żaden Europejczyk nie śmie wyjść z domu między 11-ą a 3-ą godziną po obiedzie. W nocy niewielka różnica: czasami budzimy się zmoczeni własnym potem. Pisząc, trzeba co chwila ocierać twarz chustką, bo pot kroplisty spada na papier i rozmazuje napisane wyrazy. Podobno w Tonkinie w tej epoce (miesiąc luty) temperatura jest o wiele znośniejsza. To też z rozkoszą pakujemy nasze tornistry, ażeby jutro rano wyjechać dalej.

Od Saïgonu do Tonkinu, t. j. do portu Haiphongu, podróż trwała pięć dni bez żadnych szczególniejszych wydarzeń. W Haiphongu nastąpiła separacya, odpowiednio do wyznaczonych miejscowości i zgodnie z rozkazami, danymi w Saïgonie. Każda rota, opuszczając okręt, przesiadała się natychmiast na małe parowce kanonierskie, które odwoziły ją wprost do miejsca przeznaczenia. Moja rota,

jadąca do Sontayu, wylądowała ostatnia. Tak, że Haiphongu wcale nie mogliśmy zwiedzić.

Do Sontayu wyjechaliśmy na noc; podróż nasza trwać będzie dwie doby, płynąc pod wodę po największej rzece Tonkinu, która nosi nazwę rzeki „Czerwonej", po annamicku „Song-Ko".

V.

W Tonkinie.

Już od dwóch tygodni stoimy obozem w Sontayu.

Miasto Sontay składa się z trzech części: z potężnej cytadeli chińskiej, zbudowanej niegdyś przez inżenierów francuskich, z właściwego miasta tubylców, posiadającego przeszło 4000 mieszkańców i z przedmieścia Phu-Xa. W cytadeli mieszczą się wszystkie biura administracyjne, oraz mieszkania oficerów i ich rodzin; tamże stoi batalion francuski, złożony z Annamitów. Żołnierze — Annamici, zwani po tutejszemu „linh-tap'ami“ wyglądają jak laleczki: drobni, szczupli, bez zarostu; włosy noszą długie, krucze, związane z tyłu w węzeł, w który wpinają grzebień damski; na głowie mały, lakierowany kapelusik z bambusu, ozdobiony czerwone-

mi wstążkami, bez butów; spodenki szerokie, szare i kurtka granatowa, zapinana na chińskie guziki. Żywią się przeważnie rybą suszoną, jarzynami i ryżem, który tu zastępuje chleb. W pochodach są o wiele wytrwalsi od Europejczyków, mogą maszerować bez zmęczenia kilkanaście godzin z rzędu, ale siły fizycznej nie posiadają, nie są zdolni do dźwigania ciężarów; to też zamiast tornistra, noszą z boku mały woreczek, a zamiast fuzyi — krótki karabin.

Ponieważ zbywa im na odwadze, przeto podczas bitwy, z obawy, żeby nie uciekli, maszerują zawsze na przodzie, pchani przez żołnierzy Europejczyków.

Przedmieście Phu-Xa, położone nad rzeką Czerwoną, jest zorganizowane po wojskowemu: na przodzie, od strony rzeki, znajduje się wysoki, murowany blokhaus, w którym mieści się warta i który zarazem służy jako obserwatoryum w razie napadu nieprzyjaciela. Sama wieś jest okolona wodą i wysokim wałem, ulepionym z gliny i gęsto obsadzonym bambusami. Między wsią a główną drogą leży obóz legjonistów. Mieszkamy bardzo wygodnie; koszary nasze składają się z ośmiu niewielkich murowanych domków rozłożonych na wiecznie zielonym kobiercu starannie skoszonej murawy; każdy domek, zawierając jeden tylko obszerny pokój, jest wzniesiony, dla zmniejszenia wilgoci, na 2 metry ponad ziemią i oprócz tego okrążony szerokiemi werandami, chroniącemi mieszkańców od rewerberacyi

słonecznej. W pokoju znajduje się 25 łóżek, opatrzonych muślinową klatką przeciw nocnym moskitom. Przed każdym domkiem istnieje mały ogródek, złożony z bambusów, bananów, czerwono kwitnących ibiskusów i ceglastych lilii japońskich; na tyłach — ogród warzywny, w którym legioniści uprawiają kapustę, pomidory, sałatę, groszek, kalafiory, rzodkiewkę, etc.

Czasami, gdy z przyczyny gorąca lub rozdenerwowania, nie mogę zasnąć, cichutko wychodzę na werandę i, patrząc przed siebie, myślę całemi godzinami o Polsce, o Warszawie, o Paryżu, które obecnie są tak daleko odemnie, że potrzeba czekać najmniej trzy miesiące czasu, ażeby módz otrzymać odpowiedź na wysyłane listy, a różnica czasu, z powodu długości geograficznej przenosi nawet 7 godzin. Tak np. w danej chwili słyszę jak bije godzina pierwsza po północy; świat azyatycki śpi sobie głęboko, gdy u Was zaś, w Warszawie, zaledwie 6-ta wieczorem! Wszyscy używają jeszcze spaceru w całej pełni przed powrotem do domu na kolacyę!

Cisza nocna na wsi, zdala od turkotu i gwaru miejskiego, zawsze zawiera w sobie coś majestatycznego, a cisza ta w Azyi, po całodziennym, denerwującym upale, przedstawia nadto źródło orzeźwiające, za którem wzdychają niemal wszyscy mieszkańcy. Cisza nocna w Tonkinie, przesycona wonią różnorodnych kwiatów, zmieszaną z przenikającym zapachem opiumu i wiecznie palących się na cześć

przodków kadzideł, upaja jakoś błogo każdego Europejczyka i wytwarza w jego imaginacyi dziwnie fantastyczne urojenia!

Ponieważ Annamici nie znają cmentarzy, a ciała zmarłych chowają zwykle na polach, lub obok chaty zmarłego, przeto przy tutejszej gorącej wilgoci ciała te, wydzielając gazy, palą się błękitnym, tajemniczym ogniem; błędne ogniki, niby dusze zmarłych, przenoszone lekkim powiewem wiatru z miejsca na miejsce, zdają się gawędzić z sobą i nadają nocnej ciszy jakiś odcień nadnaturalny... Oprócz tego, liczne stada ognistych muszek, bujając jak żywe latareczki ponad ziemią, lub wysoko w przestworzu jak gwiazdy opadające, dopełniają feerycznego obrazu! Te lucjole, koloru zupełnie szarego, wydzielają przy oddychaniu tak silne światło, że, spadłszy przypadkiem na książkę, pozwalają czytać ją nawet w najciemniejszą noc. Niekiedy, młodzi, niedoświadczeni żołnierze, stojąc samotnie na warcie, biorą je zdala za pochodnie rozbójników, strzelają do nich i w ten sposób alarmują nieraz cały obóz; koledzy potem wyśmiewają ich tchórzostwo, a oficerowie nakładają kary za brak odwagi i zimnej krwi!...

Nocny samotnik w Tonkinie nietylko bawi się wzrokiem, słuch jego również odczuwa bezprzestanne życie: Naprzód, oddalony, przeciągły głos rogu, hasło zbierania się tutejszych rozbójników, ponuro obijając się o jego ucho, przypomina mu, że żyje poza granicami Europy, w krainie śmierci, krwi,

pożogi i rozbojów! Następnie, jakby w odpowiedzi na trąbienie rogów nieprzyjacielskich, warta miejscowa w blokhausie co godzinę uderza głucho w bęben, dając przez to znać drzemiącym mieszkańcom, że czuwa nad ich bezpieczeństwem; zaraz też za głosem bębna, pierwsza pikieta, postawiona na kilkaset metrów od blokhausu, swoją koleją uderza silnie w bambus, jako sygnał życia, poczem słychać dalsze uderzenie drugiej pikiety, potem trzeciej, czwartej i t. d. coraz słabiej, naokoło miasta, aż znowuż, po pewnym czasie, uderzenie w bambus wzmacnia się *crescendo*, powracając ze strony przeciwnej do samego blokhausu. I tak co noc, aż do dnia białego!... W końcu, ciągłe rechotanie żab i ropuch na najrozmaitsze tony, brzęk komarów, szelest latających nietoperzy, piszczenie gryzących się *szczurów i krzyk* skrzydlatych świerszczy tworzą koncert *sui generis*, który słyszeć można tylko podczas nocy tonkińskich, w olbrzymiej delcie rzeki Czerwonej, znanej na całą Azyę!

Delta przedstawia niezmierną płaszczyznę, nadzwyczaj urodzajną, stosunkowo zdrową i znakomicie uprawioną. Jest to jedno ogromne pole ryżu, wyglądające jak kobierzec ułożony z drobnych kwadratów, których kolor przechodzi od kiełkującego zielonawo-żółtawego aż do zupełnie ciemno zielonego, wyrośniętego ziarna; na tym miłym dla oka kobiercu znajduje się mnóstwo wiosek utopionych, jak wille, w cieniu lekkich bambusów, obok których miliony pracowitych i wiecznie ruchliwych istot roją się i krzątają, bo od uprawy ryżowych pól za-

leży cała ich egzystencya! tylko olbrzymie, jak hipopotamy, bawoły zdają się nie podzielać febrycznej działalności ludzi, wlokąc się zawsze ciężko i leniwie. Ponieważ pola ryżowe przez większą część roku toną zupełnie pod wodą, przeto jedyną komunikacyą między wioskami są niewysokie groble, po których wązkie steczki wiją się tysiącami kilometrów. Oto ogólny wygląd krainy, w której leży miasto Sontay. Monotonność tej wiecznie zielonej równiny zakłóca tylko jedna góra, zwana „Mont Bavi"; na spadkach potężnej góry rosną gęste lasy, w których istnieją kopalnie złota, jaskinie zbójców i gniazda tygrysów!...

Życie nasze w koloniach, przynajmniej dotąd, płynie dosyć monotonnie: oprócz codziennej rannej mustry, dwa razy na tydzień robimy dalsze rekonesansy, jeden nocny, a drugi dzienny. Nocne zaczynają się zwykle o godzinie 9-ej wieczorem i kończą o północy. Jeżeli maszerujemy w stronę *Mont* Bavi, to, podczas wypoczynku, zapalamy pochodnie, a na pikiety wysyłamy po kilku żołnierzy naraz, ażeby odstraszyć tygrysy, zdarzają się bowiem wypadki, że tygrys porywa i unosi z sobą na zawsze pojedyńczych ludzi. Annamici tak się go boją, że, mówiąc o tygrysie, pochylają z szacunkiem głowę i nazywają go *Panem tygrysem*.

Dzienne rekonesansy trwają zwykle od rana do wieczora, t. j., od 4-ej rano do 9-ej manewrujemy, a potem, rozkładamy się obozem albo w cieniu drzew, albo w tutejszych pagodach, gdzie spo-

żywszy obiad na zimno, wyruszamy około 3-ej po południu z powrotem do Sontay.

Z początku te rekonesanse i manewry bardzo mnie interesowały, byłem, jak mówią Francuzi, „tout feu, tout flamme“, po paru jednak miesiącach, gdy krajobrazy okoliczne Sontayu oraz zadania manewrów zaczęły się powtarzać coraz częściej, ogarnęły nas wszystkich smutek i zniechęcenie. Nadzieje wzięcia udziału w jakiejkolwiek wyprawie przeciw rozbójnikom, o czem marzyliśmy bezprzestannie, na tymczasem znikły z horyzontu. Bandy rozbójnicze, wystraszone przybyciem posiłków z Europy, przeniosły się na granicę chińską, w okolicę Lao-Kayu, gdzie stali inni nasi koledzy i którzy, podczas gdy my w Sontayu ziewaliśmy na manewrach, zbierali laury i odczuwali wrażenia zupełnie dla nas nieznane. Było więc nam przykro! Legjoniści zaczęli się nudzić, zaczęli pić i robić głupstwa, szukając awantur poza koszarami. Moja sytuacya kaprala, przez wzgląd na ogólną niesforność podwładnych, stawała się coraz trudniejszą; miałem coraz więcej kłopotów, zmartwień i nieprzyjemności służbowych. Życie wojskowe w podobnych warunkach traciło swój dawny powab! Na wszystkie strony szukałem punktu wyjścia, ale, niestety, nic nie mogłem wymyśleć! Mając przeszło dwa lata służby, mógłbym łatwo wydobyć się na wierzch, gdybym należał do jakiej potyczki; na placu bitwy stanowczo znalazłbym sposobność odznaczenia się, gdy tymczasem tu, podczas pokojowej wegetacyi, nie było nawet o czem marzyć!...

W dodatku, hałaśliwe i pijackie życie moich kolegów, oraz konieczność ciągłego obcowania z nim zaczęły mnie coraz więcej męczyć, denerwować, egzystencya stawała się wstrętną, nie do wytrzymania! Począłem powoli unikać towarzystwa, uciekać z koszar i przepędzać czas wolny od zajęć samotnie, nad brzegami wspaniałej rzeki „Czerwonej". Tak upłynęło prawie 6 miesięcy! Naraz, pewnego dnia, dyżurny podoficer oznajmił nam podczas raportu, że w *głównym Sztabie brygady wakuje miejsce* rysownika — topografa i że żołnierze albo kaprale, którzy czują się na siłach, mogą przyjąć udział w konkursie; w tym celu wystarcza przesłać do brygady jakikolwiek rysunek topograficzny, wykonany w obecności dwóch podoficerów lub oficera i że przesłane rysunki naczelnik Sztabu egzaminować będzie od dziś za tydzień!

Uradowany, chociaż niepewny powodzenia, gdyż Sztab brygady odwoływał się do obydwóch swoich pułków (około 6.000 ludzi) podałem się jednak na kandydata. Od tej chwili, po całych niemal dniach, pracowałem nad moim projektem. Odzwyczajony byłem od rysowania, ręka mi drżała; wszystko, co zrobiłem, wydawało mi się nie dość staranne, nic dość piękne, podarłem z dziesięć arkuszy! W końcu, na dwa dni przed terminem, wykończyłem ostatecznie plan topograficzny pewnej części okolicy Phu-Xa i, poprosiwszy o podpis dwóch podoficerów, odniosłem go osobiście do biura brygady. Sztab brygady znajdował się na uboczu od miasta, w potężnym klasztorze buddhyjskim,

którego kilkanaście obszernych zabudowań zostało przekształconych na biura i mieszkania sztabowców.

Czekałem z niecierpliwością i z biciem serca, dzień, dwa, trzy... Odpowiedzi jak nie było, tak nie było! Traciłem nadzieję, myśląc, że zawiele wymagam od losu, że szczęście poszło do innych!...

Na czwarty dzień wieczorem, gdym się już kładł spać, mój sierżant przyszedł mi oznajmić, że, *zgodnie z rozkazem kapitana*, jutro rano mam zabrać wszystkie manatki i przenieść się do brygady, gdzie nadal będę pracował, jako rysownik — topograf!... Na tę wiadomość uczułem się tak wzruszony, że zaledwie byłem zdolny wypowiedzieć sierżantowi „merci“! Wypowiedziałem je zapłoniony, nawpół cicho, jakgdybym się obawiał, ażeby ktoś, usłyszawszy o mem szczęściu, nie porwał go, i przez zazdrość nie zdruzgotał! Łzy stanęły mi w oczach; nie wiedząc komu dziękować, pomimo woli podziękowałem, wznosząc z westchnieniem oczy w górę, panu *Bogu*! Czułem, że od jutra, przebywając w towarzystwie i pod opieką innych ludzi, stanę się także innym człowiekiem! Wszystkie moje cierpienia i dolegliwości naraz zniknęły bez śladu!...

Życie ludzi składa się z tylu trosk, kłopotów, bolów, zmartwień, że, samochcąc, człowiek przyzwyczaja się do nich, hartuje w ich goryczy swoją wolę, serce, charakter, ale jednak, jeżeli je znosi napozór ze stoicyzmem, to dlatego tylko, że gdzieś tam, w oddalonych mrokach dostrzega punkcik jasny nadziei! To też, gdy ten wątły punkcik nagle za-

mieni się w olbrzymie słońce szczęścia, człek czuje się taki oślepiony, że nieraz przestaje patrzeć wyraźnie na życie i świat boży! Dlatego to w szczęściu potrzeba być o wiele ostrożniejszym, niżeli w nieszczęściu, bo szczęście to potężna iskra, która, niszcząc długie pasmo przebytych cierpień, wlewa w nas siłę nadnaturalną, potrzebną do nowej, długiej często walki na przyszłość!

W brygadzie przyjęto mnie bardzo serdecznie. Moi koledzy, żołnierze i kaprale, wszyscy bez wyjątku, byli z pochodzenia Francuzami, z korpusu „de l'Infanterie de marine". Patrzono na mnie, cudzoziemca, z pewną ciekawością... Mój poprzednik, niejaki Rolland, inżenier z profesyi, skończył swoją obowiązkową, trzechletnią służbę (z których dwa lata pobytu w koloniach) i obecnie, jako sierżant, powracał do rodziny, do Francyi! W parę godzin zaznajomił mnie z czynnościami, które od dziś spadały na moją odpowiedzialność. Oprócz Rollanda w brygadzie pracowało jeszcze dwóch innych sierżantów i 20-u sekretarzy, znajdujących się pod kierownictwem *Majora Caudrilllier. Brygadą dowodził* pułkownik Frey, a miał za adjutanta niejakiego kapitana Sicre'a, który zarazem był moim bezpośrednim naczelnikiem. Panu Sicre'owi odrazu wpadłem w oko! Przejrzawszy moje świadectwa wojskowe i przekonawszy się, że posiadam wyższe wykształcenie oraz znajomość języków rosyjskiego i niemieckiego, kapitan Sicre, na trzeci na trzeci dzień po przybyciu, przedstawił mnie pułkownikowi Frey'owi, który natychmiast wydał rozkaz, ażeby mnie

zamianowano sierżantem! Tak, że niespełna w tydzień po przeprowadzce, zostałem podoficerem, o czem marzyłem od roku! Moi koledzy, którzy pozostali w rocie, nie mogli wyjść z podziwienia!... Szczęście, jak również nieszczęście nienawidzą samotności, zawsze zjawiają się gromadą... Sierżanci w brygadzie urządzili mi wspaniałe przyjęcie, a kapitan Sicre przysłał na deser butelkę szampańskiego. Zaraz też otrzymałem, na równi z innymi sierżantami, osobny pokoik, gdzie bez żadnych przeszkód mogłem się oddawać pracy i marzeniom! Do pracy rzuciłem się z wyjątkowym zapałem. Pragnąłem odwdzięczyć się losowi za spokój i dobrobyt, którymi mnie obdarzył; pragnąłem usunąć wszelką sposobność niezadowolenia lub rozczarowania ze strony moich naczelników za okazane mi dobrodziejstwo. Pracowałem po całych dniach: układałem i rysowałem mapy z przysyłanych mi kawałków, odnawiałem stare atlasy Tonkinu, porządkowałem bibliotekę, układałem archiwum, tworzyłem nowe kombinacje kartograficzne etc., a wieczorami uczyłem się historyi i geografii wojskowej, taktyki, fortyfikacyi, artyleryi, strategii, topografii, administracyi i francuskiego! Pracowałem tak, że strach ogarnął wszystkich obecnych; lękali się, że z nadmiaru pracy wycieńczę się i rozchoruję! Pułkownik Frey sam wpadał nieraz do mego pokoiku i gasił mi lampę, rozkazując kłaść się spać; a w dzień wysyłał mnie na świeże powietrze pod pretekstem zdejmowania planów!

Po paru miesiącach, około 1-go listopada, ka-

pitan Sicre przyszedł pewnego wieczoru odwiedzić moją celę. Rozmawiał o naukach wojskowych, badał delikatnie i zręcznie moją przeszłość, pytał o projekty i zamiary nadal; wreszcie oznajmił, że w brygadzie, jak również wogóle w całej armii francuskiej istnieje zwyczaj przedstawiania podwładnych do nagród dwa razy do roku, mianowicie 14 lipca na święto narodowe i na dzień Nowego roku. Mówił, że Rok nowy za pasem, a z drugiej strony, ponieważ niedawno zostałem podoficerem, nie mogą mnie proponować na rangę wyższą... Pułkownik jednak, biorąc pod uwagę moją nadzwyczajną gorliwość i inteligencyę, życzyłby sobie wiedzieć, co sprawiłoby mi przyjemność? W takim bowiem razie postarałby się, o ile to jest w jego możności, skorzystać z nadchodzącego Nowego roku i porobiłby odpowiednie kroki, ażeby mi dać zadość uczynienie...

Ośmielony uprzejmością kapitana, odpowiedziałem otwarcie, że w danej chwili jedynem mojem marzeniem jest opuszczenie Legji Cudzoziemskiej, że chętnie pragnąłbym kontynuować moją służbę nie w Afryce, lecz we Francyi, w jednym z pułków stałej armii francuskiej, np. w korpusie „de l'Infanterie de marine“, który jest uważany jako korpus wyborowy! Ale ponieważ mam dopiero trzy lata służby, wątpię przeto, ażeby ten projekt można było zrealizować.

Na tem zakończyła się nasza wspólna pogawędka.

Niewiele robiłem sobie nadziei, ale jednak nie przestawałem pracować z równą, jak dotąd gorliwością, marząc o świetnej, dalekiej przyszłości!... My, Polacy, jesteśmy z natury marzycielami! A chociaż często brak nam wytrwałości, to jednak, dzięki wrodzonej nam marzycielskiej skłonności, potrafimy znosić i cierpieć o wiele więcej, niż inne narody; potrafimy przekształcać się w bohaterów! Marzenie, jeżeli nie przechodzi w stan chorobliwy, podtrzymuje zawsze nadzieję, a nadzieja u wszystkich narodów świata pozwala działać i żyć.

Niestety, tym razem niedługo się łudziłem memi marzeniami: Pułkownik Frey w pierwszych dniach grudnia zachorował na dysenteryę i był zmuszony opuścić brygadę i Tonkin; powrócił do Francyi wraz ze swoim adjutantem, miłym kapitanem Sicrem. Na jego miejsce przyjechał sławny generał Bourgey. Dawny bohater z 1870-go roku! Odznaczył się w wojnie francusko-pruskiej pod miastem Bazeilles, gdzie dowodził batalionem *d'Infanterie de marine.* Jego waleczna obrona 1-go września 1870 roku wybiła go na wierzch! We Francyi, na tle tej dzielnej obrony stworzono nawet znany obraz, noszący tytuł: „La dernière cartouche" (ostatni nabój).

Generał Bourgey był człowiekiem gwałtownym, grubijańskim, ale inteligentnym i rozumnym. Miał za adjutanta kapitanta Lecreux, osobę potulną, rozlazłą, bez charakteru. Major Caudrellier również pożegnał brygadę, bo generał przywiózł z Francyi

swojego naczelnika sztabu, komendanta Lanegrasse, dawnego profesora strategii w szkole wojskowej Saint-Cyr, oficera nadzwyczajnych zdolności, który przed kilku laty ukończył znakomicie Akademię Generalnego Sztabu w Paryżu *(École supérieure de Guerre)*. Tak więc wszystko się odnowiło; przybyli ludzie, którzy mnie wcale nie znali, dla których byłem prostym sierżantem Legii Cudzoziemskiej—*voilà tout!*...

Na Rok Nowy obydwaj sierżanci sztabu otrzymali tak zwaną „médaille militaire“, najwyższą dekoracyę, jaką władza ofiarowywa podoficerom za odwagę, lub za wierną, długoletnią służbę i która przynosi im do końca życia 10 franków miesięcznej pensyi! Kilku kaprali zostało sierżantami, kilku żołnierzy kapralami, radość była ogólna! A ja? Nic! Koledzy, którzy uważali mnie za najpracowitszego sekretarza sztabu, dziwili się bardzo, czuli się oburzeni; szukali skrytych powodów, przypuszczając, że może dlatego, iż byłem cudzoziemcem... Inni radzili, ażebym reklamował do generała, twierdząc, że we Francyi nie wystarcza pracować, potrzeba nadto swą pracę wykazać i w końcu reklamować! Ale ja nie podzielałem ich zdania; uważałem *za niestosowne* dla żołnierza upominać się o nagrodę; siedziałem więc cicho, chociaż w głębi duszy odczuwałem zawód i wyrządzoną mi niesprawiedliwość. Po paru tygodniach jednak pogodziłem się z losem i pracowałem w dalszym ciągu jeszcze gorliwiej!

Wreszcie, dnia 10 lutego, pamiętam jak dzisiaj, komendant Lanegrasse, zbliżywszy się do mego sto-

łu, wyciągnął ku mnie rękę i począł mi czegoś winszować! Poczem, rozwijając jakiś papier, opatrzony wielką pieczęcią Prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, oznajmił, że *Monsieur le Président Carnot* dekretem z dnia 1-go stycznia 18... nadaje mi prawa obywatela Francyi!!.. Była to ostatnia miła niespodzianka, jaką mi sprawili pułkownik Frey i kapitan Sicre przed opuszczeniem Tonkinu...

Wkrótce potem, dzięki kolegom, będącym „au courant“ moich planów, jeden z podoficerów z korpusu *d'Infanterie de marine* napisał do mnie z zapytaniem, czy, zostawszy poddanym francuskim, nie życzyłbym sobie przejść do jego pułku? Że, ponieważ w ostatnich czasach poróżnił się ze swoją rodziną, przeto chętnie przyjąłby zamianę na Legję Cudzoziemską, ażeby więcej do Francyi nie wracać. Odpowiedziałem dnia tegoż, że propozycyę przyjmuję z przyjemnością i podaliśmy natychmiast odpowiednie prośby, które Generał zatwierdził. W taki to sposób przeniosłem się ostatecznie, jako podoficer, do rzeczywistej armii czynnej francuskiej. Byłem zbawiony! Bo chociaż dla sierżanta Legja Cudzoziemska przedstawia sytuacyę bardzo dogodną pod względem materyalnym, to jednak moralnie człowiek czuję się zawsze cudzoziemcem; przy wyjściu z wojska nie posiada żadnej opieki rządowej i jest, że tak powiem, ciągle wykolejony!

Obecnie, po otrzymaniu stopnia podoficera i naturalizacyi francuskiej, pragnąc pchać się dalej, po-

trzebowałem, zgodnie z prawem wojskowem, przesłużyć uczciwie jeszcze dwa lata, a następnie wstąpić do szkoły junkierskiej w Saint-Maixent. Po rocznym pobycie w tej szkole i dobrem złożeniu egzaminów, podoficerowie otrzymują przy wyjściu stopień podporucznika, oraz pierwsze umundurowanie na koszt rządu. Czyli, że narazie nic mi nie pozostawało, jak tylko, siedząc spokojnie w brygadzie, przygotowywać się do owej szkoły oficerskiej. Za rok będę miał prawo opuścić Tonkin, a za 18 miesięcy przystąpić do składania egzaminów!

Podpułkownik Lanegrasse, który cenił wysoko ludzi pracowitych, dowiedziawszy się o moich zamiarach, postarał się o program i o książki. Studjując pod jego kierownictwem, zaznajamiałem się gruntownie z zasadami taktyki nowoczesnej. Jako dawny profesor, wykładał on *con amore*, jasno, obszernie i ciekawie. Widząc moją pilność i zdolności spostrzegawcze, zapalał się coraz więcej z dnia na dzień tak, że często, zamiast jednej przeznaczonej godziny, przepędzaliśmy razem półtory, a nawet dwie, analizując szczegółowo epokę Napoleońską. Robiłem szybkie postępy nietylko w sztuce wojennej, ale także i w sercu Lanegrasse'a. Dzięki dobremu wychowaniu, które otrzymałem od ś. p. matki, łatwo zdobyłem zaufanie i sympatyę profesora, a, posiadając wysoką i życzliwą protekcyę mego naczelnika, patrzałem w przyszłość różowo i bez trwogi!

Niestety, po dwóch miesiącach zmuszony byłem odłożyć książki na bok i zająć się inną pracą.

Generał Bourgey, dowiedziawszy się od kapitana Lecreux, że ładnie rysuję, polecił mi wykonać, w przeciągu miesiąca następującą pracę: Cesarz Annamu pragnął od dawna posiadać mapę topograficzną swego państwa; w tym celu przez długi czas gromadził odpowiednie notatki, kawałki planów, szkice, zarysy etc., które zostały mu dostarczone w różnych epokach i wykonane przez rozmaitych oficerów europejskich i azyatyckich. Otóż chodziło o to, ażeby z tych drobnych danych utworzyć jedną dokładną całość! Praca była uciążliwa, wymagała wiele trudu, uwagi, obrachowań, korespondencyi na wszystkie strony Annamu i ciągłego ślęczenia!

Dnia 20 czerwca potężną mapę, wykończoną starannie kolorami i ozdobioną mnóstwem różnorodnych widoków, wręczyłem generałowi! A na drugi dzień odwieziono mnie nagle do szpitala wojskowego, jako chorego na siluą gorączkę!... Pierwszy tydzień leżałem bez przytomności, bezprzestannie majacząc o wykonanej mapie; musiano mnie pilnować dzień i noc, z obawy ażebym nie wyskoczył przez okno. Gdy się uspokoiłem, począłem przyjmować odwiedzających mnie kolegów i podpułkownika Lanegrasse'a, który z ojcowską pieczołowitością śledził postęp mego powrotu do zdrowia.

W święto narodowe, 14 go lipca, po obiedzie, odwiedził mnie sam generał. Rozmawiał ze mną nadzwyczaj uprzejmie; w końcu, wydobywszy z kieszeni misternej roboty pudełeczko, wręczył mi je, mówiąc:

— Wasza wspaniała mapa Annamu niezmiernie się podobała cesarzowi. Na jego życzenie i za mojem wstawieniem się, rząd Rzeczypospolitej przysyła Wam tę drobną pamiątkę.

Poczem, uścisnąwszy mi serdecznie rękę, dołączył do pudełeczka pergaminowy dyplom! Otworzywszy pudełko, znalazłem wewnątrz śliczną, srebrną gwiazdę, ozdobioną zielonym emaliowanym smokiem z rubinowemi oczami! Okazała dekoracya nosi nazwę „Dragon d'Annam". Dyplom, rozdzielony na dwie części, oznajmiał w dwóch językach: annamskim i francuskim, że sierżant Krajkowski został zamianowany kawalerem orderu Smoka Annamu za oddane usługi państwu; na jednej stronie dyplomu znajdowały się podpis i pieczęć Than-Thai'a, cesarza Wielkiego Państwa Południa (Annamu) a na drugiej podpis i pieczęć Ambasadora francuskiego w Hue (stolicy państwa).

Zelektryzowany miłą niespodzianką, natychmiast podniosłem się moralnie, a wraz z siłą duchową, począłem szybko przychodzić do zdrowia... Byłem nadzwyczaj dumny z tego pierwszego orderu! Zaraz po wyjściu ze szpitala odfotografowałem się u Chińczyka fotografa, w dwóch pozach! Fotografie przesłałem: Rodzinie do Warszawy, do Jana Thiollier, do dyrektora Malinowskiego, do sierżanta Szafrańskiego i do Icka!... W trzy miesiące potem, otrzymałem, jakby na ukaranie mojej dumy, dwie smutne wiadomości z Europy: o zgonie siostry Ewy (umarła przy narodzeniu pierwszego dziecka) i o zgonie ukochanego dyrektora Malinowskiego...

Po wstąpieniu na nowo do brygady, wszystko powróciło do normalnego stanu: nauka, wykłady Lannegrasse'a, rysowanie map i t. p. Spokój absolutny, na horyzoncie ani jednej chmurki! Zdawało się, że moje studya do szkoły oficerskiej nie napotkają więcej najmniejszej przeszkody! Ze zbliżeniem się jednak jesiennego sezonu poczęto coraz częściej otrzymywać w sztabie sprawozdania niemal ze wszech stron o pojawieniu się band rozbójników, których tu ogólnie nazywają „piratami" (korsakami). I tak, w Cho-Bo piraci wyrżnęli całą rodzinę francuskiego Rezydenta, w Mont-Bavi porwali córkę właściciela kopalni; w Bac-Ninh obsaczyli cytadelę i popalili wsie sąsiednie; w Yen-The, zbudowali prawdziwą fortecę, tu i owdzie napadali na forty, rabowali broń, amunicyę, żywność, ściuali nieprzychylnych sobie mieszkańców, zabierali do niewoli strzelców annamskich z bronią, oraz bydło, zapasy ryżu i kobiety.

Cesarz Annamu, nie mogąc sobie dać rady, przywoływał na pomoc żołnierzy Chińczyków, którzy, po pewnym czasie, przyłączali się do band rozbójniczych, obracając wszystko w perzynę! Strach ogarnął spokojnych mieszkańców. Cesarz Annamu, przerażony zuchwałością piratów, zwrócił się do protektoratu francuskiego. Trzeba było korzystać z pomyślnego dla operacyi wojskowych sezonu (jesień i zima) i działać jaknajspieszniej.

Najsilniejsze bandy piratów kryły się w ufortyfikowanej gminie Yen-The, w okolicach miasta Thaj-Nguyen i w jaskiniach gmin: Dong Trieu, Tam-

Dao i Cho-Moj. Te bandy składały się z trzech kategoryi: ze zbrodniarzy wszelkiego rodzaju, z dezerterów-Chińczyków i z patryotów Annamitów, niezadowolonych z obecnego stanu politycznego. Liczba ich dochodziła do 3000 ludzi, z których połowa była uzbrojona w broń francuską i amerykańską najnowszych systemów, a połowa, w stare fuzye z krzesiwem, w łuki miotające zatrute strzały i w miecze zwane kup-kup'ami (od słowa francuskiego: „couper“—ciąć). Bandy, umundurowane w bluzy niebieskiego koloru, były zorganizowane po europejsku: dzieliły się na sekcye, roty, bataliony etc. Każdy batalion posiadał sztandar koloru pomarańczowego (kolor narodowy) z wyszytym potężnym smokiem i napisem „za Ham-Nghi, króla Annamu“. Król Ham-Nghi był współzawodnikiem obecnie panującego, dzięki protekcyi Francuzów, cesarza Than-Thaj'a i żył na osiedleniu w Algierze. Za najwybitniejszych dowódców tych band uważano mandarynów Kaj-Kin'a, De-Than'a i Doj-Van'a, którzy, na podobieństwo średniowiecznych władców, podzielili cały Tonkin na okręgi, tytułowali się Jaśnie Wielmożnymi Panami, wydawali rozkazy, zbierali podatki, zastępowali najwyższych sędziów etc. W tym celu rozsyłali po gminach afisze i odezwy, tchnące zawsze patryotyzmem. Jeden z takich listów zachowałem na pamiątkę; brzmiał on jak następuje:

„Od czasu, kiedy barbarzyńcy francuscy zagarnęli Tonkin, naród nasz jest wystawiony na tysiączne upokorzenia i ciężary. Dwór królewski powierzył nam należyte siły zbrojne w celu uspoko-

jenia kraju i zapewnienia protekcyi dla wiernych poddanych. Ażeby módz zadośćuczynić mandatowi królewskiemu, mieszkańcy powinni dostarczyć dla naszych narodowych wojsk konieczne środki egzystencyi. Przeto każdy z poddanych, który sprzeciwi się moim rozkazom, wydanym w tymże celu, zostanie skazany na karę śmierci, a jego gmina na rabunek i spalenie".

Rozkaz jest podpisany w fortecy Yen-The, dnia 13-go, 6-go miesiąca, 5-go roku panowania króla Ham-Nghi'a.

Rozbójnicy, pomimo niefortunnej nazwy są trzymani w nadzwyczajnym rygorze przez swoich *wodzów, których srogość* przechodzi wszelkie granice; najmniejsze uchylenie się od danego rozkazu bywa karane torturami i śmiercią. Też samą sro*gość dowódcy stosują i do* nieprzyjaciół. Przed paru tygodniami w brygadzie zjawiło się przeszło trzydziestu strzelców annamskich w opłakanym stanie: wszyscy byli pozbawieni prawego oka i prawej ręki! Ci *nieszczęśliwi*, podczas rekonesansu w okolicach Yen-The, wpadłszy w zasadzkę rozbójników, zostali wzięci do niewoli; wódz bandytów, mandaryn Doj-Van, rozkazał każdemu z nich wyłupić prawe oko i obciąć prawą rękę. Poczem puścił ich, rozbrojonych na wolność, mówiąc:

— Zostawiam was przy życiu, ażebyście mogli powiedzieć wszędzie, gdzie pójdziecie, jaka kara czeka każdego Annamitę, który wysługuje się naszym wrogom, Francuzom!

Innym razem piraci napadli na dwór pewnego wysokiego mandaryna, znajdującego się na żołdzie Protektoratu i troje jego drobnych dzieci, w oczach zrozpaczonego ojca, zmiażdżyli kamieniem młyńskim.

To znów, dowiedziawszy się, że jeden z wójtów gminy szpieguje bandę i donosi rządowi o jej manewrach, rozkrzyżowali wójta na drzewie przed wrotami gminy, poczem, rozpłatawszy mu pierś kupkupem, wyrwali z wnętrzności wątrobę i z wściekłością pożarli ją na surowo, jako oznakę wiecznej nienawiści.

Taktyka powstańców odznacza się niezwykłym sprytem i inteligencyą; oparta jest na zasadzie walki powstańców przeciw regularnym siłom zbrojnym; znakomicie ufortyfikowane pozycye stanowią jej główną obronę; oprócz tego, zastawiając sidła i ciągłe zasadzki, napadają nocą, niespodziewanie, trują wodę, palą i rujnują zapasy żywności, małymi oddziałami bezprzestannie drażnią, niepokoją nieprzyjaciela, uderzają zwykle z tyłu armii, wycieńczając ją powoli fizycznie i moralnie.

Często naprzykład pojawiają się w niewielkiej liczbie, we wsi położonej w bliskości sił zbrojnych i każą uprzedzać rząd o ich przybyciu, a gdy są atakowani, cofają się zręcznie, wciągając wysłane rządowe wojska w zasadzkę, gdzie dziesięć razy liczniejsza banda otacza je i niszczy do ostatniego żołnierza.

Jaskinie zbójców mieszczą się przeważnie w gęstych, niemal dziewiczych lasach między dzikiemi

skałami, do których dostęp dla Europejczyka jest prawie niemożebny. W jaskini piraci gromadzą porwane kobiety i dzieci, które od czau do czasu wysyłają na sprzedaż za granicę chińską, oraz niewolników, skazanych na ciężkie roboty, śmierć lub tortury; tamże znajdują się stada bydła, zapasy ryżu, żywności, warsztaty do reparowania broni, fabrykacya naboi i mnóstwo wszelkiego rodzaju zrabowanych rzeczy.

W pierwszych dniach grudnia generał Bourgey otrzymał wiadomość od naczelnego wodza wojsk francuskich w Tonkinie, że dowódca 1-ej brygady, znajdującej się w mieście Bac-Ninh'ie, porażony słońcem został nagle odwieziony, w niebezpieczeństwie życia, do szpitala. Że z drugiej strony, ponieważ niejaki kapitan Plessier z Legii Cudzoziemskiej odkrył przypadkiem podczas rekonesansu potężną i znakomicie ufortyfikowaną jaskinię zbójców w okolich Hu-Thue, która zawiera przeszło dwa tysiące powstańców, uzbrojonych w doskonałą broń systemu Winchestra, Remingtona i Grasa, przeto naczelny wódz prosi generała Bourgey'a, ażeby dowództwo swej brygady oddał najstarszemu pułkownikowi, a sam osobiście przeniósł się do Bac-Ninhu i tam, na miejscu kierował wyprawą przeciw jaskini Hu-Thue. W końcu dodano: „upraszam o pośpiech".

Po otrzymaniu tego rozkazu generał Bourgey kazał natychmiast zapakować swoje najpotrzebniejsze rzeczy, zabrał z sobą trzech służących, jednego

sekretarza, a w ostatniej chwili zapytał mnie czy nie chciałbym także z nim pojechać, nie wie bowiem czy rysownik topograf brygady Bac-Ninhu jest dostatecznie *expeditif*, ażeby zadośćuczynić wymaganiom, jakie przewiduje. Naturalnie, bez najmniejszego wahania, przyłączyłem się do generała. Tegoż dnia na noc wyjechaliśmy wszyscy parowym statkiem do Hanoï, gdzie generał, po zobaczeniu się z naczelnym wodzem i otrzymaniu odpowiednich instrukcyi, przeprawił się z nami na lewy brzeg rzeki Czerwonej, a potem ze zbrojną eskortą ruszyliśmy dalej. Na miejsce przybyliśmy nad wieczorem.

Brygada Bac-Ninh'u mieści się wewnątrz cytadeli, w tak zwanej „Królewskiej pagodzie". Ruch tam wielki, czuć w powietrzu wojnę! Zaraz na drugi dzień miałem przykrość asystować przy ścięciu czterech rozbójników... Każdy ze skazanych klęczy na ziemi, mając przywiązane z tyłu ręce do wbitego kołka; przed ścięciem, kat Annamita wygala im kark, poczem, każdy z nich po kolei nachyla głowę, a kat wielkim mieczem, za jednem uderzeniem, oddziela ją od tułowia w zupełności. Na ścięcie piraci idą z odwagą, apatycznie, bez najmniejszego pozornego wzruszenia! Po skończonej egzekucyi kat całuje trzy razy ociekający ze krwi miecz na dowód, że nie bierze żadnej odpowiedzialności moralnej w razie, jeżeli skazani byli niewinni!...

W kilka dni potem, w biurze wykonywałem mapę do mającej odbyć się wyprawy przeciw jaskini Hu-Thue. Z rozkazu, który leży przedemną, wi-

dzę, że wyprawa odbędzie się pod dowództwem podpułkownika *d'infanterie de marine* Winckel-Mayera (Alzatczyka) i składać się będzie z 27 oficerów, 300 żołnierzy Europejczyków, 250 strzelców tonkińskich, 125 artylerzystów i z 5 armat 80 milimetrowych. Wyprawa powinna wyruszyć ze wsi Kep dnia 19 grudnia.

Dnia 23 grudnia dowiedzieliśmy się ze smutkiem i z pewnym wstydem, że wyprawa się nie udała. Francuzi, straciwszy 2 oficerów i 63 żołnierzy zabitych zmuszeni byli ustąpić. Oto co pisze sam podpułkownik Winckel - Mayer do generała Bourgey'a:

„Dnia 22-go od godziny 1-ej do 5-ej wieczorem walczyliśmy z zawziętością na wszystkich punktach. Powstańcy nieprzerażeni wcale, ani bombami naszej artyleryi, ani salwami naszej piechoty, bronili z niesłychaną zaciekłością reduty, atakując jednocześnie nasz front, prawe skrzydło i nasze tyły. Trzy razy z rzędu lewa kolumna próbowała szturmować redutę i trzy razy, pomimo wysiłków energii i zuchwałej odwagi oficerów, oraz żołnierzy musiała się cofnąć. Ze wszech stron strzelano do nas bezustanku, z równą siłą i natężeniem jak w pierwszej chwili. Po czterech godzinach nieustraszonej walki, pragnąc uniknąć katastrofy, uważałem za stosowne usunąć się w stronę naszego fortu Nha-Nam, gdzie przepędzieliśmy noc całą na nogach. W forcie zostaliśmy tak nagle obskoczeni, że tylko zręczny odwrót zbawił nas od niezliczonych

strat. W tej potyczce mieliśmy do czynienia ze wszystkiemi bandami Tonkinu, które, oprócz reduty i fortu atakowanego przez nas, zajmowały całą seryę okopów, tworzących wewnątrz lasu silnie oszańcowany obóz. Powstańcy posiadają doskonałą organizacyę, nie są to, jak twierdzono, zbuntowani chłopi, lecz waleczni żołnierze, prowadzeni przez prawdziwych wodzów! Trzy razy, podczas bitwy, głos rogów chińskich dawał sygnał do ogólnego szturmu naszego *frontu i skrzydeł! Jaka jest ich* liczba? trudno mi określić, lecz jestem gruntownie przekonany, że, pragnąc zdobyć atakowaną pozycyę, potrzeba będzie rozpocząć prawdziwą blokadę".

W końcu raportu, podpułkownik dodaje następujący ciekawy epilog tej potyczki: Dnia 26 grudnia, o świcie żołnierz stojący na pikiecie w forcie Nham-Nam oznajmił mi, że na 500 metrów od wału fortu powiewa biała chorągiew; do tyczki był przywiązany list, którego tłomaczenie niżej podaję:

„Mandaryn De-Than, gubernator prowincyi Bac-Ninhu, naczelnik awangardy powstańców Annamu, do Naczelnego wodza sił zbrojnych francuskich. Niema nic wyższego na świecie jak sprawiedliwość. Wdzięczność i wierność wytwarzają siłę i zaufanie. Jeżeli człowiek nie potrafi ocenić oddawanych usług, jeżeli zaniedbuje zasady zdrowego rozsądku, to, pomimo wielkiej armii, zawsze zostanie słabym. Jeżeli, przeciwnie, dotrzymuje danej obietnicy i sprawiedliwie wynagradza zasłużonych,

to jego żołnierze, chociaż w małej liczbie, posiadając wiarę i zaufanie, stają się niezwyciężonymi".

„Niegdyś Francya i Annam żyły w dobrej zgodzie. Na podstawie wzajemnej umowy Francya otrzymała prawo prowadzenia wolnego handlu w kraju, a jej misyonarze swobodnie rozwijali i wpajali zasady chrześcijańskie. Niestety, wasza misja, kierując się egoizmem, poczęła nieludzko eksploatować nasz naród, wyprowadziła go z cierpliwości tak, że pewnego dnia wszyscy misjonarze zostali wyrżnięci aż do ostatniego! Rząd francuski, wcale nie analizując kwestyi, skorzystał z tego wydarzenia, nazwał nas wobec Zachodu barbarzyńcami, przysłał siły zbrojne i zagarnął naprzód królestwo tonkińskie, a potem Annam".

„Francya, która jest uważana na Zachodzie za państwo Światła, nie może być tak naiwną, ażeby sądziła, że siłą zbrojną rozwinie uczucie sympatyi i wiernopoddaństwo naszego narodu! Uczucie patrjotyzmu jest potężną sprężyną, dla której brutalna siła służy jako pięść ją przyciskająca; gdy pięść usuniesz, sprężyna wyprostuje się z większem jeszcze natężeniem".

„Francya jest uważana na zachodzie jako państwo bogate, dlaczego więc dąży do rabowania cudzego, naszego dobra? Nie, Francya żyje fałszem i dlatego zginąć musi!

„Wróćcie przeto do waszego ogniska rodzinnego i zostawcie nasze dziewicze lasy, nasze stepy, naszą biedę i nędzę w spokoju, bo jeżeli wasz Bóg

kieruje się sprawiedliwością, to, postępując w ten sposób, nigdy nie przerobicie Annamity na przyjaciela Francyi! Im dłużej będziecie nas męczyli, tem smutniejszy będzie wasz odwrót!“

Podpisano: *De-Than*“.

List ten tchnął wielką prawdą, ale, niestety, powstańcy, zmięszani z przestępcami wszelkiego rodzaju, kradli, palili, rabowali, mordowali uciemiężali własnych rodaków, budząc przez swe niezliczone, straszne zbrodnie ogólny postrach w całym Tonkinie; ich postępowanie nie zgadzało się z wygłaszanemi pięknemi teorjami. Rząd Protektoratu, niechcąc jednak powiększać nienawiści ku sobie, zawsze segregował niewolników na dwie kategorje: 1⁰ na patryotów, którym pozwalał wybierać miejsce osiedlenia pod nadzorem policyi i 2⁰ na rozbójników, których skazywał na karę śmierci.

Po odwrocie podpułkownika Winckel-Mayera, naczelny wódz wojsk francuskich postanowił wzmocnić siły zbrojne, zebrane obecnie w Bac-Ninhie i jeszcze raz uderzyć na nieprzyjaciela, zastosowując w tej nowej wyprawie środki regularnego oblężenia. Wojska miały wyruszyć z Bac-Ninhu 1-go stycznia, pod dowództwem pułkownika... Frey'a! Tak, pułkownika Frey'a. Absolutna dla mnie niespodzianka! Okazało się, jak się później dowiedziałem od kapitana Sicre'a, że pułkownik Frey, który opuścił Sontay w celu powrotu do Francyi, przyjechawszy do Haïphong'u, czuł się tak osłabiony, że doktorzy nie radzili mu puszczać się w daleką po-

dróż i proponowali, ażeby tymczasowo udał się do Japonii! Co się też i stało; pułkownik Frey, w 8 dni po wyjeździe z Haïphongu, ocknął się nagle w szpitalu francuskim w Nagasaki, gdzie zdrowy klimat i umiarkowana temperatura, wkrótce postawiły go na nogi. Przyszedłszy do zdrowia po paromiesięcznym wypoczynku i dowiedziawszy się o rozruchach w Tonkinie oraz projektowanej wyprawie, nie mógł się pohamować, natychmiast powrócił do Hanoï i oddał się na usługi naczelnego wodza!

Gdy przyjechał do Bac-Ninhu z kapitanem Sicrem, radość moja nie miała granic, zdawało mi się, że witam najbliższych krewnych! Kapitan Sicre namawiał mnie, ażebym wyruszył razem z nimi na wyprawę. Na chęciach mi nie zbywało, tembardziej, że pomimo prawie pięcioletniej służby, nigdy jeszcze nie słyszałem świstu kul nieprzyjacielskich, ale kwestya nie zależała wyłącznie odemnie. Służąc bezpośrednio pod rozkazami generała Bourgey'a, musiałem działać delikatnie, jednem bowiem słowem „non" *generał mógł rozproszyć wszystkie moje marzenia!* Kapitan Sicre obiecał wziąć rzecz na siebie; liczył na protekcyę pułkownika Frey'a i kapitana Lecreux, czekał stanowczej chwili, ażeby całą sprawę należycie przedstawić.

Na dwa dni przed wyjazdem pułkownika Frey'a, gdym wykończył rysunki dla nowej wyprawy, generał podszedł ku mnie i, klepiąc mnie po ramieniu, odezwał się w te słowa.

— No i cóż Krajkowski? Słyszałem, że pragniesz jechać na plac bitwy. Bardzo to pięknie, nie widzę żadnych przeszkód; owszem jedź z Bogiem! Żałuję tylko, żeś się wprost nie zwrócił do mnie, nie sądziłem, żebym w tobie wzbudzał postrach.

Po tej wymówce oddalił się, a ja, cały zarumieniony, nie umiałem znaleźć słowa, ażeby go przeprosić.

W dzień Nowego Roku, o 4 rano, wyruszyliśmy w drogę, w kierunku wsi Luc - Hoa, gdzie pułkownik ulokował swoją główną kwaterę, oraz oddział wojska, przeznaczony na rezerwę generalną. Inne siły były podzielone na dwie grupy, z których każda atakowała pozycyę od frontu i od lewej strony, pozostając przytem w ciągłej komunikacyi między sobą. Rezerwa, zostająca pod bezpośredniem dowództwem pułkownika Frey'a, miała jako cel działać na tyłach nieprzyjaciela oraz ewentualnie wzmacniać pierwszą lub drugą grupę.

Kapitan Sicre, nie chcąc mnie odrazu wystawiać na pewną śmierć, lub na groźne niebezpieczeństwo, kierował moją osobą z dnia na dzień, wzmacniając stopniowo moje wrażenia. I tak, 2-go i 3-go stycznia pracowałem w sztabie; 4-go i 5-go na tyłach armii, przy zapasach amunicyi i żywności; 6-go przy ambulansach; 7-go i 8-go brałem udział czynny w oddziale rezerwy; w końcu 9-go, 10-go i 11-go w drugiej grupie, atakującej nieprzyjaciela od frontu,

Dnia 2 stycznia, skoro rozdzielone wojska zajęły przeznaczone sobie pozycje, pułkownik zwołał do sztabu na konferencyę wszystkich oficerów, którym wyłożył ogólny plan operacyi, oraz detaliczne rozkazy na dzień następny.

Polem bitwy był olbrzymi, niemal dziewiczy bór, ciemny, ponury, tajemniczy, usłany zbójeckiemi jaskiniami, który, pokrywając gęsto seryę wzgórz i pagórków, ciągnących się bez końca w stronę granicy chińskiej, przedstawiał prawdziwe gniazdo śmierci!

Nigdy jeszcze w życiu nie widziałem podobnego boru! Dotąd spotykane lasy bambusowe, powiewne jak pęki strusich piór, lekkie, figlarne, wiecznie uśmiechnięte, zawsze mile pociągały mnie ku *sobie; ufortyfikowany bór zbójców z Hu-Thue* odpychał i przestraszał!... Wszystko w nim było nieznane: drzewa żelazne, potężne jak dęby, twarde jak kamień, nie dające się naciąć zwyczajnym toporem (bogaci mandaryni z tego drzewa każą sobie budować trumny, bo robaki ich nie toczą), drzewa hebanowe, palisandrowe, drzewa pachnące, jako to: kamforowe i santalowe, wspaniałe banany, które wypuszczają setkami prostopadłych gałęzi, tworzą jakby naturalne cieniste nawy kościelne, o niezliczonych kolumnadach; olbrzymie fikusy o krwawym kwiecie, kolosalne mangi, żyjące po lat kilkaset, pokryte grubym mchem i delikatnymi storczykami i t. p.

Pod opieką tych olbrzymów rosną rozmaite palmy, z których palma cyka, w kształcie fontanny

i palma „podróżników“, w kształcie wachlarza, zwracają najwięcej uwagi; wreszcie banany, ibiskusy, magnolja, pompelmusy i drzewa chlebowe dopełniają zbioru, który, połączony bluszczem, powojem i rożnoroduymi tysiącznymi lianami, tworzy prawie niedostępny kołtun flory podzwrotnikowej! W tem okazałem i zarazem dzikiem otoczeniu gnieżdżą się białe pawie, zielone papugi, małpy, jelenie, tygrysy i zbójeckie bandy, otoczone szańcami!...

Do sztabu co chwila wpadają różni oficerowie z sekretnemi nowinami—a także na małych rażnych konikach, kawalerzyści anamscy z otrzymanymi rozkazami; z pola bitwy przyprowadzają szpiegów, niewolników, parlamentarzy etc.; ruch wielki! Czasami sam pułkownik dosiada konia i wyrusza ze sztabem na pozycję, ażeby zdać sobie sprawę z położenia osobiście, lub zachęcić słowem i swoją obecnością upadających na siłach! Zdala, pod lasem, widać dym i ogień palących się traw, słychać wybuchy dynamitu, huk toporów, syk pił, trzask walących się drzew wyrąbywanego przez nas boru! Zbójcy nie odpowiadają, obserwują, siedzą cicho, jakby ich nie było!...

Dnia 4, lepiąc na tyłach armii piece dla pieczywa chleba, usłyszałem po raz pierwszy wystrzały naszych armat, a nad wieczorem strzelaninę ręcznej broni z obydwóch stron. Przez całą noc słychać było w głębi boru trąby chińskie, zwołujące wszystkie siły zbójeckie do obrony; piraci strzelali jeszcze do późnej godziny, ale nasi zgodnie z rozkazem pułkownika, nie odpowiadali wcale.

Siódmego stycznia przeniosłem się do oddziału rezerwy, zostającej pod dowództwem kapitana Tetard'a. Wręczono mi sekcyę strzelców annamskich, na miejsce jednego z kolegów, który w wilję dnia, będąc zraniony w nogę, został odniesiony do ambulansu. Oddział rezerwy, złożony z 300 ludzi i 2 armat, wyruszył o świcie z Luc-Hoa, postępując zwolna, człowiek za człowiekiem, wązką ścieżką, naprzód po szczycie gołych skał, a następnie ciemnym lasem. Po drodze spotykaliśmy opuszczone przez piratów okopy; na jednym z nich leżał, wyciągnięty twarzą do nieba, zabity pirat; widocznie nie zdążono go uprzątnąć; kula armatnia wyrwała mu wnętrzności, które leżały rozrzucone naokoło trupa.

Doszedłszy do rzeczki Ngoj-Sat, kapitan Tetard wysłał naprzód na brzeg przeciwny jedną sekcję strzelców, poczem przeprawiano armaty. Podczas tej przeprawy reszta wojska wyciągnięta w długą nitkę na ścieżce, klęcząc, czekała swojej kolei; przeprawa odbywała się sekcjami, ja dowodziłem 3-cią sekcją. Przed nami rozlegało się szerokie błoto, pokryte trzciną, w której zgromadzone ptactwo kąpało się, świergocąc wesoło; za błotem, w odległości 300 metrów od nas, kilka pagórków, osłanych gęstym krzakiem, dopełniało pejzażu. Kiedy tak spokojnie czekamy, na przeciwnej stronie błota wyskakuje nagle z poza pagórków kilkuset piratów! Kłaniają się nam z przesadną uprzejmością, poczem jeden z nich zaczyna przez długą tubę krzyczeć po annamsku:

— Strzelcy annamscy, pochylcie głowy, bo zaraz damy ognia do barbarzyńców! Przejdźcie do nas, nic złego wam nie uczynimy! My tylko Francuzów wybić pragniemy! Za każdą głowę żołnierza otrzymacie 50 piastrów (50 rubli), a za głowę oficera 100 piastrów!

W parę sekund potem piraci zaczęli gwałtownie strzelać. Kule tak świstały naokoło mej głowy, że w pierwszej chwili stałem jak ogłupiały. Świst ten przypominał szelest przelatującego stada pszczół i, samochcąc, kiwałem głową w rozmaite strony. Inni, którzy również znajdowali się po raz pierwszy na placu bitwy, robili też same ruchy, dopóki nasz kapitan, stojący nieustraszenie na koniu, nie zaczął na nas krzyczeć:

— Wstyd, ażeby się kłaniać kulom nieprzyjacielskim! — Poczem zakomenderował donośnym głosem:

— Ogniа sekcjami!

— Ognia!—powtórzyłem nieco drżącym głosem, a serce dygotało mi ze wzruszenia.

Obok mnie padło dwóch strzelców zabitych. Jeden z nich pochylił tylko głowę, pozostając w pozycyi siedzącej, jak przedtem, nawet swej broni nie wypuścił z ręki; a drugi, podskoczywszy, zakręcił się dwa razy na miejscu jak fryga i upadł ciężko u nóg moich! Na widok trupów pierwsze moje wrażenie rozwiało się bez śladu! Stałem spokojnie, apatycznie, komenderując dalej. Podporucznik, znajdujący się za mną, nagle przysiadł, klnąc na czem świat stoi, dostał kulą w nogę.

Piraci strzelali jeszcze może z 10 minut, poczem, zatrąbiwszy do odwrotu, usunęli się w głąb lasu. Nasi zaś żołnierze strzelali wciąż dalej, strzelali z taką zażartością, że nie można było ich powstrzymać; zupełnie stracili zimną krew. Widocznie, że potrzebowali słyszeć huk własnej broni i czuć zapach prochu, ażeby się na miejscu utrzymać. Trzeba było niemal każdego z osobna brać i wstrząsać za ramię, ażeby ich przyprowadzić do normalnego stanu i wytłomaczyć, że nieprzyjaciela już dawno niema przed nami. Patrzyli na mnie przerażonemi oczyma, jakby przebudzeni ze snu...

Po przeprawieniu się na drugą stronę rzeczki przejrzano broń, zrobiono apel: brakowało 44-ch, *z których 12 zabitych i 32 rannych!* Wozy ambulansowe zabrały jednych i drugich, unosząc ich na tyły armii.

Na drugi dzień zajęliśmy znakomitą pozycję— położoną na drodze odwrotu nieprzyjaciela, ale niestety, tym razem nikt nie pojawił się na horyzoncie; dopiero nad wieczorem, gdyśmy zamierzali otoczyć wieś sąsiednią, zawierającą mnóstwo zapasów, piraci, spostrzegłszy nasz manewr, wieś podpalili, wieś spłonęła jak drzazga! Zapomniane we wsi psy, okrążone zbliżającymi się płomieniami, wyły z taką przerażającą rozpaczą, że serce ściskało nam się z bólu!...

Dnia 9-go moja sekcya, przerzedzona z powodu zabitych, rannych i chorych, została przyłączona do innych sekcyi, a mnie wysłano do drugiej grupy, pod dowództwo kapitana Guigné.

Odrazu przeniosłem się w głąb boru, w sam środek najgoręt̨szej walki! Stałem na wzgórzu obok artyleryi, mając 60 ludzi pod sobą; nieco niżej za nami stał kapitan Guigné i 200 strzelców; kapitan, dzielny oficer, prezentował się wspaniale; tęgi, barczysty, wysoki, twarz dziarska z pewnym odcieniem melancholii w oczach, prawdopodobnie z tęsknoty za żoną i dziećmi, które zostawił we Francyi.

O wpół do 11-ej, zaraz po mojem przybyciu, jedna z naszych armat, szczęśliwie nakierowana, wyrzuciła w powietrze prochownię piratów, znajdującą się w centrum fortecy Hu-Thue!

Słychać było gwar, krzyk, przekleństwa, nawoływanie trąb chińskich! Piraci widocznie ponieśli znaczne straty!

Chwila była stosowna do ataku, wypadało z niej korzystać.

Ale pozycyę naszą oddzielało od głównej fortecy kilka silnych szańców; trzeba było je zdobyć, ażeby módz się dostać do wnętrza jaskini. To też o 11-ej rano kapitan Guigné, nie tracąc czasu, daje sygnał „naprzód“! Dla uniknienia niepotrzebnych strat spadamy z ogromną szybkością jak stado ptaków na dno wąwozu; tam, przysiadłszy, odpoczywamy parę minut, poczem z nową energią pchamy się w górę, w stronę szańców! Na 200 kroków od pierwszego wału, wycieńczeni, przysiadamy ponownie; z całą zawziętością strzelamy w kierunku okopów, ale nieprzyjaciel nic odpowiada wcale na nasz ogień. Kapitan Guigné daje znak świstawką, aże-

by zaprzestać strzelania; sam zaś wysuwa się naprzód, obserwuje pozycyę przez lornetę, lecz nie spostrzega najmniejszego śladu życia... Przekonany, że piraci opuścili szańce, komenderuje donośnym głosem:

— Na bagnety, naprzód, hurra!...

Nakładamy z pośpiechem bagnety, trębacze trąbią do szturmu, kapitan, wywijając pałaszem, mazeruje na parę kroków przed nami; podążamy za nim, pełni wiary i zapału, najprzód wolno, potem *coraz prędzej*, podług taktu słyszanej muzyki! Jesteśmy już tylko na 100 kroków, jeszcze minutę a ockniemy się na wałach! Serce nam wali jak młotem, oczy błyszczą ze wzruszenia, zbliżamy się ciągle naprzód!...

Naraz w szańcach słychać trzask i krzyki!... Piraci, wyczekujący dotąd z przykładną cierpliwością, dają salwą do nas ognia z taką straszną siłą, obsypują nas tak obficie kulami, że w mgnieniu oka jedna trzecia naszych ludzi zostaje na miejscu. Pierwszy zabity pada kapitan Guigné, otrzymawszy 3 kule w piersi; po nim padają inni! Porucznik Bestagne, mając obydwie nogi zdruzgotane, oblany krwią stacza się na dno wąwozu!... Żołnierze stoją jak wryci, przerażenie maluje się na wszystkich twarzach! Po śmierci kapitana, porucznika i innych starszych kolegów, wypada na mnie kolej objąć ogólne dowództwo... Doskakuję do ciała kapitana, zrywam z ciepłego jeszcze trupa kapitańską świstawkę i daję sygnał, ażeby wszyscy położyli się plackiem na ziemi!

Czekam parę minut, poczem tłomaczę strzelcom, leżącym obok, że gdy dam nowy znak świstawką, wszyscy zaczną posuwać się naprzód, ale, pełzając po ziemi, żeby nikt nie wystawiał się na ogień, aż do ostatniej chwili! Preskrypcyę moją każę podać dalej, na całą rotę, mówiąc, że kapitan tak rozkazał przed śmiercią, trzeba go słuchać, bo inaczej to wszyscy zginiemy co do jednego!

Wolniutko posuwamy się coraz, coraz bliżej; piraci przestają strzelać. W pół godziny cała rota ocknęła się tuż pod wałem pierwszego szańca, cisza jak w nocy. Daję nowy sygnał! Z wielkimi okrzykami rzucamy się na okopy, w szańcach — żywej duszy! Piraci, widząc niebezpieczeństwo, usunęli się pośpiesznie do głównej fortecy!...

Natychmiast zająłem przednie szańce, przygotowany do dalszej walki, do nowego napadu lub zasadzki ze strony piratów; wysłałem kilku ludzi do pułkownika z raportem, oznajmiając mu o śmierci kapitana i o zdobyciu szańców, oraz prosząc go o pomoc; wreszcie sześciu strzelców z kapralem odkomenderowałem na plac bitwy dla poszukiwania rannych. Tak, piraci najwyraźniej zostali przerażeni naszą zaciętością i opuścili pozycyę w ostatniej chwili. Tu i owdzie stały jeszcze gorące garnki na ogniu z zupą, z której nasi strzelcy chętnie skorzystali.

O 3-ej po południu przybył na pozycyę pułkownik z całym sztabem. Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami.

Pułkownik, ściskając mi ręce, winszował zimnej krwi i energii, oraz nadzwyczaj się cieszył, że tę pozycyę ostatecznie zajęliśmy. Naznaczył nowych dwóch oficerów na miejsce zabitych i kazał przysłać stu ludzi jako posiłki.

Jutro, o świcie wszystkie wojska mają z trzech stron atakować główną fortecę Hu-Thué. Pułkownik da znak do szturmu potrójnym wystrzałem armatnim wraz z rakietami, a dzisiaj artylerya będzie w dalszym ciągu bombardowała nieprzyjacielską pozycyę aż do zachodu słońca!

Wieczorem jeden z kaprali strzelców, dawny wódz piratów, któremu Francya za przyrzeczoną wierność darowała życie, przyszedł dać znać kapitanowi, że główna forteca zbójów leży ukryta w gąszczu na 500 metrów od naszych szańców, że w danym kierunku znajduje się olbrzymi wyłom w okopach, spowodowany bombardowaniem i że jaskinia jest zajęta przez kilkuset uzbrojonych zbójów. Wiadomość o wyłomie posiadała wysoką doniosłość, znacznie bowiem mogła ułatwić nasz jutrzejszy szturm.

Ale kapitan, mając mało zaufania do ex-pirata, pragnął tę ważną wiadomość sprawdzić przez jednego z podoficerów. Ponieważ nocna wyprawa przedstawiała szalone niebezpieczeństwo, a między Europejczykami nie znalazł ochotników, zebrał więc nas wszystkich do swego namiotu i kazał ciągnąć losy! Los wypadł na mnie!... Przeznaczenie przyjąłem bez wzruszenia, chociaż i bez zapału; przez

miłość własną nie śmiałem tłomaczyć kapitanowi, że, wysyłając mnie samego z ex-piratem, może mnie naraża na pewną śmierć; obawiałem się, żeby mnie nie podejrzewał o tchórzostwo. Zacząłem więc śmiać się oraz dowcipkować z pogrzebowych min moich kolegów, obiecując przytem kapitanowi dostarczyć wszelkich wiadomości. O 11-ej w nocy, spokojny na pozór, wypiłem lampkę wina, uzbroiłem się w baguet, w rewolwer, w lornetkę i w pęk białych szmat, potrzebnych do oznaczenia przebywanej drogi, poczem, pożegnawszy wszystkich kolegów, puściłem się z dawnym piratem w oznaczonym kierunku!...

Wierzyłem w moją gwiazdę! Na wojnie miłość własna, obrona osobista i głęboka wiara w przeznaczenie są, podług mnie, jedynymi czynnikami, które podtrzymują moralną siłę żołnierza wobec śmierci. Odwaga jest tylko pozą, jest wymuszonym rezultatem trzech wymienionych czynników, bo wszystko, co żyje, boi się śmierci i tylko chorzy moralnie jej poszukują...

Z początku przedzieraliśmy się przez dziewicze liany powoli, ostrożnie, krok za krokiem, z wielkiemi trudnościami. Tu i owdzie zawieszałem białe szmaty dla wskazania drogi. Nów księżyca za chmurami blado oświecał bór. Po dziesięciu minutach natrafiliśmy na ścieżkę.

Nagle z prawej strony coś się poruszyło. Wstrzymując oddech spojrzeliśmy po sobie i jednocześnie obnażyliśmy bagnety, gotowi do obrony. Na szczęście był to tylko spłoszony paw.

Mój towarzysz radził, ażebym schował kepi oraz przewrócił mundur na lewą stronę dla ukrycia, na wszelki wypadek, świecących guzików i galonów; miał racyę, uczyniłem jak mówił. Ścieżką posuwaliśmy się dosyć szybko ze 20 minut, następnie wkroczyliśmy w prawdziwy ciemny bór, złożony ze stuletnich potężnych drzew, a ponieważ ścieżka zniknęła więc co chwilę kładłem białe sznaty na ziemię.

Po niejakimś czasie usłyszelismy rżenie konia, płacz dzieci, oraz poczęliśmy rozróżniać dość wyraźnie różne głosy ludzkie; znajdowaliśmy się bardzo blisko pozycyi nieprzyjacielskiej. Teraz, kryjąc się po za drzewami, przebiegaliśmy zygzakiem z miejsca na miejsce coraz bliżej! Wreszcie bór się skończył: przed nami leżała zupełnie wyrąbana, równa łąka, usłana rozmaitemi sztucznemi przeszkodami, a w głębi, na 100 metrów od nas, sterczały okopy fortecy. Mój towarzysz nie kłamał; rzeczywiście, na lewo istniał szeroki wyłom, nadający się doskonale do *szturmu!* Przez lornetkę dokładnie mogłem rozpoznawać nawet twarze zbójców; niektórzy grali w kości, były nawet kobiety i dzieci; rozmawiali dosyć głośno, pomimo późnej godziny, ale jaka ilość? trudno określić, tembardziej, że wszyscy prawie spali.

Na wałach stał jeden zbój na warcie; w lewej ręce trzymał rewolwer, a w prawej wachlarz, którym ciągle poruszał.

Patrzał w naszą stronę długo i uporczywie; może nas spostrzegł? Dlaczego nie strzelał? Praw-

dopodobnie nie chciał budzić całego obozu dla dwóch tylko wrogów...

O 1-ej po północy byłem z powrotem w szańcach! Odraportowałem kapitanowi; kapitan mnie ucałował, ex-pirata również i kazał iść spać. Koledzy nie mogli wyjść z podziwienia, uważali mnie za straconego. Pomimo znużenia, nie mogłem wcale zasnąć; byłem rozgorączkowany, pragnienie gasiłem czarną kawą. O 4-ej rano umówione armatnie wystrzały zerwały nas na równe nogi! Ostatnia chwila nadeszła! Kapitan zadecydował, że na dany sygnał poprowadzę rotę do wałów! Tym razem powierzył mi 20 ludzi i kaprala Francuza, niejakiego Poulnot, chłopaka pełnego ognia i energii. Maszerowałem naprzód na zwiady, jako szpic awangardy, na 100 kroków przed rotą. Co chwilę dawałem krótkie sygnały świstawką, ażeby się nie zgubić. Gdyśmy ujrzeli wały forteczne, kapitan przyłączył się do nas. W fortecy absolutna cisza, tak jak wczoraj przed szańcami. Piraci widocznie czekali aż wkroczymy na otwartą przestrzeń, ażeby nas potem nagle oblać śmiercią!... Kapitan czas jakiś wahał się; nie chciał narażać swej roty; oczekiwał szturmu innych grup; sądził, że przybyliśmy na teren zawcześnie!...

Nieco rozdrażniony powiedziałem, że może inne grupy również czekają na nas... Trzeba zrobić początek!

Dotknięty mojemi słowami, wydał rozkaz, ażeby awangarda puściła się naprzód! Nieczekając dłużej, ja, Poulnot i dawny pirat, z okrzykami zwy-

cięstwa, wpadliśmy do fortecy! Za nami pobiegli inni! Forteca była opuszczona! Mała garstka piratów, ariergarda, uciekając dała do nas ognia, ale za wysoko: nikt nie został tknięty! W fortecy, oprócz starej baby idjotki, ranionego konia i nawpół pogrzebanych trupów, rota nic więcej nie znalazła... Po kwadransie inne grupy również zbliżyły się do fortecy, ale, biorąc nas za zbójów, poczęły do nas strzelać ze wszystkich stron... Musieliśmy się chować, krzyczeć i trąbić, żeby dać im poznać, że forteca jest już zajęta przez swoich! W końcu wystawiliśmy białą chorągiew!

W ten sposób zakończyła się nasza wyprawa do Ien-The. Pułkownik Frey, pozostawiwszy odpowiednie instrukcye, wyjechał na drugi dzień do Bac-Ninhu, gdzie objął dowództwo brygady. Generał Bourgey powrócił do Sontayu, a ja, przyjechawszy do Hanoï, po przebytych wrażeniach i zmęczeniu, dostałem takiej febry, że musiałem pójść na miesiąc do szpitala.

Po powrocie do zdrowia, gdym pojawił się znów w brygadzie, generał Bourgey powitał mnie nadzwyczaj serdecznie, zaprosił dnia następnego na obiad oficyalny, a dawni koledzy obserwowali mnie z pewnym szacunkiem jako bohatera. Czułem wszędzie w okrążającej mnie atmosferze ogromną zmianę na moją korzyść. Coś drgało w powietrzu, o czem nie wiedziałem.

Dnia następnego, podczas gwarnego obiadu, gdy na deser podano szampańskie, generał Bourgey,

wstawszy z kieliszkiem w ręce, przemówił do obecnych w te słowa:

— Panowie! Zebrałem was tu dla uczczenia jednego z naszych bohaterów! Na podstawie kablogramu, który otrzymałem przed tygodniem od ministra wojny, wznoszę toast za zdrowie nowozamianowanego podporucznika armii francuskiej, p. Władysława Krajkowskiego! Niech żyje Francya!

W oczach mi się zaćmiło. Nie chciałem uszom wierzyć...

Głęboko wzruszony podszedłem do generała, który mnie schwycił w swoje objęcia!... Ze wszech stron poczęto mi winszować! Ciche łzy radości spływały mi po twarzy... Stary podpułkownik Lanegrasse zbliżył się również ku mnie, krzycząc wesoło:

— Niech żyją Polacy!

VI.

Powrót.

Okręt, na którym wracam do Francyi, nazywa się „Tourane". Jest to jeden z największych statków kuryerskich towarzystwa francuskiego „Messagerie Maritime", odbywający regularne podróże między Marsylią i Yokohamą. Przepych nadzwyczajny, szczególnie w 1-ej klasie, gdzie, *jako oficer* mam zaszczyt być ulokowanym. Jadę do wojennego portu Cherbourga, do 1-go pułku d'Infanterie de marine, do którego minister mnie naznaczył.

Dziś upływa dwa tygodnie od chwili, kiedy opuściłem brzegi Annamu! I znów bujam po oceanie Indyjskim, jak niegdyś, parę lat temu, lecz z jakże odmiennemi myślami! Najprzód czuję potężne zadowolenie z samego siebie, z tego, że, przybywszy do Francyi niemal piechotą, bez grosza,

bez znajomości języka, dobiłem się po 5-ciu i pół latach służby i, dzięki osobistej pracy, zaszczytnego stanowiska. Następnie że naród, któremu zamierzam służyć, odznacza się uczciwością, zacnością, pracowitością i dobrocią serca, że tak godnie obszedł się ze mną i potrafił ocenić moją dla niego pracę i dobre chęci; wszystko to dodaje mi otuchy do dalszego życia i pozwala patrzeć różowo w przyszłość!

Rzeczpospolita francuska jest może jedynem państwem na kuli ziemskiej, gdzie „człowiek“ czuje się człowiekiem, gdzie każdy, spełniający uczciwie swój obowiązek, ma prawo, bez względu na pochodzenie i stan, otwarcie dopominać się o sprawiedliwość i *otrzymuje ją!* Jest to zarazem naród, który, dzięki swobodzie słowa, krytykuje najwięcej swój własny kraj, pomimo, że go kocha bez granic! To też cudzoziemcy, którzy oceniają Francyę na podstawie francuskich gazet i romansów, nie znają jej wcale. Trzeba tu żyć i nie w kosmopolitycznym Paryżu, lecz w sercu Francyi, w jej armii, przez którą cały naród przechodzi, ażeby go módz należycie ocenić!..

Kilka dni temu „Tourane“ okrył się żałobą. Jeden z kolegów, operowany przed wyjazdem z Haïphongu na wrzód w wątrobie, zakończył życie. Ażeby nie sprawiać przykrego wrażenia na pasażerach, tylko najbliżsi koledzy wiedzieli o śmierci, a sam pogrzeb odbył się w nocy. Ponieważ na francuskich okrętach od niejakiegoś czasu znieśli kapelanów okrętowych, a zmarły był zagorzałym

katolikiem, przeto postarano się odmówić kilka modlitw przed pochowaniem jego ciała. Na szczęście, znaleziono między żołnierzami Legii Cudzoziemskiej pewnego kaprala, który przed wstąpieniem do wojska francuskiego spełniał funkcye proboszcza w jednym z kościołów w Belgii. Pogrzeb na pełnem morzu tchnie przygnębiającym smutkiem. Za dnia obszyli ciało zmarłego w płótno żaglowe i przywiązali do nóg ciężki kawał żelaza, ażeby trup nie pływał na powierzchni wody. Następnie, około północy, po odmówieniu modlitw przez kaprala exproboszcza i pacierzy przez obecnych kolegów, przymocowali ciało do dwóch długich sznurów. Na znak, dany przez kapitana okrętu, statek zatrzymał się na chwilę, majtkowie spuścili ciało do morza, rzucili sznury i zaraz potem okręt popłynął dalej. Oto wszystko!... Rodzina nieszczęsnego kolegi, która z niecierpliwością oczekuje jego przybycia do Marsylii, dowie się o utracie syna dopiero za dwa tygodnie, gdy statek dobije do brzegów Francyi! Dowie się, że cierpiał samotny, że umarł i że był pochowany hen, hen daleko, w głębinach oceanu bez krzyża, bez najmniejszego śladu... W Bretanji i Normandji, gdzie tylu biednych rybaków ginie rok rocznie podczas połowu ryb i sardynek, istnieje wzruszający zwyczaj: Pozostałe rodziny po rozbitkach morskich zbierają się na brzegach w dzień Zaduszny i rzucają na pełne morze żałobne wieńce i kwiaty, przeznaczone dla tych, którzy spoczywają na wieki na dnie nielitościwego oceanu.

Życie na morzu kołysze się jak okręt, topiąc

w jego głębi przeróżne wrażenia: Wczoraj, w niedzielę, pasażerowie drugiej klasy, dzięki inicyatywie pewnej kapitanowej, zrobili nam miłą niespodziankę. Wieczorem, podczas obiadu, spostrzegliśmy na końcu codziennego „menu“ grubo wypisana następujące litery T. S. V. P., co oznacza „tourrons'il vous plait“. I rzeczywiście, na odwrotnej stronie menu znaleźliśmy program przedstawienia i koncertu muzykalno-wokalnego, mającego się odbyć tegoż dnia, zaraz po obiedzie, t. j. o godzinie 9-ej.

Przedstawienie i koncert, dzięki panu Robinral, dyrektorowi teatru Saigońskiego, znakomicie się udały, a po koncercie tańczyliśmy wszyscy ochoczo aż do 4-ej rano, chwili, w której załoga okrętowa codziennie zaczyna szorowanie statku! O zmarłym koledze nikt nawet nie wspomniał. Tak to bywa na świecie; gdy kto umrze, wszyscy się smucą i łzy ronią, ale, gdyby po kilku dniach nieodżałowany nieboszczyk zmartwychwstał, to obecność jego wprawiłaby świat w ogromny ambaras, bo wszyscy, wykreśliwszy go z listy żyjących, ułożyli sobie odpowiednie plany i projekty; społeczeństwo zastąpiło go już przez innego... jednem słowem, dla niego niema więcej miejsca...

W tej chwili okręt przejeżdża między wyspą Sokotorą i dwiema wysepkami noszącemi nazwę „Dwóch Braci“. „Bracia“ mają wygląd dwóch olbrzymich pancerników, wykutych z kamienia i przerażają podróżnych swojem opustoszeniem. Ten sam charakter na wyspie Sokotora: najmniejszego drzew-

ka, nic, oprócz rozpalonych skał i piasku. Płonność, śmierć, samotność i smutek bez granic!... A jednak na tej strasznej pustyni żyją ludzie—Somalisi, którzy kochają swój kraj i za nic w świecie nie zdecydowaliby się zamienić swoich gołych, opustoszałych skał na rozkoszne brzegi Nicei, lub wiecznie ożywioną i uśmiechniętą Szwajcarję!...

Zdala widać kilka małych statków rybackich, których białe żagle odbijają wypukło na tle szafirowego morza i ciemnych brzegów wyspy. Przed nami długa, spieniona struga wrzącego od pluskających się ryb morza, błyszczy zdaleka, a nad nią stado mew walczy z rybami. Obecność mew zwykle dowodzi o blizkości lądu, chociaż parę dni temu spotkaliśmy trzy mewy, może zbłąkane na pełnym oceanie. Sokotora i Dwóch Braci nie posiadają latarni morskich. Smutek, okrążający te trzy, oddalone od całego świata wyspy, jest tak mało zachęcający, że żadne państwo Europejskie dotąd nie wyraziło chęci zabrania ich pod opiekę; Somalisi cieszą się świętą wolnością i absolutną niezależnością. Z powodu częstych wypadków, okręty zwykle przepływają obok Sokotory w dzień biały, tembardziej, że w parę godzin później przejeżdżają obok przylądka Guardafuy, miejscowości bardzo niebezpiecznej przez marynarzy, wracających z oceanu.

A propos tego niebezpieczeństwa pewien kapitan opowiedział nam jedną ze swych tysiącznych przygód, która go właśnie spotkała w okolicach Guardafuy.

— Kilka lat temu—mówił kapitan—podróżując w tych stronach na okręcie „Chodok“, osiedliśmy na piasku. Wypadek pamiętam jak dzisiaj. Było to w czerwcu. Od kilku dni rozhukane morze miotało okrętem, pchając go bezprzestannie w stronę południa. Dnia 27 czerwca, około 6-ej wieczorem, zostawiliśmy na północ od nas wyspę Abd-el-Kury i popłynęliśmy w kierunku przylądka Guardafuy. Zmęczony całodziennym upałem, udałem się wcześnie do łóżka, lecz z powodu silnego kołysania się okrętu budziłem się co chwilę. Nareszcie, około godziny 2 rano, czuję nagle, że jakaś niezrozumiała siła wstrząsa gwałtownie całym okrętem i że ten najwyraźniej wrzyna się w ziemię. Wyskakuję na pomost i widzę nieszczęsnego kapitana okrętu, który wyrywa sobie włosy z głowy i oznajmia mi, że z przyczyny ciemnej nocy i mgły dobrze nie widział, że zmienił kierunek okrętu za wcześnie i że ostatecznie wpakował się na piasek! Na okręcie było przeszło 400 pasażerów. Wszystkie wysiłki w celu wycofania okrętu okazały się bezpłodne i trzeba było uważać okręt za zupełnie stracony. Część okrętu od strony morza tak się pochyliła silnie, że niepodobna było po niej chodzić, tembardziej, że co chwila wpadały na pokład bałwany, które zagarniały z sobą do rozhukanego morza wszystko, co było na drodze. Skoro świt dostrzegliśmy, na 200 metrów od nas, płaskie, piasczyste brzegi ziemi dzikich Somalisów, którzy, dowiedziawszy się o wypadku, przybiegli setkami ze wszystkich stron i oczekiwali na nas z nabitą bronią w ręku. Po krótkiej

naradzie zadecydowaliśmy wysłać łodzią na ląd pewnego podoficera Legji Cudzoziemskiej, znającego język arabski, z kilkoma ludźmi bez broni, ażeby spróbował parlamentować z dowódcą Somalisów. Somalisi, widząc nasze przygotowania, poczęli strzelać w powietrze, lecz wkrótce, przekonawszy się, że nasi parlamentarze są bezbronni, uspokoili się i czekali ich przybycia z całą powagą. Po powrocie parlamentarza dowiedzieliśmy się, że Somalisi pozwalają nam wylądować z trzema łodziami żywności i oprócz tego każdy pasażer będzie miał prawo zabrać z sobą ręczną walizkę; reszta zaś bagażów, towarów, żywności i w końcu cały okręt pozostanie w rękach Somalisów. Liczba uzbrojonych Somalisów wzrastała z każdą chwilą. Nie mając dosyć amunicyi, czuliśmy, że wszelka opozycja z naszej strony pogorszy tylko sytuację, przyjęliśmy więc proponowane warunki bez wielkiego targu. Rozłożyliśmy namioty z płótna żaglowego i w parę godzin potem zainstalowaliśmy się na pustyni, nie wiedząc co będzie dalej? Dowódca Somalisów rozdzielił zebranych swoich podwładnych na trzy bandy: pierwsza miała prawo grabić okręt do zachodu słońca; druga dnia następnego przez cały dzień, a trzecia, która nas strzegła, miała zabrać resztę. Zaczęła się grabież. Z bólem serca asystowaliśmy przy rozbijaniu naszych kufrów i przy roztrząsaniu naszej garderoby oraz różnych pamiątek, przywiezionych z dalekich stron... Na trzeci dzień rano, na horyzoncie dostrzegliśmy duży okręt zbliżający się w naszą stronę, a wkrótce przez lornet-

ki poznaliśmy, że statek płynie pod flagą rosyjską. Okręt także nas zauważył. Był to transport węgla ochotniczej floty rosyjskiej, noszący nazwę „Smolensk".

Kapitan tego statku, pan Trojan, zatrzymał okręt na kilometr od lądu i wysłał na brzeg małą parową szalupę na zwiady. Byliśmy zbawieni! Porucznik szalupy, pan Berenc, dowiedziawszy się o naszem pochodzeniu francuskiem, zadecydował zabrać nas na pokład i odstawić do najbliższego portu francuskiego, a nawet do Marsylii, gdyż właśnie w tamtą stronę podążał. Lecz ponieważ okręt, z powodu braku należnej głębokości, nie mógł się do nas przybliżyć, a z drugiej strony, wzburzone morze zbyt utrudniało przewóz w łodziach 400 pasażerów, przeto postanowiono, że na „Smolensk" wsiądziemy z drugiej strony przylądka, t. j. o 15 kilometrów od miejsca naszego rozbicia. W całej tej awanturze mieliśmy bardzo dużo szansy, bo zapasy żywności, z powodu ciągłych kradzieży przez Somalisów, zaczęły się nagle zmniejszać i zakończenie sprawy głodową śmiercią zdawało się być prawie nieuniknione. Po sprawdzeniu listy pasażerów, puściliśmy się uradowani z tłomoczkami przez pustynię na wschodni brzeg przylądka. Okropny upał zmuszał nas często do odpoczynku, tembardziej, że Somalisi na krok nas nie odstępowali i nieraz także musieliśmy czekać na opóźnionych, z obawy, ażeby ich zupełnie nie stracić. Na „Smolensku" przyjęto nas serdecznie i nadzwyczaj gościnnie. Wina szampańskiego i wszelkiej żywności było poddostatkiem,

z wyjątkiem węgla. Musieliśmy palić pod kotłem maszyny parowej rozmaite meble i deski, ażeby módz dojechać do portu Djibutti, skąd, w dziesięć dni później wylądowaliśmy, nieco podpici, w Marsylii".

Powracam jednak do opisu mojej podróży osobistej.

Nareszcie przepłynęliśmy Ocean Indyjski! Wczoraj na parę godzin zatrzymaliśmy się w porcie angielskim, Adenie. Forteca Aden, zbudowana na skałach Arabii, pozbawionych wszelkiej roślinności, broni wraz z fortecą Perim, położoną na wysepce tegoż nazwiska, wejścia z morza Czerwonego do Oceanu Indyjskiego. Pozycja strategiczna tej fortecy jest zupełnie taż sama, co pozycja Gibraltaru, która broni wejścia z morza Śródziemnego do Atlantyku. Anglicy, trzeba im oddać słuszność, potrafią najlepiej wybierać nadmorskie punkty strategiczne. W Adenie podróżnik nie wiele ma do roboty.

Jedna jedyna rzecz, godna uwagi, to olbrzymie cysterny, zbudowane podobno jeszcze za czasów rzymskich. Ponieważ w tym błogosławionym kraju deszcze spadają raz na kilka lat, przeto cysterny mają na celu gromadzenie wody deszczowej, jako zapas na lata suszy. Podczas naszej wizyty, rządca cystern powiadał, że już nie padało od lat czterech, to też wszystkie cysterny znaleźliśmy suchuteńkie. Cysterny, zbudowane w formie amfiteatru, znajdują się na parę kilometrów za miastem i są bardzo starannie utrzymywane przez tutejszą

władzę angielską. Przy wejściu do cystern, na lewo, znajduje się studnia artezyjska tak głęboka, że trzeba czekać parę sekund, zanim się usłyszy plusk wrzuconego w studnię kamienia. Woda w studni niesmaczna, słonawa, cuchnąca. Droga do cystern ciągnie się nad zatoką, mając z prawej strony gołe skały, piaski i smutek. Na obok leżącym cmentarzu kilka drzewek anemicznych, opylonych, umiera z pragnienia i wzbudza litość w przejezdnych. Następnie droga skręca na prawo między prostopadłemi skałami, przechodzi obok biednej wioski arabskiej i kończy się przy cysternach. Gdy przejeżdżaliśmy koło wioski, gromada małych nagusów biegła za naszym powozem, wyciągała ku nam ręce i krzyczała: „niam-niam“, co oznacza: jeść-jeść! Rzucamy im sousy i resztki bananów, które wywołują zapalczywą walkę między nagusami. Słowo „niam-niam“ przeszło do Arabów z języka Dynkasów, szczepu murzyńskiego, położonego w środkowej Afryce, na granicy plemienia ludożerców Niam-Niam. O tych ludożercach jeden z kolegów, podpułkownik Simonin, który długo przebywał w Sudanie i miał nieraz sposobność stykać się z nimi, opowiadał nam ciekawe szczegóły: Państwo Niam-Niam, a w rzeczywistości państwo Sandeh, leży w okolicy Faszody, na zachód od odnogi Nilu, Bahr-el-Gebel i posiada przeszło 3 miljony mieszkańców. Ludność państwa składa się przeważnie z ludożerców. Cenią oni nadzwyczaj tłuszcz ludzki, który, przetopiony, zachowują w dużych kolbasach, (skorupa z owocu, przypominającego naszą banię)

i używają go tylko podczas wielkich festynów. Z uwagi, że żyją w ciągłych bitwach z sąsiadami, mięsa człowieczego im nie brak, gdyż, zgoduie ze zwyczajem, po zwycięskiej walce wszystkich zabranych niewolników zarzynają, ćwiartują i pożerają. Przytem każdy szanujący się wojownik jest obowiązany, pod grozą utraty powodzenia w bitwie, spożyć część wątroby zwyciężonego nieprzyjaciela. Podczas pokoju najczęściej zabijają niedołężnych starców, chociaż drobne dzieci są uważane jako wyjątkowy przysmak i zwykle odsyłają je na stół królewski. Jeżeli ktokolwiek umrze we wsi, a rodzina zmarłego nie reklamuje ciała w przeciągu 24 godzin, to trup jest natychmiast rąbany w kawałki i oddany na spożycie starszyźnie gminy. Zwyczaj nie pozwala spożywać ciał bliskich krewnych; ofiarowują je zwykle sąsiadom. Oprócz tego, prawo zabrania pożerać ciała ludzi zmarłych z chorób skórnych, są to wreszcie jedyne ciała, które mieszkańcy Niam-Niam palą i grzebią. Zimna krew i swoboda, z jakiemi ludożercy oddają się pożarciu swoich bliźnich, przechodzą wszelkie wyobrażenie. Tak np. podpułkownik Simonin opisywał następującą scenę:

Pewna niewolnica, będąc zbyt maltretowaną przez swego pana, zbiegła ze służby, pozostawiwszy swym właścicielom trzymiesięczne dziecko. Właściciele, pragnąc wynagrodzić sobie w jakikolwiek sposób utratę niewolnicy, postanowili zrobić z dziecka zupę, a raczej rosół. Otóż dziecko, leżąc na rogóżce, dogorywa z głodu. Kocioł z wrzącą wodą, gotowy do przyjęcia ciała, stoi już na ogniu. Gospo-

dyni, w oczekiwaniu śmierci maleństwa, obiera na ziemi jarzyny do mającego gotować się rosołu, a gospodarz tymczasem siedzi obok i gra na mandolinie (condi)!

Spożywanie ciał ludzkich u tego plemienia uważa się za rzecz tak normalną, iż nie mogą nawet pojąć inuego postępowania. Pan Simonin przypuszcza, że ludożerstwo rozwinęło się stopniowo: w początkach spróbowali mięsa małp, których w tym kraju znajduje się bardzo wiele (rodzaj gorylla), a następnie, przez podobieństwo, przeszli do mięsa ludzkiego. Przypuszczenie to zdaje się być prawdopodobne, tembardziej, że mieszkańcy Niam-Niam do dziś dnia zachowali oryginalny kostjum, który zawsze jest zakończony ogonem bawolim.

Po zwiedzeniu cystern, udaliśmy się na główny rynek miasta, położony nad morzem i okrążony od strony północy kawiarniami, hotelami i magazynami arabskimi, zbudowanymi u stóp wysokich, gołych skał, z poza których patrzą groźnie na morze armaty angielskie. Na środku rynku klęczy stado wielbłądów, a tuż obok nich uwija się kilkunastu Beduinów, którzy pod nadzorem podoficera angielskiego znoszą worki do ładowania. Podoficer ciągle wymachuje szpicrutą, a Beduini w swych długich, niebieskich koszulach i czarnych zawojach coś bardzo wykrzykują, gestykulują i śpieszą się na zabój. Ładują mannę arabską, zwaną samh, która rośnie tu i owdzie na pustyni bez żadnej uprawy; ma formę grochu, zawierającego cztery małe ziarneczka czerwonego koloru, mączyste i smaczne.

Wielbłądy, w przeciwieństwie do ruchliwych w danej chwili Beduinów, klęczą spokojnie i z dumnym wyrazem gęby żują apatycznie zielone liście ghaday. Ogólny charakter Beduinów zbliża się cokolwiek do charakteru wielbłądów: Również obojętni, cierpliwi, łagodni, nigdy np. nie prowadzą wojny, bo i po co? Ogniska domowego nie potrzebują bronić, bo, włócząc się bezprzestannie po pustyni, stałego ogniska nie mają. Przez patrjotyzm? Cała pustynia do nich należy, nikt im tych piasków zagrabić nie ma chęci. Dla honoru? To uczucie jest im zupełnie obce. Z powodów religijnych? Nie obserwują żadnej, zadawalniając się adoracją Wschodzącego Słońca, fanatyzmu nie znają. Ci szczęśliwi ludzie zachowali do dziś dnia wszystkie przymioty dawnych pasterzy. Żyją daktylami, manną samh i wielbłądziem mlekiem: handlują szerścią, kawą, owocami; polują na strusie i gazele, a czasem, jeżeli sposobność się zdarzy i nie wymaga szczególniejszych wysiłków i walki, rabują inne karawany. Naród lekkomyślny, nie przewidujący, żyjący z dnia na dzień. Bierze, co mu dają, oddaje innym, wyciąga rękę po wszystko co zobaczy, a nie znając ceny, zdobywszy, porzuca, jak małpy lub jak małe dzieci. Brać, żebrać, albo kraść posiada w ich głowach jednakowe znaczenie. To nie przeszkadza, że są nadzwyczaj gościnni dla cudzoziemców, naturalnie, na swój sposób, sposób nieśmiały, brutalny i dziki. Beduini, wobec swych współrodaków, zamieszkujących stale wsie i miasta, czują się zawsze bardzo upokorzeni. I mają słuszność, gdyż Arabi, prowadzący życie stałe, szczególnie

osiedleni w Afryce północnej, przewyższają ich o wiele nietylko pod względem moralnym, ale także i intelektualnym.

Ażeby godnie zakończyć nasz pobyt w Adenie, udaliśmy się do kawiarni na prawdziwą mokę arabską. W olbrzymiej sali siedziało na rogóżkach, rozłożonych na ziemi i na ławach, pod ścianą, bardzo wiele osób. Pewien stary, o patryarchalnej twarzy Arab, władający doskonale językiem francuskim, opowiadał o świętem mieście. Z jego opowiadania dowiedziałem się kilku ciekawych szczegółów, które tu przytaczam: Mekka w normalnym stanie posiada około 100,000 mieszkańców, ale podczas pielgrzymki ludność dochodzi do 400,000. Pielgrzymi rozkładają się obozem poza miastem. Arabi wierzą, że wszyscy prorocy, począwszy od Abrahama, Izaaka, Jakóba i Mojżesza, a skończywszy na Chrystusie, odbywali pielgrzymki do Mekki. Nadto, że pierwsi nasi rodzice, Adam i Ewa, wypędzeni z raju po spożyciu zakazanego owocu, ocknęli się na dwóch różnych punktach ziemi: Adam obudził się na wyspie Ceylonie, a Ewa — na górze Arafat, znajdującej się o 30 kilometrów od Mekki; że Adam potrzebował przeszło 100 lat, ażeby spotkać się z Ewą; że Ewa umarła w mieście Dżedda, leżącem na drodze do Mekki. Grób Ewy istnieje po dziś dzień poza wałami tego miasta, od strony wschodu. Dla tego też wszyscy pielgrzymi, idący do świętego miejsca, zatrzymują się najwpierw w Dżedda, w celu odprawiania modlitw na jej grobie. Tuż obok Mekki znajduje się sławna dolina Manu, na

której Abraham złożył swą pierwszą ofiarę; rok rocznie, na pamiątkę tego wydarzenia, pielgrzymi podobnież składają ofiary; są lata, w których liczba zabitych koźląt, baranów, owiec, a nawet wielbłądów dochodzi do 150,000!... W tym celu, w dolinie Manu urządzono odpowiednią rzezalnię, a dla uniknięcia epidemii z powodu rozkładających się resztek, zorganizowano towarzystwo sanitarne, które pozostawione ofiary na miejscu pali lub grzebie. Na drodze, uczęszczanej przez pielgrzymów, na kilka kilometrów przed bramą miasta sterczą dwa słupy kamienne; począwszy od tych słupów, nikomu nie wolno, pod karą śmierci, polować; zabicie ptaka w tym obrębie uważa się jako świętokradztwo. To też, jak powiada nasz Arab, miliony gołębi, synogarlic, kuropatw i t. p. plączą się pod nogami pielgrzymów, zmuszając do niezmiernie wolnego i ostrożnego posuwania się naprzód. W mieście, w samym meczecie Haram, jest wydrążona artezyjska studnia Zem-Zem, zawierająca podobno znakomitą źródlaną wodę; studni, którą bogato wyłożono i przykryto marmurem, strzeże sumiennie służba meczetu. Woda Zem-Zem ma tę własność, że chrześcianin nie może jej pić i w ten sposób sprofanować, bo przy pierwszym łyku gardło mu się ściska i kona uduszony... Mekka nie posiada żadnej roślinności, oprócz trzech palm przy pałacu gubernatora, jednej sykomory na targu owiec i jednego drzewa figowego przy wyjściu z miasta do wsi murzyńskiej. Ta wieś murzyńska jest zbudowana wyłączuie z blachy, z resztek blaszanych naczyń,

w których do Mekki przywieziono naftę, dowód, jaką ilość nafty konsumuje to święte miasto! Co prawda, światło musi się palić całą noc nietylko na ulicach, ale i w mieszkaniach prywatnych (?). Oprócz konsumcyi nafty, Mekka słynie również z ogromnej konsumcyi herbaty. W tej krainie doskonałej kawy wszyscy pijają... herbatę.

Po powrocie na okręt, kupiliśmy każdy ogromny pęk białych, czarnych i szarych piór strusich, pochodzących z Berbery. Pióra puszyste i tanie, prezent zawsze mile widziany przez znajome przedstawicielki płci pięknej.

Na drugi dzień, o północy, stanęliśmy w Djibutti. Poczem, o 9-ej rano, po zabraniu kilku nowych pasażerów, a między innymi jakiegoś ras (generała) abisyńskiego w bogatym kostyumie i olbrzymim kapeluszu, jadącego wraz z liczną świtą do Paryża i niejakiego pana de P., właściciela wielkich posiadłości w Arabii, podnieśliśmy kotwicę i popłynęliśmy w kierunku Perimu. Ponieważ pan de P. był zmuszony wysiąść w Chelh-Saidzie, położonym en face i na północ od Perimu, przeto statek, specyalnie dla niego, wyruszył w tamtą stronę, nadkładając przytem parę godzin drogi, co się nadzwyczaj rzadko zdarza. Pan de P., oprócz posiadłości w Arabii, prowadzi na dużą skalę handel z Holandyą araszydem. Araszyd rośnie przeważnie w Senegalu, przypomina formą groch szablasty, a smakiem orzechy amerykańskie. Upieczony, służy jako główne pożywienie dla tubylców. Z araszydu wytłaczają w Senegalu olej, a w Holandyi

wyrabiają z niego margarinę i dorzucają go do serów holenderskich. Uprawa araszydu odznacza się niezmierną prostotą: Murzyni w zwyczajnym piasku robią dziury patykiem i w te dziury wtykają ziarnko araszydu, oto wszystko! Po pewnym czasie, araszyd puszcza, rozwija się na piasku bez polewania, przypominając liściem nasze truskawki; poczem kwitnie i daje owoc w strąkach, zwykle po dwa ziaruka w strąku. Z Senegalu wysyłają go wagonami z miasta St. Louis do Dakaru, zkąd okrętami przechodzi do Europy. Z tej przyczyny pan de P. wiecznie podróżuje; zna Afrykę zachodnią i środkową jak własną kieszeń i zbiera wszędzie notatki do napisania historyi powszechnej narodów afrykańskich. Z jego to notatek wyciągnąłem kilka dat i faktów, dotyczących Afryki środkowej i miasta Tombuktu, które są jeszcze mało znane naszej publiczności: Między innemi, pan de P. opowiada, że kontynent afrykański był objechany w całości po raz pierwszy w roku 650-ym przed Narodzeniem Chrystusa, za panowania króla egipskiego Necos'a z XXVI-ej dynastyi, który rozkazał marynarzom fenickim kontynent ten objechać, począwszy od morza Czerwonego aż do morza Śródziemnego, przez przylądek Dobrej Nadziei; historycy egipscy mówią przytem o wielkiem zdziwieniu Fenicyan, kiedy, przepłynąwszy obok przylądka Dobrej Nadziei, zauważyli, że słońce wschodzi z prawej strony okrętu a nie z lewej, jak to miało miejsce w pierwszej połowie ich podróży. Następnie Herodot, historyk grecki, podaje, że za jego cza-

sów (450 lat przed Chrystusem) pewien Kartagińczyk, nazwiskiem Hannon, zwiedził Afrykę zachodnią, mianowicie okolice zatoki Gwinejskiej, zkąd przywiózł do Europy dużo złota i masę skór gorgonów (szympansów); słowo „gorgon“ w miejscowym języku murzyńskim oznacza „dziki człowiek“. Pan de P., przechodząc następnie do opisu Sudanu (Sudan obecnie jest kolonią francuską; słowo „sudan" po arabsku oznacza — „ziemia czarnych") i miasta Tombuktu, które leży na lewym brzegu Nigru i na 12 kilometrów od rzeki, powiada, że pewną część faktów historycznych skopiował z księgi arabskiej niejakiego Ahmeda Baby, sławnego historyka Tombuktu. Ahmed-Baba żył w 1495-ym roku (po Chrystusie) za panowania największego króla tego państwa, Mohamed-ben-Abu Bekera. Z księgi Ahmeda-Baby dowiadujemy się, że Europa usłyszała po raz pierwszy o istnieniu Sudanu dopiero w IV-ym wieku naszej ery. Że w owej epoce, na miejscu obecnego Tombuktu, istniało potężne cesarstwo Ghana, które miało za stolicę miasto Walata, położoną o 125 kilometrów od dzisiejszego Tombuktu. Że w roku 1001-ym (po Nar. Chr.) Tuaregi zajęli to cesarstwo, wprowadzili mahometanizm, zrujnowali do szczętu Walatę i założyli nowe miasto, Tombuktu. Że w roku 1326 ym, za panowania króla Manza-Mussa, Tombuktu doszło do szczytu swojego rozwoju i stało się największym rynkiem dla całej środkowej Afryki. Europa usłyszała po raz pierwszy o Tombuktu w roku 1375-ym, dzięki podróżnikowi hiszpańskiemu Mappa

Mondo. W roku 1468-ym Portugalczycy za Jana II-go otworzyli tam pierwszą firmę handlową, a w 1534-ym wysłali na stałe do tego cesarstwa swego ambasadora. Następnie Sudan został zabrany przez cesarza marokańskiego. Wreszcie po upadku Maroka powrócił do rąk Tuaregów. Obecnie cały Sudan, na zachód od jeziora Czad'u, należy do Francyi, a miasto Tombuktu jest zajęte przez garnizon wojskowy francuski, złożony z jednego batalionu d'Infanterie de marine, z dwóch szwadronów spahisów i z jednej bateryi artyleryjskiej. Należąc teraz do korpusu d'Infanterie de marine, prawdopodobnie kiedyś będę miał sposobność mieszkać w tem największem mieście murzyńskiem. Ale... tymczasem, płyńmy dalej!

W Chelh-Saidzie statek zatrzymał się na parę minut, ażeby wylądować pana de P. i zaraz ruszył w drogę. Tak, że Chelh-Said i Perim widzieliśmy tylko przejazdem. Też same czarno-szare, golusieńkie skały i rozpalony piasek, co w Adenie i w Djibutti. Chelh-Said był kupiony przez Francuzów w celu zbudowania na nim fortu jako pendant do angielskiego Perimu, lecz dotąd jakoś jeszcze nic nie zrobiono. Za to, obok Chelh-Saidu leży forteca turecka, która zdaje się być obficie naszpikowana armatami wszelkiego rodzaju. Na widok armat tureckich, generał abisyński, który stał obok mnie, oparty o parapet okrętu, rzekł, jakby zwracając się ku mnie:

— Zdaje się, że Turcy zaczynają się na dobre cywilizować! — Frazes ten, wygłoszony w dobrym

francuskim języku przez usta generała abisyńskiego, niezmiernie mnie zaciekawił. To też natychmiast przedstawiłem mu się en règle i począłem mego generała sondować nieco bliżej. Okazało się, że ras Abisynii nosił nazwisko Gowanna Giorgis, rządził prowincyą Kaffa i był niepospolitym człowiekiem. Władał doskonale językiem niemieckim i francuskim oraz poprawnie angielskim. Kształcił się w Akademii wojskowej niemieckiej, bardzo wiele podróżował po Europie, znał znakomicie stosunki polityczne ogólno-europejskie, a nawet odbył pielgrzymki święte do Rzymu i do Jerozolimy. O Niemcach wyraził się z zachwytem, admirował wszystko, co niemieckie. Przedewszystkiem podziwiał porządek, jaki panuje na każdym kroku w tem państwie.

Jednakże, nie chcąc obrazić munduru oficera francuskiego, nie szczędził także pochlebstw i dla Francyi. Siła umysłowa Francyi zdawała się mu również imponować. Charakterystykę narodów świata określił w następujący dość trafny i lakoniczny sposób: Podług niego, Anglia rządzi się rozumem, Niemcy — praktycznością, Francya — sprytem, Rosja i wogóle Słowianie — sentymentalnością, Włochy — przesadą, Szwajcarya — pracą, (o Holandyi nie mówi, gdyż ona należy do Niemiec, tak jak Belgia do Francyi) Japonia — patryotyzmem, Chiny — szacunkiem rodziny, a Stany Zjednoczone — dolarem... Przy bliższem poznaniu nazwisko moje, nie francuskie, zaczęło go nagle intrygować. Nareszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, prosił mnie

otwarcie o wyjaśnienie. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem. Od tej chwili, aż do wylądowania naszego w Marsylii, bardzo często rozmawialiśmy o Polsce. Pewnego wieczoru, patrząc w głąb pustyni, rzekł:

— Kraj wasz znajduje się w wyjątkowo trudnem położeniu, macie bowiem do czynienia z trzema pierwszorzędnemi siłami Europy. Byłoby stanowczo dla was lepiej, gdyby was było zagarnęło tylko jedno z trzech państw. Jest was 20 milionów; z jednym bezwarunkowo dalibyście sobie radę, ale z trzema...

Potem, po długiem milczeniu, jakgdyby obmyśliwał środki wydobycia się na wierzch z tej przykrej sytuacyi, nagle zapytał:

— A... czy Polacy mają zawsze jeszcze nadzieję, czy wierzą, że z czasem uda im się odbudować dawną Polskę?

— O, nie wszyscy!—odpowiedziałem.—W Polsce tak, jak i wszędzie, istnieją różne partye polityczne: Jedni kwestyę niezależności zupełnie porzucili; pracują dla dobra ludzkości, wierząc, że z czasem, gdy granice państw się usuną i Europa utworzy Stany Zjednoczone, Polska sama wyjdzie na wierzch w postaci jednego ze stanów. Inni pracują nad podniesieniem wykształcenia prostego ludu, ażeby w nim umocnić miłość do ojczyzny i przygotować go do walki z systematycznym uciskiem wrogów. Inni jeszcze radzą zgodzić się z losem, uczciwie, spokojnie pracować, podtrzymywać język narodowy, historyę, zwyczaje i czekać cierpliwie

sposobności utworzenia jednej całości drogą dyplomatyczną. Wogóle brak trochę solidarności.

Po chwili, znowu zapytał:

— A czy nikt nie myśli o wywalczeniu niezależności siłą zbrojną?

— Owszem, są i tacy także, chociaż większość uważa ten projekt za utopię. Próbowano już kilka razy, projekt jednak nietylko że się nie udał, ale nawet pogorszył sytuacyę. Opowiedziałem mu przytem o Kościuszce, o 31-ym i 63-im roku.

Na tem rozmowa się przerwała. Innym razem, również na morzu Czerwonem, przysiadł się do mnie i znowu zaczął gawędzić na ten sam temat:

— Mnie się zdaję, że Polska, pracując spokojnie i wytrwale nadal, tak, jak do dziś dnia, nad zachowaniem języka i uczuć narodowych i oczekując cierpliwie chwili wyswobodzenia drogą pokojową, może dopiąć celu tylko w jednym wypadku, mianowicie jeżeli trzy państwa, które ją zagarnęły, wypowiedzą sobie, z przyczyn nieprzewidzianych, wzajemną wojnę. Wówczas może, dla własnego wspólnego spokoju, utworzą z Polski, jak niegdyś ze Szwajcaryi, *korek*, a raczej państwo neutralne, które tamować będzie wzajemną ich niezgodę. Tylko w tym jedynym razie, podług mnie, Polska może być oswobodzoną drogą dyplomatyczną, a jeżeli ta chwila nigdy nie nadejdzie, Polska zginąć musi!

— O, dlaczego? — zapytałem nieco wzruszony.

— Przyzna pan przecież, że w polityce tak, jak na polu odkryć i wynalazków, trudno coś przewidzieć

na lat kilkadziesiąt; historya pod tym względem dostarcza nam tyle faktów, niespodzianek, że zawsze i we wszystkiem można mieć nadzieję.

— Nie, — odpowiedział stanowczo. — I ja wam zaraz wytłomaczę dla czego? Przedewszystkiem Połacy nie mogą liczyć na niczyją szczerą i otwartą pomoc, gdyż ten, kto chciałby podać wam rękę, musiałby narazić się na kompromitacyę względem trzech mocarstw odrazu, krok nadzwyczaj ryzykowny i nikt na to się nie zdecyduje. Musicie przeto liczyć tylko na siebie samych, jak sieroty, jak ludzie, opuszczeni od wszystkich. O tej sytuacyi doskonale wiedzą wasi władcy i dla tego też każdy z nich stara się na swój sposób zniszczyć wasz język i uczucie narodowe. Wskutek tego nieustannego parcia i ciągłego przestawania z nieprzyjacielem, uczucia waszego patryotyzmu ulatniają się z dnia na dzień w tak minimalnych dozach, że wy sami tego dostrzedz nie możecie; stopniowo przyzwyczajacie się do powolnych zmian zatruwanego organizmu tak, jak człowiek, który, patrząc codziennie w lustro, przyzwyczaja się do swych zmarszczek, oznaki starości, a która, niestety, fatalnie kończy się śmiercią! Następnie, żyjąc sami, bez przyjaciół, żyjecie tylko *obroną*, a dowiedzionem jest, że żadna obrona nie może trwać wieki. Ci, którzy się bronią, a nigdy nie atakują, zawsze wcześniej czy później muszą się poddać. A ponieważ wy nigdy nie atakujecie, przeto musicie zginąć! Jednem słowem, jeżeli pragniecie żyć i zwyciężyć, powinniście atakować, poświęcić jedną generacyę i atakować.

To jest jedyny środek wyjścia! „Voilà le conseil d'un soldat“!

— Atakować?!—wykrzyknąłem cały zaczerwieniony. — Łatwo to panu mówić! Ale jak atakować?

— Ha, ja także nie wiem — odpowiedział głęboko zamyślony ras Gowanna.

Rozmowa przerwała się znowu. Przez kilka dni nie poruszaliśmy wcale palącej kwestyi. W zamian, dużo gawędziliśmy o Abisynii. Razu jednego Gowanna rzekł, jakgdyby przemawiając do siebie samego:

— Abisynia—ciągnął — *posiada zaledwie dwanaście* milionów mieszkańców, a jej armia ma prawie 500,000 żołnierzy. Sto lat temu, nasze cesarstwo składało się z kilku królestw niezależnych, a dziś, dzięki energii cesarzy Teodorusowi, Joanusowi i Menelikowi, możemy śmiało stawić czoło pierwszorzędnym siłom Europy. Nasz kodeks prawny, Feta-Neghest, jest tłomaczony na języki europejskie. Nasz sztandar narodowy, także o trzech kolorach (zielony, czerwony, żółty), jest szanowany przez wszystkie narody Afryki!

Przy tych słowach, patrząc na obecnych, wyprostował się dumnie; wyglądał, jak ulany z bronzu; w swej białej todze, obszytej szkarłatem, miał minę generała dawnej rzeczypospolitej rzymskiej. Dalej opowiadał o swym kraju rozmaite szczegóły i anegdoty, przedstawiał wielkie plany negusa na przyszłość, a każde jego słowo tchnęło miłością ojczyzny, zadowoleniem i pewnością siebie.

Abisynia pod względem administracyjnym dzieli się na prowincye. W każdej prowincyi rządzi tak zwany „ras“, gubernator, posiadający władzę zarazem wojskową i cywilną. Prowincye dzielą się na kantony (powiaty); w każdym kantonie połowa terytoryum należy do rządu, a druga połowa przedstawia własność prywatną. Negus Menelik, następca Salomona i królowej Sabby, zamieszkuje stale w Addis-Ababa, stolicy Abisynii, zkąd swe rozkazy wysyła przez *telefon* do wszystkich gubernatorów państwa. Rok rocznie, ażeby uniknąć natręctwa rozmaitych dyplomatów, wymyka się ze swej stolicy na parę miesięcy letnich do Addis-Alam (Versailles abisyński), chociaż uczonych i artystów, bez względu na ich narodowość, zawsze przyjmuje mile i chętnie. Dwór jego swojem urządzeniem i zwyczajami przypomina dawne Bizancyum. Naprzykład na podwórzach pałacu cesarskiego przechadzają się oswojone lwy i t. p. Kościół abisyński, pomimo wyznania katolickiego, formą i ceremoniami przedstawia mieszaninę obrzędów cerkwi i bóżnicy. Patronem Abisynii jest Ś-ty Georgjusz. O wprowadzeniu religii katolickiej do Etiopii istnieje następująca legenda: W IV-ym wieku po Narodzeniu Chrystusa dwóch młodych ludzi, Frumencyusz i Edezyusz, podróżując za swymi interesami, rozbili się na brzegach morza Czerwonego. Tubylcy, którzy nigdy jeszcze nie widzieli Europejczyków, schwycili ich i przyprowadzili do króla. Król państwa, Szoa, przyjął obydwóch cudzoziemców bardzo uprzejmie i pozostawił przy swoim dworze. Po niejakimś czasie,

gdy młodzieńcy zapoznali się z obyczajami i językiem nowego kraju, władca powierzył Frumencyuszowi kierownictwo finansów państwa, a Edezyusza zrobił wielkim podczaszym. Podczas dwóch lat cudzoziemcy wywiązywali się tak doskonale ze swych obowiązków, że po śmierci króla królowa pod żadnym pretekstem nie chciała zezwolić na ich powrót do rodzinnego kraju. Wówczas Frumencyusz powziął myśl skorzystania ze swej władzy, z szacunku i zaufania, jakie wyrobił sobie u narodu swej przybranej ojczyzny i postanowił zaznajomić królestwo Szoa z nauką Chrystusa i obrzędami kościoła rzymskiego. Nauka przyjęła się znakomicie i istnieje, nieco przerobiona przez misyonarzy aleksandryjskich, do dnia dzisiejszego.

Negus Menelik, dawny król państwa Szoa, odznacza się subtelnością, dobrocią, śmiałością i stałością charakteru starej rasy semickiej. Nadto, posiada niezmiernie dużo taktu, potrafi odmówić a nie obrazić. To też awanturnicy europejscy, których liczba powiększa się niemal rok rocznie, przynosząc z sobą tysiące wyimaginowanych, cudownych projektów, często wyjeżdżają z Abisynii z niczem a jednak bez urazy do negusa... Kilka lat temu, Menelik, pomimo rozbicia Włochów pod Aduą, dowiedziawszy się, że młoda królowa włoska oczekuje potomka, wysłał jej cztery kły słoniowe, mające służyć jako nóżki do łóżeczka nowonarodzonego... Co niedziela, negus wyprawia dla urzędników i wojskowych olbrzymie przyjęcia; nieraz zasiada do jadła trzy, pięć, siedem tysięcy osób! Wszyscy siada-

ją na ziemi po turecku, mając przed sobą małe stoliczki w formie koszyków i piją miód z rogów bawolich. Czasami 100 wołów i 150 baranów idzie pod nóż, ażeby zadowolić żarłoczność zaproszonych! Sala na te przyjęcia monstres została specyalnie zbudowana przez inżeniera szwajcarskiego, pana Ilga, który od dawien dawna żyje w Abisynii wraz z żoną i dziećmi i jest pierwszym ministrem wielkiego negusa. Kilka lat temu urodził mu się syn, negus był jego chrzestnym ojcem, dał mu imię Menelik i zrobił go księciem abisyńskim. Wraz z jego Excelencyą Ilgem na dworze Menelika stale także pracuje, jako radca, pan Chefneux, Francuz z pochodzenia.

Oprócz wymienionych dygnitarzy Europejczyków, negus utrzymuje mnóstwo urzędników krajowych, a między innymi swoje oryginalne *fac-simile;* ten ostatni nosi urzędowy tytuł „likamak'a" i ma za obowiązek zastępować fizycznie cesarza podczas wojny, t. j., że chodzi identycznie ubrany jak sam cesarz, na placu bitwy staje zwykle na wzniesionem miejscu, pod parasolem cesarskim, niby przyjmując i wydając rozkazy, w celu wprowadzenia w błąd nieprzyjaciela, podczas gdy prawdziwy Menelik *incognito*, na koniu zwyczajnym, prowadzi czynnie bój, podnieca swą obecnością żołnierzy i osobiście dyryguje bitwą.

Z innych oryginalności miejscowych muszę zaznaczyć, że np. w całej Abisynii nikomu nie wolno polować bez pozwolenia cesarza na nosorożce i słonie; przytem każdy myśliwy jest obowiązany, po

zabiciu jednego z tych dzikich zwierząt odesłać na dwór cesarski albo róg nosorożca, albo jeden kieł słoniowy.

Śluby małżeńskie Abisyńczycy odbywają w dwojaki sposób: z komunią, albo bez komunii. Jeżeli młoda para, zamieniając obrączki przy ołtarzu, przystępuje zarazem do komunii świętej, to w razie śmierci jednego z małżonków owdowiała osoba nie ma prawa do końca życia wchodzić w związki małżeńskie *po raz drugi*, czyli że, komunikując razem, młoda para poprzysięga sobie wzajemną i dożywotnią wierność małżeńską. W życiu rodzinnem istnieje zwyczaj, że jeżeli małżonek nie wstrzyma się od swych praw i obowiązków po zachodzie słońca, to żona nazajutrz rano nie ma prawa być obecną w kościele na mszy świętej. W stolicy egzystują wspaniałe publiczne baseny kąpielowe, w których mężczyźni kąpią się tylko w dzień, a kobiety tylko w nocy przy blasku księżyca i t. p. Abisynia posiada ogromne, naturalne bogactwa: oprócz kopalni węgla, wapna, gliny etc., oprócz zwierzyny i potężnych lasów, Abisynia posiada kopalnie złota i znakomitą kawę; ta ostatnia przynosi jej olbrzymie zyski.

Kawa abisyńska wszędzie w Europie jest sprzedawana jako prawdziwa mokka, gdyż smakiem i zapachem wcale jej nie ustępuje. W prowincyi Kaffa kawa prosperuje bez uprawy roli, w dzikim stanie, i jest doskonała; drzewa kawowe dochodzą tam do takich rozmiarów, że tubylcy wycinają je i rżną na deski do budowy domów.

W zatoce Sueskiej ras Gowanna przedstawił mi organizacyę sił zbrojnych swojego kraju. W Abisynii nie znają wcale służby obowiązkowej, jak w innych krajach. Cała armia stała składa się wyłącznie z ochotników. Obecnie Menelik posiada do dyspozycyi 250,000 ludzi w pierwszej linii, uzbrojonych zupełnie po europejsku (broń systemu Grasa, kupiona od Francyi) i 250,000 ludzi w drugiej linii (rezerwa) uzbrojonych częścią w broń systemu Berdana (kupioną od Rosyi), a częścią w broń myśliwską i dzidy. Armia jest podzielona na korpusy, na każdą prowincyę jeden korpus. Oprócz tego w Adis-Ababa istnieje 12,000 wyborowego żołnierza, którzy tworzą gwardyę cesarską i 200 armat polowych.

Dalsza rozmowa toczyła się znów o kraju Gowanny, mianowicie o stosunkach politycznych Abisynii. Podług Gowanny, Menelik najwięcej posiada zaufania do Rosyi i do Francyi, a najmniej do Anglii, która przez swoje sąsiedztwo w Egipcie bezprzestannie intryguje, ażeby zagarnąć Nil Niebieski, przepływający przez terytoryum abisyńskie. Anglia obawia się bowiem, że nadejdzie epoka, kiedy Abisynia, doszedłszy do maksimum rozwoju sił zbrojnych, zagrodzi Nil Niebieski.

Czyli, że wówczas Nil przestanie wylewać w Egipcie, a w zamian będzie użyzniał tylko Abisynię, tak, że Egipt może zginąć śmiercią głodową. Chcąc zaś odbić Nil Niebieski siłą, Anglia zmuszona będzie wystawić w tym celu taką potężną armię, na jaką przy obecnej organizacyi wojskowej nie mogłaby się nigdy zdobyć. Wogóle Abisynia w Af-

ryce pcha się od pewnego czasu do cywilizacyi europejskiej z takim zapałem jak niegdyś Japonia w Azyi. Jeżeli następca tronu Menelika wstąpi w ślady swego ojca, to wkrótce Europa zdziwi się z olbrzymiego i nadspodziewanego postępu tego państwa. Ras Gowanna opowiadał jeszcze o dyplomatach europejskich, mieszkających w Addis-Ababa, o wielkiej, pozornej nabożności dyplomaty rosyjskiego, o wyjątkowych zdolnościach politycznych włoskiego majora C., dzięki któremu Włochy nanowo zdobyły dawne zaufanie Menelika i t. p. wiele szczegółów. Muszę jednak zamknąć ten i tak już zbyt długi nawias i powrócić do naszej podróży. Właśnie wjeżdżamy do kanału Sueskiego!

W kanale Gowanna raz jeszcze gawędził ze mną; wyłożył mi sposób zebrania potrzebnych 2,500,000,000 franków w przeciągu ośmiu lat, ale projektu tego, pomimo swej *oryginalności*, *tu nie* przytaczam z powodu braku miejsca. Opowiem go innym razem przy sposobności.

Więcej nie wracaliśmy do tej kwestyi; przeszła ona jak senne marzenie, tembardziej, że w Port-Saidzie Gowanna zabrał z sobą jakiegoś dygnitarza Egipcyanina, z którym się nie rozłączał aż do Marsylii!

Pierwsze dwa dni po wyjeździe z Port-Saidu, płynęliśmy na wyjątkowo rozhukanem morzu, resztki ogromnej burzy, która trwała osiem dni z rzędu! Wogóle morze Śródziemne jest uważane przez marynarzy jako nadzwyczaj kapryśne; wyjeżdżając z przystani nawet w piękny czas, trudno przewi-

dzieć co będzie za godzinę? W danej chwili morze uspokoiło się zupełnie i płyniemy jak po stole.

Wczoraj, o 4-ej rano przerżnęliśmy cieśninę Messiny (dawną Scyllę i Harybdę), a o 8-ej widzieliśmy wyspy Liparskie i wulkan Stromboli, który dymi bezprzestannie.

Obecnie dojeżdżamy do cieśniny św. Bonifacego. Wszyscy pasażerowie, uzbrojeni w lornetki, obserwują niebezpieczne przejście. Muszę do nich się przyłączyć.

Po lewej stronie górzysta i skalista Sardynia, po prawej również skalista Korsyka, a raczej „wyspy krwawe" (Sanguinaires), które dawniej bywały powodem częstych katastrof dla przechodzących okrętów. W 1854 r. transport wojskowy „La Semillante", jadąc na wojnę krymską z 1,200 żołnierzami, rozbił się o te wyspy; ani jeden pasażer nie był uratowany; mały obelisk, zbudowany na pamiątkę tej katastrofy, sterczy do dziś dnia na jednej z małych wysepek i ostrzega przejezdnych o niebezpieczeństwie. Następnie, na dzikich i malowniczych skałach Korsyki stoi najeżone wraz z cytadelą miasto Bonifaccio.

Ostatnią noc przepędzamy na okręcie! Po sześciu latach awanturowania się w Afryce i w Azyi znów ujrzę błogosławione brzegi Francyi!

Części świata, pod względem rozwoju zamieszkałej na nich ludności, można porównać do czterech epok życia człowieka: Afryka przedstawia epokę lat dziecinnych, krainę legend i zabobonów; Ameryka—epokę młodzieńczą, krainę pośpiechu, za-

pału, energii; Europa — epokę dojrzałą, a Azya — staruszkę, żyjącą wspomnieniami.

Spostrzegamy Marsylię! Wszyscy pasażerowie cieszą się nad wyraz! Nareszcie, po 30 dniach podróży, będziemy mogli wyjść na ląd stały! Olbrzymia figura „Notre Dame de la Garde“, unosząc się okazale ponad błękitnem morzem, zdaleka wita powracających do kraju! Na Jej widok serce bije nam gwałtowniej, wzruszenie ogarnia obecnych!... Sześć lat temu żegnałem Tę Opiekunkę rozbitków z nieokreślonem uczuciem niepokoju. Rozgoryczony i zmęczony moralnie, zrezygnowany na wszystko, puszczałem się wówczas w daleką, nieznaną przyszłość. Dzisiaj, witam Ją z radością, z sercem, pełnem wdzięczności i zadowolenia! Zadowolenia nietylko z samego siebie, ale i ze świata! Podobne chwile zdarzają się człowiekowi nadzwyczaj rzadko: los nie zawsze wynagradza za życia tych, którzy spełniają swój obowiązek uczciwie; moralny stan ludzkości nie doszedł jeszcze, niestety, do takiego rozwoju, ażeby sprawiedliwość zawsze i wszędzie była świętem prawem! *Co nie przeszkadza*, że pchani nadnaturalną siłą, wszyscy dążymy do owego szczytu, bo nadzieja zdobycia, nawet po śmierci, sprawiedliwego uznania jest najsilniejszym bodźcem do pracy!

Za dwie godziny staniemy na miejscu. Jutro o tej porze, więcej niż połowa pasażerów ocknie się na łonie swej rodziny. Zaczną nowe życie, nowe marzenia, nową walkę!... Szkoda, że do Polski tak jeszcze daleko!...

Tegoż dnia, zaraz po wylądowaniu, wysłałem depeszę do Jana Thiollier i ulokowałem się w hotelu „de la Poste". Po obiedzie, przedstawiwszy się w kancelaryi „Dépôt des Isolés" dla załatwienia formalności administracyjnych, tamże otrzymałem trzymiesięczny urlop z pełną pensyą oficerską. Komendant kancelaryi, wręczając mi papiery, pożegnał mnie temi słowy:

— Dowidzenia! Życzę panu przyjemnego odpoczynku w kole rodzinnem.

Ten banalny frazes, wygłaszany przez komendanta regularnie do każdego z kolegów powracających z kolonii, na mnie sprawił dziwnie przykre wrażenie.

„W kole rodzinnem"... Nagle otworzyłem oczy, spostrzegłem, że jestem włóczęgą bez kraju, bez domu, bez rodziny!... I w tejże chwili odczułem wokoło siebie taką przerażająco, smutną pustkę, że, gdy wyszedłem na ulicę, łzy osamotnienia i tęsknoty samochcąc spływały mi po twarzy. Przechodnie stawali, oglądali się za mną, a ja, w oficerskim mundurze, z szablą przy boku, wyprostowany dumnie, kroczyłem wciąż przed siebie dalej i dalej, nie myśląc dokąd i po co idę? Po raz pierwszy, od lat sześciu, oddano mi zupełną wolność, a ja nie wiedziałem, co z tą wolnością robić i było mi bardzo, bardzo boleśnie!...

Radość moich kolegów sprawiała mi przykrość, odpychała mnie od nich. Dopóki, zaobsorbowany przez pracę, dążyłem do oddalonego celu, pragnienie dopięcia tego celu zagłuszało czasowo we mnie

inne uczucia; dziś, spokój i wolność zerwały z mego serca różową zasłonę! Do Polski nie miałem prawa wracać: moja sytuacya nie była jeszcze uregulowana przez Ministra spraw zagranicznych, a wreszcie, nie posiadałem środków na tak daleką i kosztowną podróż... Musiałem więc cierpieć. Są cierpienia, których przyczyna leży w nas samych, których powód można analizować, postanawiając unikać go w przyszłości; są to cierpienia, które hartują duszę, kształcą charakter, rozwijają nasze doświadczenie. Ale, niestety, istnieją także cierpienia niezależne od nas, które los zsyła na ludzi zupełnie niesprawiedliwie, cierpienia bez pociechy, bez rady, bez wyjścia, np. utrata osób drogich i t. p. Są to prawdopodobnie kary losu za naszą głęboką, oddaloną przeszłość, którym, bądź co bądź, musimy się poddać, musimy je stoicznie znosić i z cierpliwością brnąć dalej, bo w takich razach tylko czas i obowiązkowa praca zdolne są złagodzić boleść naszą...

Wieczorem, pragnąc się nieco rozerwać, wstąpiłem do kabaretu „Palais de cristal“. Przy kasie, kupując bilet wejścia, słyszę naraz za sobą znany mi okrzyk, wygłoszony ochrypłym głosem: „Vive la Pologne“! Obracam się i kogo widzę? Mera! Dawny towarzysz biedy i nędzy moralnej! Mera, w obdartym surducie, sprzedający przy wejściu programy! Radość moja była nie do opisania. Nie czułem się więcej samotny na świecie! W jednem mgnieniu oka rzuciliśmy się sobie jednocześnie w objęcia, jak serdeczni przyjaciele, jak bracia! Tłumy widzów okrążyły nas, nie mogąc pojąć po-

dobnej poufałości elegauckiego oficera z podpitym obdartusem. Musiałem im tłomaczyć, opowiadać. Wówczas chwilowe oburzenie zebranych zamieniło się w ogromny entuzyazm, krzyczano zewsząd: „Vive l'armée! Vive la Legion étrangère“!

Poczęto rozkupywać od Mery programy, rzucać mu srebrną monetę; staliśmy się bohaterami wieczoru! Po przedstawieniu zaprosiłem Merę na kolacyę; spędziliśmy razem kilka godzin. Biedaczysko, wiecznie pijany, wysłużył w Legii swoje pięć lat i wrócił do Francyi z niczem. Obecnie pracuje nad morzem przy komorze celnej, gdzie zarabia 3 franki dziennie, a wieczorami sprzedaje programy przed „Palais de cristal.“

Po powrocie do hotelu zastałem odpowiedź od Jana Thiollier. Zapraszał mnie do swego majątku Villeboeuf, położonego w okolicy St. Etienne, gdzie właśnie spędzał wakacye wraz ze swoją matką i młodszymi braćmi.

Nie namyślając się długo, wyruszyłem do Thiollier'a. W rozkosznem towarzystwie jego zacnej rodziny przepędziłem całe dwa miesiące. Wdzięczność moja za ich przyjaźń trwać będzie do śmierci! Pobyt w Villeboeuf wzmocnił mego ducha. Pani Thiollier, kobieta serdeczna i inteligentna, natychmiast odczuła swem macierzyńskiem sercem moją samotność. Posiadając trzech dzielnych synów, Jana, Edwarda i Józefa, przyjęła mnie chętnie za czwartego i pielęgnowała z wyjątkową troskliwością. Pod jej anielską opieką, powoli, jako rekonwalescent, ukochałem na nowo życie i nabrałem

świeżych sił do dalszej walki. Mogłem znów brnąć naprzód samodzielnie!

Kochająca rodzina jest istotnie niewyczerpanem źródłem odwagi dla każdego człowieka, idącego do oznaczonego celu. Jest głęboką szkołą uczuć, pozwalającą zdobyć to, do czego cały świat dąży i co ludzkość nazywa ogólnie „szczęśliwem życiem". Stara Azya, którą niedawno pożegnałem, doszła do tego przekonania na wiele wieków przed nami, stawiając rodzinę na pierwszem miejscu, jako podstawę moralności, dobrobytu krajowego i ogólnego szczęścia. Ci, którzy przez błędne rozumowania, oparte na egoizmie, starają się nadwerężyć fundamenty rodziny, są uważani w Azyi jako zbrodniarze społeczeństwa, a starzy kawalerowie, jako godni pogardy rozpustnicy. I gdyby nasi misyonarze byli żonatymi, posiadaliby stanowczo w Azyi o wiele więcej szacunku i zaufania, niż dzisiaj.

Ostatni miesiąc urlopu spędziłem w Paryżu. Odwiedziłem wszystkie stare kąty. W moim małym pokoiku, w hotelu Grand S-t Michel, gdzie po raz pierwszy w życiu uczułem kurcze głodu, znalazłem jakiegoś biednego robotnika; wzruszony wspomnieniami przeszłości, dałem mu kilka franków na pamiątkę mej wizyty; *gospodarz i gospodyni hotelu* nie mogli się nadziwić oficerskiemu mundurowi, zwołali całą ulicę na moje przyjęcie!...

Panowie Marillet i Robelet, dorobiwszy się majątku, przenieśli swoje biuro patentów *sur les Grands Boulvards*. Niezmiernie cieszyli się moim powrotem; zaprosili mnie na kolacyę wraz z panem

Holtzem, który dotąd jeszcze pracuje w ich biurze z jednakowym zapałem; mój dawny opiekun postarzał się nieco i posiwiał.

W szkole Polskiej, kochanego ś. p. dyrektora Malinowskiego zastąpił niejaki pan Stępiński, również zacny człowiek, żonaty, ma syna i córkę. O panu Haberbuszu ani słychu, prawdopodobnie wrócił do kraju.

Wreszcie wszystko po staremu, tylko Paryż prezentuje się inaczej, w weselszem oświetleniu, zgodnie ze stanem mej duszy; bo w duszy czuję radość z dopiętego celu na drodze wybranej. Tembardziej, że drogę tę zacząłem w warunkach niezmiernie trudnych: bez środków, bez protekcyi, bez znajomości kraju i języka!... Stanowisko, które zdobyłem na obcej ziemi własnemi siłami i własną pracą, pozwala mi dziś patrzeć w dal śmiało, bez obawy! Mundur, który noszę, mając za dewizę „sławę i honor“ otwiera mi wstęp wolny wszędzie, od najbiedniejszej chaty aż do wspaniałych pałaców Pól Elizejskich prezydenta Rzeczypospolitej; jest on rekomendacyą nieposzlakowanej uczciwości i wzbudza powszechne zaufanie i szacunek. Nadto mój mundur osobisty oficera „de l'Infanterie de marine“, która, narażając życie i zdrowie dla kraju, reprezentuje go w różnych częściach świata, zasługuje na szczególniejszą sympatyę ogółu, jest to najulubieńszy mundur Francuzów. Wreszcie myśl, że zdobyte stanowisko zapewnia mi długoletnią egzystencyę i starość spokojną, jest powodem błogiego stanu mej duszy i rozradowania!...

Jutro rano wyruszę do portu Cherbourg'a, do nowego pułku, gdzie nadobre rozpocznę moją karjerę oficerską!

Na zakończenie, dołączam w oryginale list pułkownika Brulard'a, obecnego dowódcy Legii Cudzoziemskiej, do którego zwróciłem się w tym roku z prośbą o wskazanie mi kilku dzieł, traktujących o Legii, w celu dopełnienia osobistych wspomnień pana Krajkowskiego:

19e CORPS D' ARMÉE

Division d' Oran

3e BRIGADE D'INFANTERIE D'ALGERIE

SUBDIVISION DE MASCARA

2e Régiment Étranger

N°.....

OBJET:

Saida, le 12 Mai 1909

Le Colonel Brulard
Commandant le 2e Régiment Étranger
à Monsieur le Capitaine Jagniątkowski,
du 4e Régiment d'Infanterie Coloniale
Toulon.

Mon Cher Camarade!

En reponse á votre lettre du 28 avril dernier, j'ai l'honneur de vous adresser ci-joint la liste de quelques ouvrages que vous pourrez utilement consulter pour la rédaction de

l'ouvrage, en langue polonaise, que vous vous proposez d'écrire sur la Légion Etrangère.

D'une manière générale, on peut dire que l'historique de la Légion Etrangère se confond avec l'historique des faits militaires, et particulièrement des campagnes coloniales, auxquels l'armée française a été mêlée depuis bientôt un siècle.

En ce qui concerne spécialement l'historique du 2-e Régiment Etranger, il constitue un ouvrage manuscrit, très volumineux, qui ne peut, par suite, être consulté que sur place.

Je forme les voeux les meilleurs pour que vous meniez à bonne fin le travail que vous allez entreprendre et pour *que votre ouvrage trouve le meilleur accueil auprès de vos compatriotes qui ont fourni tant de valeureux soldats à la France et qui, aujourd'hui encore, constituent l'un des meilleurs éléments de recrutement de la Légion.*

Recevez, mon cher camarade, l'expression de mes sentiments bien dévoués.

Brulard.

B. W.
KRAKÓW

Spis rzeczy.

	Strona:
Przedmowa.	5
I. W Paryżu	7
II. Początek nowej drogi.	42
III. Na granicy Sahary	79
IV. Podróż do Azyi	117
V. W Tonkinie	152
VI. Powrót.	196

OD KASZLU I CHRYPKI

ZALECAJĄ LEKARZE

FAY'A

PRAWDZIWE SODEŃSKIE MINERALNE PASTYLKI

Cena pudełka 70 kop.

Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Żądać wyraźnie pastylki FAY'A i odrzucać falsyfikaty.

SKŁAD MEBLI

MAJSTRÓW STOLARSKICH

JANA BEREZIŃSKIEGO

WARSZAWA,

UL. KRÓLEWSKA № 6
wprost Mazowieckiej
TELEFON 51-52.

Całkowite urządzenia w różnych stylach skromne i wykwintne, oraz roboty tapicerskie i dekoracje.

AGATOL

proszek, eliksir i pasta
o silnym aromacie

do czyszczenia zębów

poleca Laboratoryum
ST. GÓRSKIEGO, LESZNO 12.

NESTLE'A

MĄCZKA MLECZNA

IDEALNY POKARM
DLA NIEMOWLĄT ORAZ DOROSŁYCH
CHORYCH NA ŻOŁĄDEK.

Na każdem serku musi być
etykieta z napisem „Rozentowo".

NAJZDROWSZY
NAJSMACZNIEJSZY

POŻYWNY
LEKKOSTRAWNY

WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ!
Używajcie zamiast masła stołowego!

Fabryka Czekolady
E. WEDEL

poleca następujące gatunki czekolady, wyróżniające się delikatnością masy i wytwornym smakiem:

Deserową
(chocolat fondant),

Zakopiańską
na mleku,

Pomarańczową
o przyjemnym orzeźwiającym smaku i

Kawową.

Sprzedaż w sklepach firmy, handlach kolonjalnych i sklepach spożywczych.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

HERBATA Z GÓR HARCU

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee). Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministeryum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten, przyjmowany w ilości 2—3-ch filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, atretyzm cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny.

Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop.

Uwaga. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą:
Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Śliska 33 a. Kantor i skład w podwórzu. Tel. 184-44.

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z doliczeniem kosztów przesyłki podług taksy pocztowej. **Wystrzegać się falsyfikatów.**

POCZTÓWKI

Sprzedaż hurtowa i detaliczna pocztówek

Warszawa, ulica Widok 19 m. 11

TEODOR WIĘCKUS.

Wysyłam pocztą na zamówienie listowne: **setkę pocztówek ilustrowanych za 2 rb., tysiąc za 10 rb., (większemi partjami taniej).** Kupujący setkę, za przesyłkę nie płacą, odbiorcy hurtowi (więcej po nad setkę) płacą za opakowanie i porto.

CENY NIZKIE

WYBÓR WIELKI

Warszawa, Szpitalna 5 (róg Przeskok).

„PRĄD"

Miesięcznik Społeczny i Literacko - Naukowy

Wychodzi od 1 stycznia r. b.

„Prąd" przedewszystkiem uwzględnia sprawy społeczne i związane z niemi zagadnienia etyczne.

„Prąd" stojąc na gruncie chrześcijańskim i narodowym, nie jest rzecznikiem żadnego stronnictwa politycznego.

„Prąd" dąży do skupienia młodych sił, pracujących na polu społecznem i naukowem.

Redaktor i wydawca ADAM L. SZYMAŃSKI.

Warunki prenumeraty:

w Warszawie: Rocznie rb. 3, Półrocznie rb. 1.50. Z przes. poczt.: Rocznie rb. 4.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Warecka 10 m. 11.

Numer okazowy na żądanie wysyła się bezpłatnie.

SZTUKA BRONZOWNICZA I ZŁOTNICZA

PISMO MIESIĘCZNE, FACHOWO-SPOŁECZNE ILUSTROWANE.

Omawia kwestye fachowe następujące: Rysunki i Modelowanie, Rzeźba, Odlewnictwo, Cyzlerstwo, Grawerstwo, Galwanizowanie, Tokarstwo, Jubilerstwo i Emalierstwo, Maszyny i narzędzia pomocnicze, Wynalazki itd.

Specyalne działy:

„ŻELAZO I STAL"

Ślusarstwo, kowalstwo, odlewnictwo itd.

„ZEGARMISTRZOSTWO"

Mechanika, technika i historya zegarów.

Prenumerata roczna z przesyłką pocztową rb. 2.50.

WARSZAWA, ul. Czerwonego Krzyża 3.

Numery okazowe — na żądanie.

R. 278/28

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP

1370-I
1